



BOND- BACKED TALES



Paweł SZOSAMi

Przemek Bartnik

Paweł Mi

Bond-Backed Tales

2025

© Paweł Mi, 2025

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Author's Disclaimer	7
Editorial	8
Edytorial	9
1. (DN) Island, Blunder, Blunderland	13
1. (DN) Wyspa, Wsypa, Wtopa	17
2. (FRWL) Orient Express	23
2. (FRWL) Orient Express	24
3. (GF) Assistant	27
3. (GF) Asystent	30
4. (TB) Agent 8.0.0	36
4. (TB) Agent 8.0.0	38
5. (YOLT) You Only Drink Twice	41
5. (YOLT) Pije Się Tylko Dwa Razy	44
6. (OHMSS) Agentos	49
6. (OHMSS) Agentos	54
7. (DAF) Diamonds Are Forever	60
7. (DAF) The House Of Q	62
8. (LALD) Blund. Jamse Blund	66
8. (LALD) Błond. Jeden Błond	70
9. (TMWTGG) Exit the Little Dragon	75
9. (TMWTGG) Wyjście Smoczka	81
10. (TSWLM) Window breaker	87
10. (TSWLM) Zbijak	89
11. (MR) BURAN	93
11. (MR) Buran	98
12. (FEYO) SHUSSI'N'DOWN	104
12. (FEYO) SzusaMi	108
13. (OP) THE WALL	113
13. (OP) Murek	116

14. (AVTAK) „A View to a Kill”	120
14. (AVTAK) „Zabójczy Widok”	122
15. (TLD) Bond Cars	126
15. (TLD) „Jesteś tym, Czym Jeździsz?”	129
16. (LTK) ALIEN	134
16. (LTK) Obcy	136
17. (GE) THE DAM	141
17. (GE) TAMA	143
18. (TND) SZ.SZ	146
18. (TND) SZ.SZ.	150
19. (TWINE) Being Bond?	155
19. (TWINE) Być Bondem	158
20. (DAD) „Haszło” (Polish language version only)	163
21. (CR) Dry Martini	167
21. (CR) Martini Wytrawny	171
22. (QOS) Saturday Audi Fight	176
22. (QOS) Audi Sobotni Fight	180
23. (SF) Bloody Big Ship	185
23. (SF) Bloody Big Ship	186
24. (SP) „007elements”	189
24. (SP) „007elements”	190
24. (SP) The Power of Media	194
24. (SP) Siła Mediów	195
25. (NTTD) The Atlantic Road	197
25. (NTTD) Atlanterhavsvegen	198
26. „Will Return?” (waiting for...)	200
26. Will Return?	204
27. Wolf	209
1. PESEL	209
2. The Party	211
3. Aston	213
4. Wolf	216
5. 007	218

27. WOLF	221
1. PESEL	221
Thanks for your time... ..	233

Author's Disclaimer

This book is a fan-made work of pastiche and parody. The stories, illustrations, and references to characters, names, places, and events related to James Bond and the 007 universe are satirical and unofficial in nature.

This project is not affiliated with, authorized by, or endorsed by Danjaq, LLC, EON Productions, Metro-Goldwyn-Mayer Studios, Ian Fleming Publications Ltd, or any other company or entity holding rights to the „James Bond” or „007” trademarks.

All trademarks, logos, character names, and titles mentioned or depicted are the property of their respective owners. This book was created solely for entertainment purposes, as a tribute and parody, and is not intended to infringe upon any copyrights or trademarks.

This material is distributed free of charge and with respect for the creators of the original works.

Oświadczenie Autorów

Niniejsza książka jest dziełem fanowskim o charakterze pastiszowym i parodystycznym. Zawarte w niej opowiadania, ilustracje oraz odniesienia do postaci, nazw, miejsc i wydarzeń związanych z Jamesem Bondem oraz uniwersum 007 mają charakter satyrystyczny i nieoficjalny. Projekt ten nie jest powiązany, autoryzowany ani zatwierdzony przez Danjaq, LLC, EON Productions, Metro-Goldwyn-Mayer Studios, Ian Fleming Publications Ltd ani jakąkolwiek inną firmę lub podmiot posiadający prawa do marki „James Bond” lub „007”. Wszystkie znaki towarowe, logotypy, nazwy postaci i tytuły są własnością ich prawowitych właścicieli. Książka ta powstała wyłącznie w celach rozrywkowych, jako hołd i parodia, i nie ma na celu naruszenia praw autorskich ani znaków towarowych. Rozpowszechnianie tego materiału odbywa się nieodpłatnie i z zachowaniem szacunku dla twórców oryginalnych dzieł.

Editorial

The Polish School of Poster Art, which emerged in the 1950s and 60s, is one of the most significant movements in graphic design, gaining immense international recognition. This school was distinguished by its unique style and innovative approach to poster design, combining elements of art, design, and visual communication. Its creators, such as Henryk Tomaszewski, Roman Cieśliewicz, Jan Lenica, Wojciech Fangor, Waldemar Świązy, and many others, had an extraordinary ability to convey messages through strong and surprising imagery. The characteristic features of Polish posters include bold contrasts, dynamic compositions, minimalism, original typographic solutions, and the evocation of strong emotions using a minimal number of graphic elements.

Polish School posters often stood out with their subtle humor, surreal visions, and references to popular culture. Many of its representatives won numerous awards at international competitions and exhibitions, contributing to the solidification of the reputation of Polish posters worldwide. Their works were frequently showcased in galleries and museums around the globe, and the Polish School of Poster Art became synonymous with quality and creativity in graphic design.

Well, Przemek B.'s posters epitomize this tradition. His works have always made a profound impression on me. Their artistic level, the way dots and nuances are integrated into a cohesive whole, the style, the colors — everything forms an ideal composition, perfectly matching my aesthetic. I wanted to own them, to admire, appreciate, and interact with them, but... I don't wear printed T-shirts, nor do I collect items that I could adorn with them. So, what's left?

Maybe I'll put them on the wall? After all, they are posters! After long negotiations with my Significant Other, who

is diligently and laboriously paying off the mortgage together with me, I obtained preliminary approval to hang them at home:

„Indeed, my dear Snowy Friend, these posters are lovely, tasteful, even aesthetic. One can see the craftsmanship, talent, and passion. However, my dear Pearl from the Attic, they have one small element that I do not wish to see on my walls. They contain just a bit too much... well... Bond.”

So, the answer was no. I conceded this battle, but the war within myself continued, and I kept plotting how to make use of them. Finally, the bullets were loaded, the band was torn, and I combined my amateur love for writing with Przemek's graphics. The graphics strongly reference Bond films, but the texts... The texts less so. They meander around, touching on topics related and referring to places, objects, associations, actions, fiction, and events that have agents, Bond, secret passages, and sudden exits as their backdrop (hence the titular Bond is in the background — in the graphics).

And most importantly — with less humor than Dalton, more than Moore, but always like Bond — with a wink.

Welcome!

Przemek¹ i Paweł²

Edytorial

Polska Szkoła Plakatu, która powstała w latach 50. i 60. XX wieku, jest jednym z najważniejszych nurtów w dziedzinie projektowania graficznego, zdobywając ogromne uznanie na arenie międzynarodowej. Szkołę tę cechował wyjątkowy styl i innowacyjne podejście do projektowania plakatów, łączące elementy sztuki, designu i ko-

¹ <http://www.jamesbond.com.pl/>

² <http://www.szosami.com/>

munikacji wizualnej. Jej twórcy, tacy jak Henryk Tomaszewski, Roman Cieślewicz, Jan Lenica, Wojciech Fangor, Waldemar Świącz i wielu innych, mieli niezwykłą zdolność do przekazywania treści za pomocą silnych i zaskakujących obrazów. Charakterystycznymi cechami polskiego plakatu są wyraziste kontrasty, dynamiczne kompozycje, minimalizm, oryginalne rozwiązania typograficzne oraz silne emocje, wywoływane przy użyciu niewielkiej ilości elementów graficznych.

Plakaty polskiej szkoły często wyróżniały się także subtelnym poczuciem humoru, surrealistycznymi wizjami i odwołaniami do kultury popularnej. Wiele jej przedstawicieli zdobyło liczne nagrody na międzynarodowych konkursach i wystawach, co przyczyniło się do ugruntowania renomy polskiego plakatu na świecie. Ich prace często były prezentowane w galeriach i muzeach na całym świecie, a Polska Szkoła Plakatu stała się synonimem jakości i kreatywności w dziedzinie projektowania graficznego.

Cóż, wypisz wymaluj plakaty B, Przemka B. Jego prace zawsze robiły i robią na mnie duże wrażenie. Ich poziom artystyczny, łączenie kropek i niuansów w jedną spójną całość, styl, kolory — wszystko to tworzy idealną formę, dokładnie w mojej estetyce. Chciałem je mieć, móc podziwiać, obcować, doceniać, ale... Koszulek z nadrukami nie noszę, kolekcji, którymi mógłbym je opatrzyć, też nie gromadzę. Co zostaje?

Może dam je na ścianę? Przecież to są plakaty! Na powieszenie ich w domu — po długich negocjacjach z Drugą Połową, która w trudzie i znoju spłaca kredyt hipoteczny pospołu — uzyskałem wstępną zgodę:

„Owszem, mój ty Koleżko Śniegowy, te plakaty są ładne, gustowne, estetyczne nawet, widać kunszt, talent i pasję. Jednak, moja ty Perło z Lamusa, mają jeden drobny element, którego na swoich ścianach nie widzę. Mają w sobie, ciut za dużo... cóż... Bonda”.

Yhm, czyli jednak nie. Opuściłem tę bitwę, ale wojna ze sobą trwała i cały czas knułem, jak by to wykorzystać. W końcu kule wpadły do bębna, banderola została zerwana i połączyłem moje amatorskie zamiłowanie do pisania z grafikami Przemka. Grafiki silnie nawiązują do filmów z Bondem, ale teksty... Teksty mniej. Te kręcą się gdzieś po terenie. Meandrują w tematach związanych i nawiązujących do miejsc, przedmiotów, skojarzeń, akcji, fikcji i zdarzeń, których tłem są agenci, Bond, tajne przejścia i nagłe zejścia (dlatego tytułowy Bond jest w tle — na grafikach).

I co najważniejsze — czasem z mniejszym jak u Daltona, czasem z większym niczym Moore, ale zawsze jak to Bond — z przymrużeniem oka.

Zapraszamy!

ALBERT R. BROCCOLI and HARRY SALTZMAN present
IAN FLEMING'S

DR. NO

SEAN CONNERY
JAMES BOND

7

URSULA ANDRESS JOSEPH WISEMAN ANTHONY DAWSON
EUNICE GAYSON ZENA MARSHALL JOHN KITZMILLER
JACK LORD BERNARD LEE LOIS MAXWELL PETER BURTON

MONTY NORMAN TED MOORE PETER HUNT KEN ADAM
RICHARD MAIBAUM JOHANNA HARWOOD BERKELY MATHER
HARRY SALTZMAN and ALBERT R. BROCCOLI EON PRODUCTION
TERENCE YOUNG

THE FIRST
JAMES BOND
FILM!



RADIATION

1. (DN) Island, Blunder, Blunderland

When Bond landed in Jamaica, he barely had time to stretch his legs before villainy was already knocking on his door. This troubled him deeply, because the dead were piling up thick and fast there — even with the kind of scenic surroundings that would make nations kneel in awe.

And since Jamaica is an island, and there's been quite the blunder and a blunderland on it, it reminded me of another island, spitting image if you will, where villainy also left its mark — though this one lies a lot closer than Bali.

An island.

“Dead wave” is a natural phenomenon, mostly at sea, where long-dead pirates, bored out of their skulls, start drinking again. After a while, they get nostalgic, punch each other in the face, and an all-out exchange of opinions via fists ensues. Then they make up, have a cry, someone hums “Oh My Rosemary”, the rest chime in, they sway to the rhythm — and that's when a wave forms. A wave that increases the number of singers and makes puke-soaked, nearly ready-to-go, half-dead bodies tumble off the decks.

That's how it was when I was sailing to Bornholm. Which, even though it's Danish, should totally be ours — from Poland! Yeah, yeah, what? Greenland, which isn't even in Denmark, is also part of Denmark (just like Wola and some furnaces), and Bornholm's lurking so close to our shores that you could easily call it ours. All you have to do is get there, plant a flag, and annex the place.

That was my plan. And the hydrofoil ferry that goes there — even if it sails backward, sideways, and in circles — hydro-flies there in an hour and a half, tops. The whole mission

was calculated for a single day trip. Before the girls even order their drinks, we'd be docking, asking folks to please disembark.

And the Island would be ours!

Strange no one thought of it earlier!

Of course... provided there's no dead wave. Because when there is, and the hydrofoil can't lift itself up on its foils above the water, it sails like a regular, half-sunk, pickled-herring barrel — rocking, sluggish, and at the mercy of Neptune. And everyone knows what Neptune's mercy is like. Tridented, sharp, and merciless.

That's when humanity, crammed in that barrel like sardines, sits there, tasting their last meal all over again, begging for mercy in their misery. The stewards, dressed in pristine white uniforms, plastic puke ponchos, and fire safety masks, hand out plastic bags instead of drinks. They hose down whatever didn't make it into the bags, hook out the ones who jumped into the waves either to end their suffering or to try to swim to shore and speed things up. And they mumble something vague like, "We'll be there soon, just around the bend, really, right over there."

They shove the bodies stacking up in the bilge into a neat little pile and finally earn their hazard pay.

After arriving — four, maybe five hours later — vomit-soaked like a Turkish saint, drained like after a successful weekend pub crawl, and overall about as keen on life as a sapper who's already made one wrong move...

I collapsed onto Bornholm's concrete.

I no longer remembered this was an invasion, an annexation, a takeover. I just wanted to die quietly under a fence. What happened next? We'd see later.

But what now? What were the options?

Go back on that water?

Never!

So after a few moments, when the sky and earth resumed their correct positions, and I figured out that over there, on

that distant plane about five, six feet above the concrete where most human heads and social interactions usually take place — some commotion was happening...

My speech recognition centers, which had short-circuited, started to function again.

But okay, let's leave those fancy details for later. Now, let's focus on basic phylogeny: it would be nice, for example, to become a vertebrate again.

And then, maybe develop the ability to walk on four limbs.

I got up. A brisk sea breeze, vague memory, sunshine, and the price of the ticket brought me back to life. Time to start occupying this Island.

Blunder.

But wait!

I came here by boat; I should plant the flag with dignity, right at the top, and dead center of this Island. Am I going to walk there?

Out of the question!

So I made my way, without further delay, to the bike rental. Because everyone knows foreign territories are conquered by bike.

Only... where's the bike place?

I stopped a passing passerby-passerby: "Exkiuzmła, where's... listen, man, you'd better start learning Polish, it'll come in handy soon... rent-a-bike where is, panimajesz szto ja gaw-rit, rozumisz, co nie?"

"Yes, of course. Я говорю на русском языке. You go there, left, five hundred meters straight," he replied in languages I didn't understand — but his body language made it clear enough, since he pointed the way.

There it was. The Bike Rental!

Bikes standing there, glinting in the sun, derailleurs gleaming, bells softly tinkling, lined up in rows, tempting me with their charm.

I went inside — only to find that although everything was there, no one was. You could rummage through the gear at

your leisure, check the cash register, even size up the safe, and no one would stop you. But no one would help you either.

Hmm... strange. Maybe I'd suffered some brain damage at sea?

I stepped back outside. I'd try again. I stepped out — the bikes were still there. And all of them loose, not chained up to anything.

Oh mama, I'm hallucinating!
This is worse than I thought.

I went back in — still no change!
Perplexed, I stood in front of the shop, scratching the back of my head, my cap tilted forward.

As I was pondering this, another inconvenient witness of this clash of civilizations walked by...

So I leveled up my verbal communication, adding a bit of full-body mime and blurted out: "Endschuldigung zi bitte, me zu foot no want, bikes I want rent, please dear sir! So where is, watch my lips: rent-a-bike?"

"Nope! Today's no good. Can't do it. He's not here! Closed today."

"What do you mean closed if it's open?"

"The owner's not here, he's got stuff to do. So he's present, but elsewhere. He's everywhere, but not here. It's open because it's not locked, but it's closed because it's not open."

I processed this, quickly translating from Danish into our lingo, and looked at him with a gaze that said: "Yes, yes, okay, sure, of course. Right, the doctor told me to agree with everything."

And I thought to myself — How's that supposed to work?
Who, when, and where has ever seen a shop that's open when it's closed, and on top of that has bikes left out front, chained to nothing at all?

It's a living insult to any enterprising man of action!

How can you not do some villainy when the opportunity's right there?

And isn't it the opportunity that makes the villain?

Does it?
It does!

Blunderland.

That was many years ago, but I don't think anything's changed, because Bornholm still isn't ours. And honestly? That's a good thing.

Later on, deeper into the Island, when I gave up on conquest, I discovered — trembling as I write this — that there...

No, I can't...

You can buy fruit (not to be confused with fruits), neatly arranged in little baskets by the roadside, unguarded... and you pay for it — I swear — On your own, and even take your own change!

Phew...

1. (DN) Wyspa, Wsypa, Wtopa¹

Kiedy Bond wylądował na Jamajce, jeszcze dobrze nie rozprosto-
wał nóg,
a już złoczyństwo zaczęło się do niego dobijać.
Martwi się tym bardzo, bo martwy trup ściele się tam gęsto,
nawet mimo okoliczności przyrody, że klękajcie narody.
Ponieważ Jamajka to wyspa, a nastąpiła na niej niezła wsypa
i nie mniejsza wtopa, to przypomniało mi inną, wypisz-wymaluj
podobną wyspę, gdzie złoczyństwo również odcisnęło swe piętno,
a która leży dużo bliżej niż Bali.

Wyspa.

„Martwa fala” to zjawisko w przyrodzie, występujące przeważnie
nad morzem, polegające na tym, że dawno utonięci piraci, nu-
dząc się, zaczynają pić.

Po jakimś czasie bierze ich na wspominki, dają sobie po pysku,
następuje ogólnie zmasowana wymiana opinii przy pomocy ciosów.
Potem się godzą, sobie popłaczą, ktoś zaczyna nucić „O mój

¹ <https://szosami.com/2024/11/29/wyspa-wsypa-wtopa/>

rozmarynie”, reszta podłapuje, bujają się do rytmu — i wtedy powstaje fala, która zwiększa ilość śpiewających o sypiące się z pokładów zarzygane, prawie gotowe, bo na wpół martwe, ciała.

Tak było, kiedy płynąłem na Bornholm, który, mimo że duński, to powinien być nasz, z Polski!

No tak, tak, a co? Grenlandia, która wcale nie leży w Danii, też jest zDuńska (jak i Wola oraz piece), a Bornholm czai się tak blisko naszych brzegów, że spokojnie można by go uznać za nasz. Trzeba tylko tam się udać, wbić flagę i sobie go zaanektować.

Taki miałem plan, a wodolot, który tam pływa, nawet płynąc tyłem, w bok i naokoło, „wodo leci” max z 1,5 godzinki, więc cała akcja obliczona została na jedną dniówkę. Jeszcze dobrze dziewczynki nie zmówią sobie drinki, a już dopłynięte i uprasza się o wysiadanie. I Wyspa będzie nasza! Aż dziwne, że nikomu to do głowy wcześniej nie wpadło!

Oczywiście, pod warunkiem, że nie ma martwej fali.

Kiedy jest i wodolot nie może unieść się na swych wodolotach nad wodę, płynie niczym zwykła, do połowy zanurzona w morze, śledziobeczka — bujana, powolna i zdana na łaskę Neptuna.

A jaka jest łaska Neptuna, to każdy wie. Trójębata, ostra i bezlitośna.

Wtedy właśnie ludzkość zgromadzona w tej beczce niczym śledzie siedzi, ostatnim posiłkiem ostro jedzie, a o litości błaga w swej biedzie.

Stewardzi w nieskazitelnie białych mundurkach, plastikowych płaszczach perzyg i maskach pepoż zamiast drinków roznoszą foliowe torebki, uprzątają szlauchem to, co do torebek nie trafiło, bosakami wyciągają tych, co się rzucili w odmęty, by skrócić swe męki lub próbować w pław przyspieszyć przeprawę.

I mętnie coś tłumaczy: „że już niedługo dopłyniemy, o, to już tu, o, tam, za tamtym zakrętem”.

Przesuwają na zgrabny stosik zwłoki zaległe w zenzach i w końcu wiedzą, za co mają płacone „szkodliwe”.

Po dopłynięciu — 4 do 5 godzin — zarzygany jak święty turecki, wycieńczony niczym po udanej weekendowej barowej wędrownicy ludów i ogólnie chętny do życia jak saper, co się już raz pomylił, zwałam się na bornholmski beton.

Już nie pamiętam, że to jest inwazja, aneksja, przejęcie.

Chcę sobie po prostu umrzeć pod płótem, a co dalej, to się potem zobaczy.

11No ale co? Jakie są opcje? Wracać, na te wody?

Nigdy!

Dlatego po kilku chwilach, kiedy niebo i ziemia zajmują jakoś swoje prawidłowe pozycje, gdy już wiem, że na odległej płaszczyźnie, metr pięćdziesiąt, metr osiemdziesiąt nad betonem, gdzie plasuje się większość ludzkich głów i odbywa większość interakcji społecznych, trwa jakieś zamieszanie...

Bo ośrodki rozpoznawania mowy w mózgu, które dostały jakiegoś zwarcia, zaczynają działać...

Ale dobra, te bajery zostawmy na później. Teraz skupmy się na podstawowej filogenezie: nieźle byłoby, na przykład, znowu stać się kręgowcem.

A potem przydałaby się umiejętność poruszania na czterech nogach.

Wstaję. Rześka bryza od morza, słaba pamięć, słońce i cena biletu szybko przywracają do życia i można zacząć zajmować tę wyspę.

Wsypa.

Ale, ale! Przybyłem tu łodzią, flagę trzeba zatknąć z godnością, na czubku i w środku tej Wyspy.

To jak, z buta będę szedł?

Nie wypada! Dlatego pierwsze swe kroki, by czasu więcej nie mitrężyć, kieruję do wypożyczalni rowerów. Gdyż każdy wie, że obce terytoria zajmuje się rowerowo.

Tylko gdzie tu rowerownia?

Zaczepiam więc przechodzącego obok przechodniego-przechodnia:

— Exkiuzmła, gdzie tu... słuchaj facet i ucz się polskiego, bo niedługo ci się przyda... rent a bajk gdzie jest, panimajesz szto ja tu gawrit, rozumisz, co nie?

— Yes, off course. Я говорю на русском языке. Там пан пойдzie, o tam w lewo, 500 metrów prosto — odparł w językach, których nie rozumiem, ale z mowy ciała zrozumiałem, o co chodzi, gdyż pokazał palcem.

Jest i Rowerownia!

Rowery stoją, pięknie w słońcu błyszcząc przerzutkami, dzwoniąc z cicha dzwonekami, wabiąc wdziękami, ustawione w szeregu.

Wchodzę do środka — ale w środku, poza tym że jest wszystko, to nikogo nie ma.

Możesz bez przeszkód grzebać w sprzętach, sprawdzić stan kasy, spokojnie przymierzyć się do sejfu i nikt ci nie przeszkodzi, ale też i nie pomoże.

Hmm... Dziwne. Doznałem chyba jakiegoś uszkodzenia mózgu na morzu.

Wychodzę. Wejdę jeszcze raz i sprawdzę.

Wychodzę: rowery nadal stoją.

W dodatku wszystkie luzem.

O mamó, mamó mamy!

Jest ze mną gorzej, niż myślałem.

Wchodzę: a tu... bez zmian!

W konsternacji stoję na przedsklepiu i dumając, drapię się po potylicy, a kaszkiet przesunąłem na przód.

Kiedy tak dumam, przechodzi kolejny niewygodny świadek tych zderzeń... cywilizacji.

Teraz i ja przechodzę na wyższy poziom komunikacji werbalnej, gdyż dokładałam trochę gestykulacji, czyli mimiki całociałowej i zasuwam:

— Endszuldigung zi bite, ja zu fus nie chcieć, rowery chcieć ja tu rentować, prosić szanowny pan! Więc gdzie jest, pacz pan mnie na usta: wy po ży czacz?

— A nie! Dzisiaj, niestety, się nie da, nie ma go! Dzisiaj zamknięte.

— Panie, jak zamknięte, jak otwarte?

— Właściciel nieobecny, coś ma do załatwienia, więc obecny, ale gdzie indziej. Wszędzie jest, ale nie tu. Otwarte, bo nie zamknięte, ale nieczynne.

Trawiąc te wiadomości, w lot tłumacząc ze zdunińskiego na nasze, patrzę na niego wzrokiem „Tak, tak, no, no, już, już.

Dobrze, dobrze, lekarz kazał przytakiwać” i gdybam —

jak to tak? Kto, kiedy i gdzie widział, żeby sklep był otwarty,

jak jest zamknięty, a w dodatku z rowerami na zewnątrz przypiętymi ładnie niczym do niczego?

Przecież to jest żywa obelga dla przedsiębiorczego człowieka czynu!

Jak tu nie czynić złoczynstwa, gdy przecież jest taka okazja

i to ona przecież czyni?

Czyni czy nie czyni?

Czyni!

Wtopa.

To było wiele lat temu, ale chyba się nic nie zmieniło,

bo Bornholm nadal nie nasz.

I tu podpowiem, że bardzo dobrze!

Potem, głębiej w tej Wyspie, kiedy zaniechałem podboju,
okazało się — aż drzę, kiedy o tym piszę — że tam... no nie mogę...
Można sobie zjeść owoce (nie mylić z owocami), co schludnie stoją
w koszyczkach usypane, uzbierane i niepilnowane przy drodze,
a uprzednio zapłacić za nie — ja piernicę — samodzielnie i jeszcze
wziąć sobie resztę!

Uff... Bosz... jak to dobrze, że zaniechałem aneksji.

Jeszcze by się to nam rozniosło na cały kraj i byłoby na mnie!

HARRY SALTZMAN, ALBERT R. BROCCOLI

AN FLORINO'S

FROM RUSSIA WITH LOVE

SEAN CONNERY
JAMES BOND



CAST: SEAN CONNERY, TUDOR TOWN, LEO GARRA, PAUL ANTONIO, JIMMYE LEE, LINDA WATSON, LARRY NICHOLS, NORMAN LLOYD, TONY JAY, JILL
PRODUCED BY: JOHN DARRY, TED MOORE, RICHARD MADAHAN, HARRY SALTZMAN, ALBERT R. BROCCOLI, TERENCE YOUNG
SCREENPLAY BY: TERENCE YOUNG

sublimis

2. (FRWL) Orient Express

Her Majesty's Secret Service agent—007 often traveled by train. On the train, though, of course, sometimes he rode on it, sometimes he fell off it, and once he almost fell out. And although he didn't really need to travel, because an agent doesn't have that much time, I completely understand him — who wouldn't want to take a train ride with Vesper?

I've traversed all of Europe by train lengthwise and almost all crosswise, so I know how extraordinary this mode of transportation is. Used in cinema, it strongly affects the senses and imagination and gives screenwriters a lot of leeway. The best example of romance and sensory stimulation is... of course, the Orient Express.

The Orient Express route, 2880 km long, started at Gare de l'Est (which translates to Eastern Station in Warsaw) in Paris and ended in Constantinople (Istanbul), passing through Strasbourg, Munich, Vienna, Budapest, and Bucharest. The first train departed on October 4, 1883, but it wasn't until 1889 that a direct connection was established (previously, transfers were required). Passengers traveled from Paris to Constantinople in 67 hours, and the cost of such a journey was equivalent to a maid's annual salary.

The Orient Express practically dripped with Byzantine opulence (no surprise, it was heading to the capital of Byzantium after all) and was a symbol of comfort and wealth. Luxurious sleeping and dining cars famous for their cuisine meant that the train was frequented by aristocrats, diplomats, businessmen, and James Bond.

In the movie „From Russia with Love,” the unforgettable Sean Connery in the role of Her Majesty's best agent traveled on the Orient Express from Istanbul. What happened on that train! What intrigues, what a game of nerves, and scheming...

everyone has seen it.

The last regular run of the Orient Express on the Paris–Istanbul route was on May 19, 1977, but this has been outdated for some time now, as it is still possible to travel this route once a year, in September, at a price of around 17 thousand pounds.

2. (FRWL) Orient Express¹

Agent Jej Królewskiej Mości — 007 dość często przemieszczał się pociągiem. W pociągu, chociaż, oczywiście chwilami jeździł też na nim, czasem z niego spadał, a raz niemal wypadł. I chociaż wcale nie musiał (podróżować), gdyż Agent nie ma przecież aż tyle czasu, to doskonale go rozumiem — no kto by nie chciał się przejechać pociągiem z Vesper? Sam przemierzyłem całą Europę pociągami wzdłuż, i prawie całą w szerz, więc wiem jak niezwykle to środek transportu. Użyty w kinie mocno działa na zmysły i wyobraźnię, oraz daje duże pole manewru scenarzystom. Najlepszym przykładem romantyzmu i działania na wyobraźnio-zmysły jest... a jakże Orient Express.

Trasa OE długości 2880 km zaczynała się (difolotowo) na Gare de l'Est (Po Warszawsku to będzie Dworzec Wschodni) w Paryżu a kończyła w Konstantynopolu (Stambuł), i wiodła przez Strasbourg, Monachium, Wiedeń, Budapeszt oraz Bukareszt. Pierwszy skład wyruszył 4 października 1883 roku, ale dopiero w 1889 roku udało się otworzyć bezpośrednie połączenie (wcześniej trzeba było się przesiadać). Pasażerowie pokonywali drogę z Paryża do Konstantynopola w ciągu 67 godzin, a koszt przejazdu takim pociągiem równał się rocznej pensji pokojówki.

Orient Express ociekał wręcz bizantyjskim przepychem (nie dziwne, jechał w końcu do stolicy Bizancjum), i był symbolem komfortu oraz bogactwa. Luksusowe wagony sypialne i restauracyjne słynące ze swej kuchni sprawiały, że pociągiem podróżowała arystokracja, dyplomaci, biznesmeni i James Bond.

¹ <https://szosami.com/2024/12/20/orient-express-frwl/>

W filmie „Pozdrowienia z Rosji” nieodżałowany Sean C. w roli najlepszego Agenta Jej Królewskiej Mości podróżował Orient Expressem ze Sztambułu. Co tam się działo w tym pociągu! Jakie intrygi, jaka gra nerwów oraz podchody... każdy widział.

Ostatni regularny kurs Orient Expressu na trasie Paryż–Sztambuł miał miejsce 19 maja 1977 roku, jednak to od jakiegoś czasu już nieaktualne, bo teraz jeśli ktoś ma ochotę i możliwości to też można przemierzać tę trasę, raz w roku, we wrześniu, w cenie około 17 tys funtów.



ALBERT R. BROCCOLI & HARRY SALTZMAN PRESENT A FILM BY DANIEL FLEMING

SEAN CONNERY as JAMES BOND 007

GOLDFINGER

CAST: SEAN CONNERY, HENRI BLANKENHORN, SHIRLEY EASON, TONY MALLORY, HAROLD SARAHA, BERNARD LEE, LINDA MADWELL, CEC LINDY
MUSIC BY JOHN BARRY
COSTUME DESIGNER: RICHARD WAGGAM
EDITED BY PAUL DEHN
EXECUTIVE PRODUCERS: HARRY SALTZMAN AND ALBERT R. BROCCOLI
PRODUCED BY GUN PRODUCTIONS LTD.
DIRECTED BY TED MOORE
SCREENPLAY BY GARY HAMPTON



3. (GF) Assistant

When Goldfinger — another Archvillain of Bond, James Bond, who “doesn’t know who he’s dancing with” — was cruising through Switzerland in his Rolls-Royce, his Road Assistant was none other than Oddjob. A man built like a construction-grade sledgehammer. Our... his charming little Oddi “Sledge” had a handful of very travel-friendly skills.

A black belt in karate, and — just in case — he also knew taekwondo and hapkido. He could toss, with deadly precision, a bowler hat (an old-school cap with a brim) tastefully rimmed with razor-sharp steel. Nobody was surprised — and I respect that — that he was also a skilled archer.

And in addition to “ultimate and merciless removal of road obstacles” (translation: anyone causing trouble along Goldfinger’s trail), Oddjob was also the bodyguard, chauffeur, and butler. To round off this picture of perfection — since he had a speech impediment — he talked very little and never spoke unless spoken to. Now that’s the perfect Assistant!

When I was driving through that same Switzerland, in a big, comfy, spacious Mercedes van, with features like “one million two hundred thousand mood lighting options for every occasion” (how did I ever live without that?), I too had a whole flock of Assistants onboard.

Starting with the Voice Assistant — who could fulfill any wish I spoke out loud — followed by the Parking Assistant, Lane-Keeping Assistant, Cross-Traffic Monitor, Collision Avoidance Assistant, Mood Music Activator, Sign Recognition Assistant (excluding magical and divine ones), Speed Limit Analysis Assistant, and even a Caffeine-to-Blood Ratio Analyst.

They were on duty the whole time, never got tired, reacted in a flash, and whenever they deemed it appropriate — heck,

necessary, even! — they'd take over: turning the wheel, slamming the brakes, squealing nervously, and flashing warnings wherever they could while vibrating so much it rocked the whole van. Damn Meddling Assistants Everywhere!

What a coincidence! Because Bond, tirelessly, with his slightly ironic smirk (which always reminds me of Donald Duck — sorry, James), was also cruising through this entire “Switzerland.”

He was tailing that aforementioned, multi-Assistanted, Goldfingered Nemesis. And along the way, probably out of boredom, he did a bit of racing with the Lover of Rapid Overtakes, dodged death-by-bullet from the Killer in a Skirt, took in the views, and generally — having a good time — zipped bravely along.

And aboard his trusty Aston DB5, he too had an entire suite of Assistants. Of course! He's an Agent, like a field sales rep, so he's got to have a whole range of useful accessories. His villain, capable of shaking the planet by shifting heavy gold stocks and hoarding them in one spot, a man without scruples — but with a Rolls-Royce — he tracked using the Tracking Assistant.

Thanks to an ultra-precise onboard radar with up-to-date maps, he could watch the movement of this sticky-fingered Goldfingers McNasty!

He also had a Lane-Keeping Assistant, and whenever someone tried to push him out of his lane, the assistant would deploy a handy slicer-blender from the wheel, shredding the offender's tires and gently blending their bodywork, thus keeping Bond in his pursuit lane.

There was also a Collision Avoidance Assistant, who, upon detecting vehicles on a collision course, could alter their trajectory by releasing a smoke screen, giving the road a light oil mist, or simply bringing them to a graceful halt via a convenient set of onboard miniguns. Mr. Gatling would be proud!

And to make sure not a single second was lost — since Bond plays for the highest stakes, and there's no room for error — there was also an Eject-the-Passenger Assistant.

No, no! Not a grenade! With a magic red button, without even stopping, he could eject a passenger — seat and all — through the roof.

So there they were — Goldi and Bondi (I saw it on screen myself!) — racing through the pure Alpine air, fighting for global economic balance and gold prices, somewhere near the Belvédère Hotel on the Furka Pass.

Back in 1882, a young but “high-aiming” hotelier decided to build this very hotel at an elevation of 2,429 meters. Why there? Because back then, nowhere else could you drive so close to the realm of eternal snow, right next to the Rhone Glacier, and stay in a cozy room with a view of the Alpine peaks.

And as a bonus, you got the Furka Pass, which led you there — a route full of twists, ascents, descents, and capable of raising the blood pressure of thrill-seeking drivers to levels only seen in deep-sea oil drilling rigs.

Over the next few decades, the Belvédère became the cool spot to stay, winning the hearts of car enthusiasts, sightseers, watch lovers, and cheese connoisseurs. Bond? Not yet.

But, as with all beautiful things, it eventually came to an end. The hotel’s fortunes began to decline in the 1960s. The glacier — its biggest draw (especially the 90-meter-long ice grotto that let you peer inside the glacier) — receded further each year.

Thanks to climate warming, over the last 100 years, the front of the Rhone Glacier has retreated more than 1.5 kilometers from the hotel, and recently it’s losing 10 centimeters per day! In 2000, the final nail was hammered into its coffin — a new tunnel was built, bypassing the old route entirely.

The hustle and bustle in the Belvédère’s halls faded. Grand parties became intimate room service orders, and the maids increasingly found themselves with nothing to do. The rooms, instead of being filled with light, were filled with emptiness.

Finally, in 2015, the hotel’s doors closed for good.

But hey! The hotel still stands, the route is stunning and full of challenges, so since I’m nearby and up for ad-

venture, I just have to drive it. Being in the area, the decision is made:

Me: Hey, Mercedes!

(calling my ever-watchful, ever-faithful In-Car Voice Assistant)

Merc: Yes, sir?

Me: Take me to Hotel Belvédère!

Merc: Could you repeat the request?

Me: Take me to: HOTEL BELVÉDÈRE!

Merc: Setting the route to Belweder Palace, Warsaw. Me: No, not Warsaw! Not the palace! Hotel Bułelvedere!

(switching to a fake French accent — maybe it'll help)

Merc: Could you repeat the request?

Me: Hoteleu Bułelvedere!

Merc: Setting the route to Hotel Belweder, Zakopane. Me: No, not Zakopane!

Merc: Could you repeat the request?

Me: Hey, Mercedes?

Merc: Yes, sir?

Me: Screw you!

Merc: Could you repeat the request?

Me: Eh... Okay, Merc, forget it. (thinking how to outsmart it)

Take me to Grzegorz Brzeczyszczykiewicz, Chrząszczyżewoszyce, Łękołody County. Repeat the address!

Merc: ...Hey, Mi_!

Me: Yes?

Merc: Screw you!

3. (GF) Asystent¹

Kiedy Goldfinger, kolejny Arcywróg Bonda, Jamesa Bonda, który „nie wie, z kim tańczy”, przemierzał Szwajcarię swoim Rolls-Roycem, za Asystenta w Drodze miał jedynie Oddjoba — pana o aparycji

¹ <https://szosami.com/2025/03/16/asystent/>

budowlanego młota. Ten nasz... jego uroczy Oddi „Kafar” posiadał kilka bardzo przydatnych w podróży umiejętności. Czarny pas w karate, a także — tak na wszelki wypadek — znał taekwondo i hapkido. Rzucił, ze śmiertelną precyzją, melonikiem (taka stara czapka z daszkiem), gustownie obszytym ostrzem jak brzytwa ostrym. Co nikogo nie dziwi — i ja to szanuję — był również wykwalifikowanym łucznikiem.

A oprócz „ostatecznej i bezlitosnej eliminacji drogowych przeszkód”, czyli tych, którzy mogli sprawiać kłopoty na szlaku wytyczonym przez Goldfingera, Oddjob był także strażnikiem, szoferem i służącym. A żeby dopełnić perfekcji — ponieważ miał wadę wymowy — mówił mało i nie odzywał się nieproszony. No, Asystent idealny! Gdy ja jechałem przez tę samą Szwajcarię, w dużym, wygodnym, przestronnym vanie Mercedesa, z udogodnieniami typu „milion dwieście tysięcy nastrojowych podświetleń kabiny na każdą okazję” (jak mogłem wcześniej bez tego żyć?), również miałem na pokładzie całe stadko Asystentów.

Począwszy od Asystenta Głosowego — który mógł spełnić każde me wypowiedziane na głos życzenie — poprzez Asystenta Parkowania, Pasa Ruchu, Monitorowania Ruchu Poprzecznego, Unikania Kolizji, Włączania Nastrojowej Muzyki, Wykrywania Znaków (z wyłączeniem magicznych i odBoskich), Analizy Ograniczeń Prędkości, po Asystenta Analizy Ilości Krwi w Kofeinie.

Czuwały one cały czas, nigdy się nie męczyły, reagowały błyskawicznie, a kiedy uznały to za stosowne, ba! konieczne nawet(!), samodzielnie mi skręcały, hamowały, głośno piszczały z nerwów i, wyświetlając ostrzegawcze komunikaty gdzie się tylko dało, wibrowały, że aż autem bujało. Cholerni Asystenci Co Wtrącają się Wszędzie! Cóż za koincydencja! Bo Bond, niezmordowanie, z lekko ironicznym uśmiechem przypominającym mi Kaczora D. (wybacz, James), również podążał przez całą tę „Szwajcarię”.

Śledził wspomnianego kilkunastu asystentów wcześniej Złotopalcego Wroga. Po drodze, pewnie z nudów, trochę się ścigał z Miłośniczką Szybkich Wyrpedzeń, unikał zabicia od kuli Zabójcy w Spódnicy, podziwiał widoki i ogólnie — dobrze się bawiąc — śmiało śmigał przed siebie.

A na pokładzie swego wiernego Astona DB5 również i on miał cały zestaw Asystentów. No, musowo! To Agent jest, jak handlowiec, działający w terenie, dlatego musi dysponować całą gamą użytecznych dodatków. Swego wroga, zdolnego zachwiać planetą poprzez

przemieszczanie ciężkiego złota i gromadzenie go w jednym miejscu, człowieka bez skrupułów, za to z Rolls-Roycem, śledził dzięki Asystentowi Śledzenia.

Na doskonale precyzyjnym radarze pokładowym z aktualnymi mapami mógł obserwować przemieszczanie się tego Goldfingersa Nikczemnika o lepkich palcach!

Miał też Asystenta Pasa Ruchu i kiedy ktoś go chciał z tego pasa jego ruchu zepchnąć — asystent wysuwał z koła pomocny przecinakoblender i poprzez pocięcie opon oraz lekkie zblendowanie karoserii agresora, utrzymywał Bonda w linii pościgowej, w dalszym ciągu jego pasa ruchu.

Był też Asystent Unikania Kolizji, który — kiedy wykrył pojazdy poruszające się na kursie kolizyjnym — potrafił zmienić trajektorię ich ruchu poprzez zasłonę dymną, zwilżenie nawierzchni odrobiną oleju lub, zwyczajnie, elegancko wyhamować je przy pomocy poręcznego zestawu działek pokładowych. Pan Gatling byłby zachwycony!

Aby nie tracić ani sekundy — a jak wiadomo, Bond walczy o najwyższe stawki i tu nie ma miejsca na błędy — ma też Asystenta Wysadzania Delikwenta.

Nie, nie! Nie chodzi o granat! Otóż, bez zatrzymywania się, magicznym czerwonym przyciskiem może wysadzić pasażera, razem z fotelem, przez dach.

Ścigali się oni — Goldi and Bondi (sam widziałem na ekranie!) — zażywając czystego alpejskiego powietrza, a przy okazji walcząc o ład gospodarczy i ceny złota na świecie, w okolicach Hotelu Belvédère — na trasie przełęczy Furka.

W 1882 roku jeden młody, lecz „wysoko mierzący” hotelarz zdecydował się wybudować hotel ten... powyższy, na wysokości 2429 m. Dlaczego właśnie tam? Ponieważ wtedy nigdzie indziej nie można było jechać tak blisko granicy wiecznego śniegu, tuż obok Lodowca Rodanu, oraz zamieszkać w przytulnym pokoju z widokiem na szczyty Alp.

Przy okazji, w gratisie, otrzymywano przełęcz Furka, którą się tam dojeżdżało. Była ona pełna licznych zakrętów, zjazdów i podjazdów i potrafiła podnieść ciśnienie podróżującym nią samobójcom do poziomów obserwowanych tylko w głębokich oceanicznych odwiertach naftowych.

W ciągu kolejnych dekad hotel Belvédère stał się cooltowym miejscem noclegowym, podbijając serca fanów motoryzacji, widoków, zegarków oraz sera. Bonda? Jeszcze nie.

Ale wszystko, co piękne, kiedyś się kończy, i sytuacja hotelu zaczęła się pogarszać już w latach 60-tych. Lodowiec, który był największą atrakcją tego miejsca (najbardziej grotą o długości 90 metrów, która pozwalała zajrzeć do wnętrza lodowca), z roku na rok oddalał się o kolejne centymetry.

W związku z ociepleniem klimatu, przez ostatnie 100 lat, czoło Lodowca Rodanu cofnęło się o ponad 1,5 kilometra od hotelu, a ostatnio traci 10 cm dziennie! W 2000 roku wbito ostatni gwóźdź do tej trumny — wybudowano nowy tunel, który omija tę trasę.

Gwar w holach Belvédèru cichł. Huczne imprezy przeradzały się w kameralne „pokojówki”, a pokojówki coraz częściej nie miały co robić. Pokoje, zamiast światłem, zaczęły świecić pustką.

W końcu, w 2015 roku, drzwi do hotelu zostały zamknięte na zawsze. Ale, ale! Hotel jeszcze stoi, trasa jest przepiękna i pełna wyzwiań, więc skoro jestem w pobliżu i jestem skory do przygód, to mus mi tę trasę pokonać. Ponieważ jestem w okolicy, to decyzja zostaje podjęta:

Mi_: Hej, Mercedes!

(wzywam swego wiernego i zawsze czujnego Asystenta Głosowego Wsamochodowego).

Merc: Tak, proszę?

Mi_: Prowadź mnie do Hotel Belweder!

Merc: Czy możesz powtórzyć pytanie?

Mi_: Prowadź do: HOTEL BELWEDER!

Merc: Wytyczam trasę do Belweder, Warszawa.

Mi_: Nie, nie Warszawa, pałac Belweder, hotel Bułweldere! (zmieniłem akcent na pseudofrancuski, może to pomoże).

Merc: Czy możesz powtórzyć pytanie?

Mi_: Hołtelue Bułweldere!

Merc: Wytyczam trasę, Hotel Belweder, Zakopane.

Mi_: Nie, nie Zakopane!

Merc: Czy możesz powtórzyć pytanie?

Mi_: Hej, Mercedes?

Merc: Tak, proszę?

Mi_: Wal się!

Merc: Czy możesz powtórzyć pytanie?

Mi_: Eh... Dobra, Merc, nie było tematu. (myślę, jak by go tu podejść). Prowadź do Grzegorza Brzęczyszczkiewicza, Chrząszczyzewoszyce, powiat Łękołody, powtórz adres!

Merc: ...Hej, Mi_!

Mi_ : Tak, proszę?
Merc: Wal się!

ALBERT R. BROCCOLI & HARRY SALTZMAN PRESENT IAN FLEMING'S

THUNDERBALL

STARRING SEAN CONNERY CLAUDINE AUGER ADOLFO CELI LUCIANA PALUZZI RIK VAN NUTTER MARTINE BESWICK
SCREENPLAY BY RICHARD MABARDI AND JOHN HOPKINS PRODUCTION DESIGNER KEN ADAM SET DESIGNER PETER LAMONT EDITOR JOHN BARRY
COSTUME DESIGNER TED MOORE PRODUCTION EDITOR KEVIN MCCLORY DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY TERENCE YOUNG



SEAN CONNERY

AS IAN FLEMING'S

JAMES BOND 007



4. (TB) Agent 8.0.0

Today, for the very first time in my life — because **You Only Live Twice** — I refueled my vehicle at the outrageous price of 8!

EIGHT ZLOTYS PER LITER!¹

I was forced to! Forecasts? None. Tank? Empty. And there was only one lonely highway gas station on my event horizon — one you couldn't spot with the naked eye — and this place, from its position of power and circumstance, doesn't do negotiations. At the sight of that killer price, I was about to have a heart attack.

But then I pulled myself together! — This is **No Time to Die**, buddy! — I told myself. — Because if **Die Another Day** — and **Tomorrow Never Dies** — then hey, guess what? I've got some time left on this ride.

I checked whether I was perhaps **The Man with the Golden Gun...** Pump — nope, definitely not. Shaken, I whipped out my **License to Kill** and went to ask (politely, at first) whether this fuel, so recklessly pumped from the Intributor, wasn't laced with some price-hiking elixir, like an A&E Martini with Koniak Le France. Because I'm tuned to detect that sort of thing, like any decent Professor, Master, and **Doctor No** — just plain NO!

The World is Not Enough for me and prices like these! The bored cashier gave me a look of pure pity and said: — **Live and Let Die**, my good man. Let go of your illusions about discounts or credit. So what if **Diamonds Are Forever**, when

¹ he normal price at that time was 5.50 PLN, but then came the war in the East...

you don't have enough of 'em to fill up your ride. Ehh... To be Bond, James Bond, one day... Because obviously, J.B. **In Her Majesty's Secret Service** never had to deal with this crap. Whoever sips cocktails at **Casino Royale**, nibbling on a tiny **Octopussy**, doesn't count the price per liter back at the pump. For a sobering moment, I decided to grab a coffee. Remember — **Never Say Never** when you've got a chance to deliver caffeine to your caffeine-deprived system!

I sat next to some guy (I swear I know him from somewhere!) with a dumb grin, knocking back what was probably his umpteenth vodka-with-herring combo — judging by his look. He'd probably refueled earlier, too. Yeah... He looked like some stray **Moonraker**!

That was my small **Quantum of Solace** in this desperate situation, my **Skyfall** from the station down to the cold, hard pavement when, at payment time, my credit card started wailing in despair — right before it flatlined on me altogether. Now that we know all these repercussions tied to fuel are basically standard **Greetings From Russia with Love**, I've got a plan!

As soon as this guy next to me sobers up, I'll make him cooperate — enlist his skills, force his hand, because I'll need some clever **Goldfingers** and a sharp **GoldenEye**! Classified! Burn After Reading!

I'm placing this intel **For Your Eyes Only**! What follows: In the joint operation of two agents caught on camera (one — ex-intelligence; the other — not-yet-real-estate), as payback for our shared wounds and in an effort to save the world, we will both — because two guys like us three? There's not a single one! — head for the Very Near East, launching **Operation Thunderball** in search of cheap gas and black-belt gas installation masters for electric cars!

4. (TB) Agent 8.0.0¹

Dzisiaj po raz pierwszy w życiu, a **Żyje się tylko dwa razy**, zatankowałem swój pojazd za 8!

O-S-I-E-M-Q-R-W-A-Z-Ł!

Zmuszony byłem! Przewidywania brakiem, pustym bakiem oraz jedną jedyną przyautostradową stacją benzynową w horyzoncie zdarzeń, że okiem nie zmierzysz, która z pozycji siły i okoliczności cen nie negocjuje.

Na ten **Zabójczy widok** już miałem dostać zawału, gdy nagle postanowiłem jednak wziąć się w garść!

— **Nie czas umierać**, chłopaku! — powiedziałem do siebie — bo skoro **Śmierć nadejdzie jutro**, z tym że **Jutro nie umiera nigdy**, to luz, wychodzi na to, że chwilę jeszcze będę żył.

Sprawdziłem, czy nie jestem aby **Człowiek ze złotym pistoletem** od dystrybutora. Gdy okazało się, że jednak nie, wstrząśnięty wyjąłem swoją **Licencję na zabijanie** i poszedłem dopytać (wstępnie po dobroci), czy może ten towar, tak pochopnie szlauchem tankowany z instrybutora, nie jest zmieszany z jakimś dającym dodatkowego cenowego kopa eliksirem typu AĘ Martini with Koniak Le France. Gdyż jestem na to nastawiony, jak niejeden Profesor, Magister i **Doktor No** — po prostu NO NIE!

— **Świat to za mało** dla mnie i takich cen!

Znudzony sprzedawca spojrzał na mnie z politowaniem i tak do mnie rzekł:

— Ty, szanowny panie, **Żyj i pozwól umrzeć** swym złudzeniom co do rabatu tudzież kredytu na zakup. Cóż z tego, że **Diamenty są wieczne**, skoro ich, szefie, nie masz tyle, żeby zatankować do pełna swój wóz.

Ech... mieć kiedyś tak jak Bond, James Bond, bo to chyba jasne, że J.B. **W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości** miał wylane na takie tematy. Kto pija drinki w **Casino Royale**, przegryzając **Ośmiorniczkę**, ten paliw w litrozłotówkach nie liczy.

Na otrzeźwienie postanowiłem napić się kawy. Pamiętaj — **Nigdy nie mów Nigdy**, gdy masz okazję dostarczyć kofeinę do swojego systemu kofeinonośnego!

¹ <https://szosami.com/2024/12/01/agent-8-0-0/>

Dosiadłem się więc do jakiegoś kołesia (ja go na pewno skądś znam!) z głupkowatym uśmiechem, który tu wykańczał naście chyba — sądząc po jego wyglądzie — wódkę ze śledziem.

Pewnie też sporo wcześniej tankował. No... wyglądał jak jakiś z księżycza urwany **Moonraker**!

Była to dla mnie mała **Quantum of Solace** — Odrobina Pocieszenia w tej rozpaczliwej sytuacji, **Skyfall** — sPodniebnego Upadku ze stacji wprost na bruk, kiedy przy płatności moja karta kredytowa zaczęła zawodzić w rozpacz, a na koniec... zawodzić oczekiwania.

Teraz, gdy już wiemy, że te wszystkie reperkusje związane z paliwami są to typowe **Pozdrowienia z Rosji**, mam plan!

Jak tylko wytrzeźwieje ten typ obok w muszę, to go zmuszę i współpracę na nim wymuszę, gdyż potrzebne mi będą sprytne **Goldfingery** i bystre **GoldenEye**.

Tajne! Spalić przed przeczytaniem!

Umieszczam tę informację **Tylko dla Twoich oczu**! Co następuje: W ramach kooperacji ustrzelonych na zdjęciu Agentów (byłego — wywiadu

i niedosłego — nieruchomości), odwetu za krzywdy oraz dla ratowania świata, udamy się obaj — co takich trzech jak nas dwóch to nie ma ani jednego — z akcją na bardzo bliski Wschód, zaczynając **Operację Piorun**, w poszukiwaniu taniego gazu i macherów od samochodowych instalacji gazowych do elektryków!

ALBERT R. BROCCOLI & HARRY SALTZMAN
present
JAN FLEMING'S JAMES BOND 007

SEAN CONNERY

は

ジェームズ・ボンド 007

は二度死ぬ

YOU ONLY LIVE TWICE

starring SEAN CONNERY MIE HAMA
AKINO WAKABAYASHI KARIN DOR TETSURO TANBA
scripted by ROALD DAHL HAROLD JACK BLOOM
story by JOHN BARRETT KEN ADAM and screenplay by DAVID FOLKES
music by JOHN BARRY cinematography by FREDDIE YOUNG
produced by ALBERT R. BROCCOLI and HARRY SALTZMAN
LEON PRODUCTIONS LTD
directed by LEWIS GILBERT

5. (YOLT) You Only Drink Twice

Before Bond exited the ultra-modern San-a Osato skyscraper with stolen documents of significant (if not international) importance, he had to make a few intriguing observations at a rather (and somewhat minimally) unconventional venue: a sumo wrestling tournament.

There, watching with admiration at the men who were easier to leap over than to circumvent (and overeat), he met a lovely and charming Japanese woman, though I can't quite recall if she was wearing flip-flops.

Akiko „Aki” Wakabayashi, to be precise, possessed not only remarkable connections, beauty, and a sharp mind but also equipment that, when I last saw it at some auction, reminded me of everything I'm currently producing.

This equipment, worth between 850k and a million bucks now, is the Toyota 2000GT.

Before Bond dove in 1967, brushing his hair against its roof, they showcased this beautiful Toyota — somewhere around '65 — at the Tokyo Motor Show, and it looked stunning.

Back then, Bond, James Bond, was immensely popular in Japan, so Toyota was more than eager to assist in the making of *You Only Live Twice*, in which they tried, albeit slightly, to bring the challenging life of Her Majesty's Agent closer to the average sushi consumer.

To that end, they provided a model (or models) of the 2000GT, and it fit 007 so perfectly that they had to convert it into a convertible because he didn't quite fit in the coupe with the roof on.

Just in case, they made two versions, as you never know where Ms. Aki might aim it, wandering through the alleys of Japanese towns like Kobe (especially since, unbeknownst to the film, she couldn't drive).

The Toyota, in which our charming Agent got stuck, was outfitted with gadgets supplied by a small, lesser-known company called Sony(?) — Japanese gizmos.

In 1967, these included: CCTV camera, video recorder, front-license-plate cameras, walkie-talkies, a voice-activated dictaphone, and an audio system.

In a car... in '67.

Here, having a mild stroke, I shift to around 1989, roughly twenty-some years ahead, to Central Europe, second on the right of the Iron Curtain (looking from the bottom of the map), to a standard electronics store. Because something got thrown in!

- I'd like a stereo Walkman!
- What's that? We don't have it!
- Do you have anything?
- A mono record player...
- I'll take four!
- Do you have „cards“?

Yes, a communist state, like Japan, is a fascinating place... just a bit different.

But, but, Japan also had its “highs.” Like that time when the Japanese army, during a long tour through Eastern Asia, suddenly lost its edge.

They prepared for that war, launched it together, as if they knew what they were doing, but... it seemed that raping the entire female population of Nanking and slaughtering defenseless Filipino villagers didn't quite translate into real military competence.

The Japanese army, once based on shoguns, swords, and cunning samurai, during World War II was still looking for a way to kill a hundred American marines without losing six hundred of their own soldiers.

How that ended, everyone knows.

Aside from that and a few other foibles, craftsmanship, martial arts, Kobe beef, and Yamazaki whisky... finger-licking good.

When they take something on, learn from their failures, bow respectfully, it turns out excellently.

Expensive, very expensive.

2000 for a bottle of vodka? Soshite ikimashou, sensei!

Therefore, as long as Poland hasn't become a second Japan yet (though from what I see on labels, it's only a matter of time), I stay by the Baltic.

I won't eat a waffle, I'll buy fries by the piece — maybe two — and just save up for Yamazaki made in Japan!

Maybe a glass, a small glass, or a wee dram at the Coastal Resort Whisky House will suffice.

I like whisky, I don't need to recognize which peat bog it's from, at what hour it was gathered, why England lost that match, or what time of year it was, but generally, a glass of good-quality liquor is always welcome.

Some I like, others not so much, and as far as I'm concerned, that's what it's all about.

Alright, no more dilly-dallying, cash in hand — I'm in.

I look around, whisky everywhere, from top to bottom, whisky, everywhere bottles or bottles, with exquisite drinks from all over the world!

No, no! Is this a dream? Such places don't exist. I'm leaving, coming back in...

— Sir! Are you going to stand there making a draft with madness in your eyes for much longer?

— Excuse me, where am I? Is this heaven because nothing is burning me? Did I have an accident? What about my family? What about my car?

Well, the family is strategically on waffles (good thing they only like them with powdered sugar), I'm on the case, running out of time.

With the face of a blasé millionaire who didn't drive up in a Bentley simply out of laziness, I throw out:

— Yamazaki malt 18 SUNTORY, give me that! I've got a few dozen bucks, is that enough?

The bartender with the face of a blasé waiter who only sees

such people here:

— At your service, sir, here you go, 90 zł. We don't accept checks or wedding rings. Only cash, millionaire.

90 zł?! For a bit of booze? Well, yes, yes, it's a bit much, but... such Japanese standards.

I place it on the table, look, admire, sniff, feel, take pictures. Still unsure whether to drink, pray, or take it with me?

Notebook ready, I'll jot down impressions, I'll film!

Instagram is waiting, Facebook is buzzing, Twitter... sorry... X is going wild, and Tik-Tok is frozen.

Then, just a moment later, things happen quite quickly.

My better half (black, slim, petite — Japanese Style) nickname "Wife," walks in, sees the glass, so she asks — What are you drinking? Is it good? Can I try? — and, without waiting for an answer, grabs it, tilts, tastes, declares "oh, good"... and drinks it all.

5. (YOLT) Pije Się Tylko Dwa Razy¹

Zanim Bond wyszedł z ultranowoczesnego biurowca San-a Osato z wykradzionymi dokumentami o wadze, mimo że papierowej to międzynarodowej, musiał wcześniej dokonać kilku ciekawych obserwacji w zgoła (bo przepasanej jedynie opaską między nogami) nietypowej lokalizacji, jaką był turniej sumo.

Tam, z podziwem patrząc, na panów, których łatwiej przeskoczyć niż obejść (i obejść), poznał miłą i sympatyczną Japonkę, ale już nie pamiętam czy była w japonkach.

Akiko 'Aki' Wakabayashi, bo o niej tu mowa, poza znakomitymi koneksjami, urodą i bystrym umysłem, dysponowała też sprzętem, który, kiedy go ostatnio ujrzałem na jakiejś aukcji, przypomni mi to wszystko, co tu właśnie produkuje.

Sprzęt ten, wart teraz od 850 tys. do miliona drobnych dolców, to — Toyota 2000GT.

¹ <https://szosami.com/2025/03/15/pije-sie-tylko-dwa-razy/>

Zanim Bond w 1967 nurkując przycedził grzywką w jej dach, pokazali tę piękną Toyotę — gdzieś w okolicach 65 r. — na Tokio Motor Show i wyglądała obłędnie.

Bond, James Bond był wtedy w Japonii bardzo popularny, dlatego Toyota z wielką chęcią zgodziła się pomóc w realizacji filmu „Żyje się tylko dwa razy”, w którym próbowano, choć odrobinę przybliżyć trudny zawód Agenta Jej Mości przeciętnemu zjadaczowi sushi.

W tym celu dostarczyła na plan model (kę) 2000GT, a ta tak idealnie pasowała do 007, że musieli z niej zrobić kabriolet, bo się w coupé z dachem... nie mieścił.

Na wszelki wypadek zrobili dwie sztuki, nigdy nie wiadomo gdzie pani Aki tym wceluje, błędząc po zaułkach japońskich miasteczek typu Kobe (szczególnie że, czego w filmie nie widać, nie potrafiła prowadzić). Toyota, w której utknął nasz uroczy Agent, miała na pokładzie, dostarczone przez mały, nieznaną szerzej koncernik Sony(?) drobne (bo japońskie) gadżety.

W roku 1967 były to: kamera CCTV, nagrywarka wideo, kamery za przednią tablicą rejestracyjną, krótkofalówki, dyktafon uruchamiany głosem i system audio.

W aucie... w 67 r.

Tu dostając lekkiego udaru, przemieszczam się do roku coś koło 1989, ze dwadzieścia parę lat do przodu, w środkowe regiony Europy Centralnej, drugi na prawo od żelaznej kurtyny (patrzac od dołu mapy), do standardowego sklepu RTV. Bo coś tam rzucili!

— Poproszę walkmana stereo!

— A co to jest? Nie ma!

— A jest coś?

— Gramofon, mono...

— Biorę cztery!

— „Kartki” ma?

Tak, komunistyczne państwo to, jak Japonia, fascynujące miejsce... tylko ciut inaczej.

Ale, ale, jasne, tam w tym Nipponie też mieli swoje „wzloty”. Choćby jak wtedy kiedy armia nippońska, podczas długiego tournée po wschodniej Azji, straciła nagle swój pazur.

Niby się przygotowali do tej wojny, wszczęli ją pospołu, jakby wiedzieli, co robią, ale... wyglądało na to, że zgwałcenie całej żeńskiej populacji Nankinu i rozniesienie na bagnietach bezbronných filipińskich wieśniaków nie bardzo przekładało się im na prawdziwe kompetencje militarne.

Armia nippońska, dawno temu oparta na siogunach, mieczach i operujących nimi sprytnie samurajach, podczas drugiej wojny wciąż szukała sposobu na zabicie stu amerykańskich marines, tak żeby nie stracić przy tym, z sześciuset własnych żołnierzy.

Jak to się skończyło, każdy wie.

Poza tym i kilkoma innym fo-pa sztuka płatnerska, sztuki walki, sztuki wołowiny z Kobe i wielosztuki Yamazaki whisky... palce lizać.

Jak już się za coś wezmą, wyciągną wnioski z porażek, pognał się w ukłonach, to wychodzi im doskonale.

Drogo, bardzo drogo im to wychodzi.

2000 za flaszkę wody? Soshite ikimashou, sensei!

Dlatego, póki Polska nie została jeszcze drugą Japonią (choć z tego, co widzę na metkach, to już niedługo), zostaję nad Bałtykiem.

Nie zjem gofra, kupię frytki na sztuki — ze dwie, i akurat zaoszczędzę na Yamazaki made in Japan!

Może na szklanekę, szklaneczkę, szklanunię w Nadmorskim Wypoczynkowym Domu Whisky styknie.

Lubię whisky, nie rozpoznam z jakiego torfowiska, o której godzinie zbierane i dlaczego Anglia wtedy przegrała mecz, i jaka to była pora roku, ale ogólnie, szklaneczkę dobrej jakości trunku zawsze chętnie spróbuję.

Jedne mi smakują, a inne nie i jeśli o mnie chodzi, to o to tu chodzi.

Dobra, nie ma co fizolować, kasa przykitrana — wchodzę.

Patrzę, wszędzie whisky, od góry do dołu, whisky, wszędzie butelki albo butelki, z wyśmienitymi trunkami z całego świata!

Nie, Nie! To sen? Nie ma takich miejsc na świecie. Wychodzę, wchodzę jeszcze raz...

— Panie! Długo jeszcze będziesz tak robił przeciąg z obłędem w oczach?

— Przepraszam, gdzie ja jestem? Czy to już raj, bo nic mnie nie piekło? Miałem wypadek? A co z rodziną? Co z moim autem?

Cóż, rodzina strategicznie na gofrach (dobrze, że lubią tylko z cukrem pudrem), jadę z tematem, czasu mało.

Z miną zblazowanego milionera, który tylko dlatego Bentleyem nie podjechał, że mu się nie chciało, rzucam:

— Yamazaki malt 18 SUNTORY daj mię tu! Mam kilka dych, wystarczy?

Barman z miną zblazowanego kelnera, który tylko takich tu widuje:

— Służę uprzejmie, proszę bardzo, 90 zł. Czeków i obrączek ślubnych nie przyjmujemy. Only kasz panie milioner.

90 zł?! Za troszkę wody? No tak, tak to jest, trochę tego mało,
ale cóż... takie Japońskie Standardy.

Stawiam na stoliku, patrzę, podziwiam, wacham, macam, robię zdjęcia. Jeszcze nie wiem, czy pić, czy modlić się, a może zabrać ze sobą? Notatnik przygotowany, będę spisywał wrażenia, będę filmował! Instagram czeka, Facebook wrze, Twitter... wróć... X szaleje, a TikTok się zawiesił.

Potem, już po chwili, wydarzenia dzieją się dość szybko.

Wchodzi moja lepsza, mniejsza połowa, (czarna, szczupła, filigranowa — Styl Japoński) ksywa „Żona”, widzi szklankę, więc pyta —
A co tam pijesz? Dobre? Można spróbować? — i, nie czekając na odpowiedź, bierze, przechyla, próbuje, kwituje „o dobre”... i wypija całość

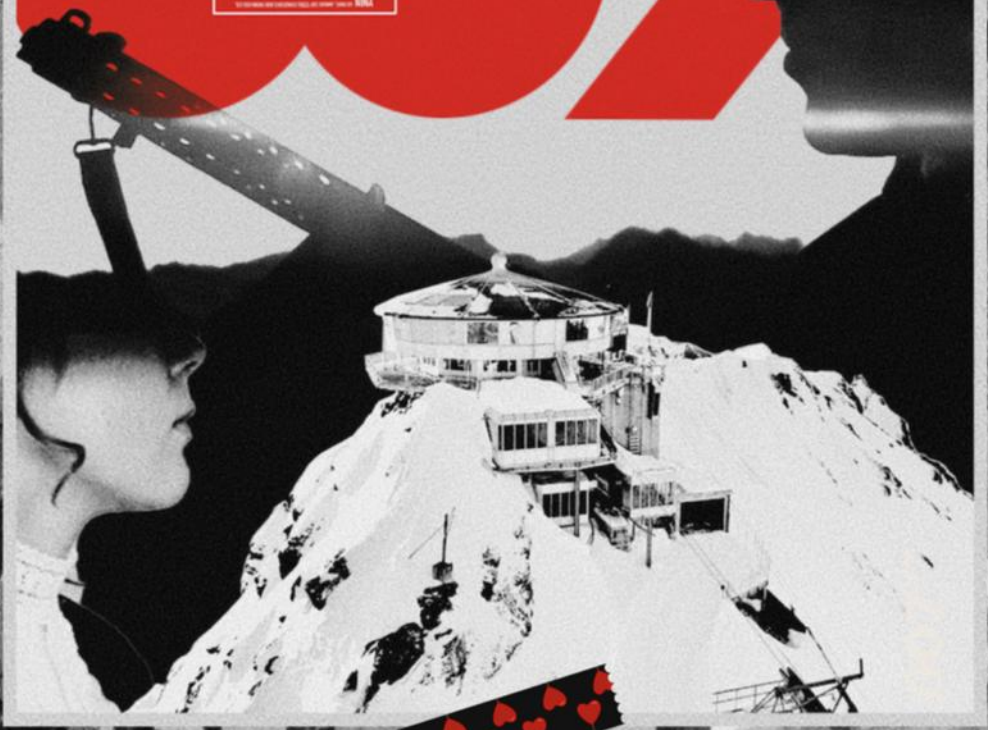
ALBERT R. BROCCOLI ... HARRY SALTZMAN ... IAN FLEMING'S

ON HER MAJESTY'S SECRET SERVICE

STARRING TELLY SAVALLAS DIANA RIGG GABRIELE FERZETTI ILSE STEPPAT LOIS MAXWELL BERNARD LEE
SCREENPLAY BY RICHARD MAIBAUM PRODUCTION DESIGNER SYD CAIN EDITOR/DIRECTOR BY PETER LAMONT
MUSIC BY JOHN BARRY CAMEO/CASTING BY MICHAEL REED DIRECTED BY PETER R. HUNT
PRODUCTION BY ALBERT R. BROCCOLI AND HARRY SALTZMAN ... EDN PRODUCTIONS LTD

WEARD ALL THE TIME BY THE MOUNTAIN OF LOUIS ARMSTRONGS
TELEVISION AND CINEMA RELEASE BY JERRY BRONSTEIN MCA

GEORGE LAZENBY
AS IAN FLEMING'S
JAMES BOND 007



6. (OHMSS) Agentos

Really, it surprises no one — while sitting in the cinema, plugged into 10-liter jugs of sugary drinks, inhaling kilograms of popcorn from automated conveyor belts, and breathlessly watching Bond, James Bond, smiling with his new Omega, killing dozens of enemies (hence the term “decimate”), without even breaking a sweat. He always has a ticket for any flight, carries cash in suitcases magically pulled from his sleeve, never grows a beard despite shaving once every 6 to 12 years (if at all)? That he, in those impeccable suits, with a sardonic smile, and luck always on his side, kills thugs en masse, never brushes his teeth, yet during close encounters with ladies, they don’t run away screaming to the nearest exit? If they faint, it’s for other reasons.

Or someone like Hunt, that Ethan guy — he’s everywhere, knows everything, speaks multiple languages, runs everywhere he goes, and his tie is always perfectly tied, and his lighter never falls out of his pocket? His buddies are the same. They appear on time, always from nowhere, hack satellites as easily as downing a shot, have a solution for everything (not from Polish doctors!), never make mistakes... and if they do, don’t be misled — it’s a deliberate mistake to keep the action going. They never charge their batteries, always have every necessary cable and signal, don’t eat sandwiches wrapped in greasy paper from home, yet are never hungry?

Sitting in a VIP seat in the Atmos atmosphere, you don’t ponder where they — Bond, Hunt, Killer, or another Mr. Car — get those suits, turtlenecks, and white shirts, always clean and in bulk? Who charges all those gadgets? When do they change their underwear and who starches it? Do they write poetry, what will they leave for posterity, and what do they feed their fish?

You don't see that in the movie because it's manipulated on screen! In the movie, there are only selected snippets, only from work. Nicely edited, visually pleasing, breathtaking, and compelling you to buy another portion of tacos, partial shots of the whole! Heck, some scenes are reshot in the studio because the antagonist fell off the roof too quickly, and a good live shot couldn't be made... But shh, keep it quiet, it's a secret.

Like in Formula 1, where they only show us the race. The gray reality is omitted and is only visible on Netflix, in a documentary. And at a soccer match? Do you see that guy who stole the show, running in just shorts and breaking a record while being chased by security on the wet grass of the National Stadium? Do they show it? They don't!

In the movie, the prose of agent life is not shown to avoid inducing horror. Popcorn needs to sell (because only on it is there any profit, when there are 5 people in the cinema since it's not a megahit and masterpieces like "365 Days" barely grazed an Oscar), budgets must be met, and the prosaic film would last too long, plus there must be room for 1.5 hours of commercials and credits.

A day in the life of an Agent is a bit different than in the movie, especially if you've been in the profession as long as Hunt or Bond, and are still going strong. Luckily, practice makes perfect, it's important not to fall into a rut, and simply: "do what you love, and you'll never work a day in your life." Yes, you can keep going until an untimely retirement (early retirement isn't an option because officially, you don't exist, and if you do, you're just an ordinary steelworker), provided you don't get killed first.

As for women in those close encounters... Yes, it's worse here, tempting. There's always some Agent's Wife, the one who stands behind every man, nagging... and advising, and she generally discourages these close encounters with strange women — gently put (with a wrestling grip around the neck) — and she's right, who'd want to deal with all those beauties, one is more than enough for everyday life?

And martini, shaken or stirred? Bond summed it up well: “I don’t give a damn, it’s all the same...” beer is fine too.

An agent lives in an apartment block. Yes, yes, what did you think? In a villa or a palace? Let’s be serious, living in an apartment block is not without reason, and moreover, in some inconspicuous city and country. Camouflage and incognito are key, you can’t make it easier for villains to commit crimes!

And in case of a slip-up, it’s easy to move, few furniture, and the mortgage on a palace with a garden doesn’t weigh you down. Okay, let’s leave that, there are more important issues, because: How does an agent’s workday look off the record? How? Simply put — painfully.

Morning comes, and if he manages to get up — at this age and stage, with such work, it’s neither easy nor obvious — that’s already a success. Sometimes uses Uber, but gets dressed in those Tom Ford suits, Crockett & Jones shoes, Omega Seamaster watches from... Omega, and all the other little trinkets. Even if he only wears a turtleneck and leather, it’s still only the best because you have to look good, right? You represent some country after all, and everything will be visible in the cinema, in IMAX 8K.

Here’s the first problem. All this costs a fortune, and an agent’s job on salary, well, the pay might be certain, but you’re competing with privateers, working for governments, so... it’s public sector. Contributions have to be made, it’s all taxed, VAT, PIT, and excise duties. There’s supposed to be a cost reimbursement, but you can’t always get a receipt, especially when you have to suddenly dash across a train roof for that drink. So, where do you get all this style and class, because everyone knows: if you mess up a suit at work, it’s at least 15 grand down the drain?

Well, like salesmen living on commission or foremen working on piecework — you have to go, work hard, track well, and kill fiercely. Then, if you eliminate some powerful enemy once a week, there’s always something left from those astronomical fortunes. The agency turns a blind eye (they know

how it is) when you sometimes take your commission from a safe, but without going overboard! On top of that, you shop at a discount, instead of single malt whisky you drink Żubr beer (I'm working) and somehow make it to payday.

Alright, breakfast (triple instant espresso) drunk, kiss-kiss, and you have to drop the kids off at school, and yourself at work. Before the crew gets out "under the hood" of that damn Aston, it obviously takes an eternity (those vehicles aren't for that!). All the SuvMoms honk at you to the bone. Fact is, it's not suitable for dropping off at school, let alone buying a cupboard at Ikea. What can you do? This is specialized equipment, a company car, don't be fussy, grit your teeth and bear it.

Then you hit the Base. An example Miss Money Penny or another Ms. Krysia gives you mission details, you roll up your sleeves and go at it for 8 hours (chase), fall (parachute), swim (diving), plant (bombs), kill (with anything), think (with your head), reason (with your mind), win (at cards), fall out (of the train), fly (helicopter), sink (submarines), get hit (in the face), return the blow (kick).

Just standard procedures, typical agent work with full compliance with health and safety regulations. Sometimes you have to work longer (paid overtime). You finish, wash your hands, do some shopping on the way, and head home for dinner.

And at home, of course, there's chaos. Because the clothes are stained with blood again.

"Agent from the goddamn bushes! Be serious for once! Do you even care about My Job? Do you know how much effort it takes to wash out such blood?!! Could you sometimes be MORE CAREFUL!?"

You have to appease the Agent's Wife a bit because — damn, you forgot — again left the rifle and 4 grenades unchecked in the bedroom on the bed, one rolled under the dresser, friends came over, and one of their kids started playing with it.

What a blast! One could say, they had a blast — just bombastic. At home, like at home, the kids are fighting, the cat sensed an arch-enemy cat again and is hissing. Everything hurts after work, but you still have to vacuum, sort the trash, and the bulletproof glass in the living room cracked, so it's time to replace it.

Because as a real man says, he'll replace it, he doesn't need to be reminded every six months, and it seems the time has just passed.

"Because not only you, Agent from the goddamn bushes, go to work in this house! Who made you dinner today!?!"

And just you try being late for such a dinner! Oh yes! Once there was such a fuss. I think... last year. You wake up somewhere (later it turned out it was Radom... or Budapest) without memory, after a strong blow to the head. Sudden loss of consciousness occurred, kind of normal, but this time — zonk — you regain consciousness and don't know who you are!

Concussion and temporary memory loss. Well, try calling home that you'll be late, when you have no phone or don't remember the number (who remembers numbers now?), heck, you don't even know that dinner is at 4 PM.

You crawl out of that trunk, all sore, surrounded by masses of strangers. Before you realize where you are, who you are, and why, before you somehow return home barely alive, a few days pass.

And what? Maybe "Hi Dad? How are you, darling? How nice you're finally home?" Nothing of the sort!

Late as usual, there was a parent-teacher conference, and the teacher was asking, the basement isn't cleaned, and that another stunt like that, and you'll stop worrying about your dental condition, because why worry about something you don't have! Really, who's seen such a thing, stressing a person like that after such a delegation? And that damn camouflaging. Living in a block? Who the hell came up with that? Neighbors constantly changing, always problems with them.

How come? Well, it's like this — you come home exhausted in the evening after “working in the steel mill”, and there's a house party or other gathering next door. Martini already mixed with vodka and with vodka, and vodka waiting. And beer!

You'd just like to relax, have one damn drink with your wife and with percentages! Once(!) and go to sleep peacefully! Is that too much to ask?! No, noise and laughter till late!

Tired, stressed, sometimes you forget that “license to kill” is only at work and out of habit, reflexively... y... never mind! Anyway — neighbors change quite often, but fortunately there's always some cemetery (or forest) nearby. And that's just how it is to be some Agent in life, outside the cinema. Yeah, probably a real estate... Agent.

6. (OHMSS) Agentos¹

Naprawdę nikogo nie dziwi — kiedy tak siedząc w kinie podpięty pod 10 litrowe kubasy ze słodkimi napojami, wciągając kilogramy popcornu z automatycznych podajników taśmowych, i z zapartych tchem patrząc jak Bond, James Bond z uśmiechem i nową Omegą, — że killuje dziesiątki wrogów (stąd nazwa — dziesiątkować), i nawet się przy tym nie spoci? Zawsze ma bilet na dowolny lot, kasę nosi w walizkach wyjętych magicznie z rękawa, nie ma brody, mimo że goli się raz na 6 do 12 lat (a niektórzy z nich nigdy)?

Że On, w tych swoich nienagannych garniturkach, z sardonicznym uśmieszkiem, ze szczęściem co zawsze sprzyja, zbiorów hurtem zabija, i nigdy nie myje zębów, a mimo to podczas zbliżenia z damami, one nie uciekają z krzykiem najbliższymi drzwiami? Jeśli padają nieprzytomne to z innych powodów.

Albo taki Hunt, niejaki Itan — jest wszędzie, wie wszystko, włada językami, jak gdzieś idzie, to biegnie, a krawatka zawsze zawiązana nienagannie i zapalniczka mu sama nie wypadnie?

¹ <https://szosami.com/2023/07/23/agentos/>

Ichni kumple to samo. Pojawiają się na czas, zawsze i znikąd, hakuja satelity łatwo jak wychylenie sety, na wszystko mają receptę (bo nie od Polskich lekarzy!), nigdy się nie mylą... a jeśli się mylą, to nie daj się zmylić — to jest zmyłka i specjalna pomyłka, żeby akcja toczyła się wartko dalej. Baterii nie ładują, zawsze mają każdy potrzebny kabel i zasięg, kanapek w zatłuszczonym papierze przyniesionych z domu nie jedzą, a mimo to nie są głodni?

Siedzisz na VIP fotelu w Atmos atmosferze i nie dumasz skąd oni, taki Bond, Hunt, Killer czy inny Pana Samochodzik biorą te garniaki, golfy i białe koszule, zawsze czyste i w hurcie? Kto ładuje te wszystkie gadzety? Kiedy zmieniają gacie i kto je krochmali, czy piszą poezje, co zostawiają potomnym, i kim im karmią rybki?

Tego w filmie nie widać, bo to jest zmanipulowane na ekranie!

W filmie są tylko wybrane urywki, z pracy jedynie. Ładnie poklejone, wizualnie przyjemne w odbiorze, zapierające dech i zmuszające do zakupu kolejnej porcji tacos, częściowe ujęcia z całości!

Ba, niektóre sceny są dokręcone w studio, gdyż antagonistą protagonisty za szybko spadł z dachu i się nie udało zrobić dobrego ujęcia live... Jednak, o tym cicho i sza, bo się wyda.

Tak ja w Formule 1, kiedy pokazują nam jedynie wyścig. Szara rzeczywistość jest pominięta i widać ją dopiero w Netflixie, w filmie dokumentalnym. A na meczu piłki nożnej? Widzisz tego gościa co skradł szoła, bo w samych szortach pobił rekord na setkę gdy go nił się z ochroną po mokrej murawie Basenu Narodowego?

Pokazują? Nie pokazują!

W filmie nie pokazuje się agenckiego życia prozy, by nie wzbudzać grozy. Popcorn ma się sprzedąć (bo tylko na nim jest jakiś zarobek, kiedy w kinie 5 osób, gdyż to nie megahit i arcydzieło pokroju „365 dni” otarty o Oskara), budżety musi się spinać, i za długo by ten prozaiczny film trwał, a tu jeszcze się musi zmieścić 1,5 godziny reklam i napisów.

Dzień z prozy życia Agenta jest trochę inny niż na filmie, szczególnie jak się jest tyle lat w zawodzie co Hunt czy Bund, i ciągle na chodzie. Spoko, na szczęście praktyka czyni mistrza, ważne nie popaść w rutynę, i zwyczajnie: „rób co, lubisz, a nigdy nie będziesz pracować”. Tak, można to ciągnąć i do niewczesnej emerytury (nie przysługuje ci wczesna, bo oficjalnie nie istniejesz przecież, a jeśli już, to robisz jako zwykły hutnik), jeśli wcześniej nie dasz się zabić.

Co do kobiet w tych zbliżeniach... Tak, tu jest gorzej, kusi. Zawsze jest jednak jakaś Agencka Żona, ta co stoi za plecami każdego faceta

i zrzę... i doradza, i raczej te zbliżenia z obcymi babami — łagodnie ujmując (chwytem zapaśniczym za szyję) — odradza.

I ma rację, kto by się tam chciał użerać z tymi wszystkimi pięknosciami, jedna na co dzień w zupełności nie wystarczy?

A martini, wstrząśnięte czy zmieszane? Dobrze Bond to spuentował „w dupie to mam, jedna cholera...” piwo też jest dobre.

Agent mieszka w bloku. Tak, tak, a co myślałeś? W willi czy innym pałacu? Bądźmy poważni, w bloku nie bez powodu mieszka, i w dodatku w jakimś nierzucającym się w oczy mieście i kraju.

Kamuflażność i incognitość to podstawa, nie można złoczyńcom ułatwiać złoczynstwa!

I w razie wpadki łatwo się przeprowadzić, mebli mało, a hipoteka na pałac z ogrodem nie uwiera. Dobra, zostawmy to, są ważniejsze zagadnienia, gdyż: Jak wygląda dzień pracy agenta off The record Jak? Zwyczajnie, że tak to ujmę — do bólu.

Nadchodzi rano i jak uda mu się wstać — w tym i wieku i stażu, przy takiej pracy to nie jest ani łatwe, ani oczywiste — to już jest pierwszy sukces.

Korzysta czasem z Ubera, ale się ubera, w te garnitury od Toma Forda, buty od Crockett & Jones, omegi Seamastery od... Omegi, i inne wszystkie pierdółki. Nawet jak nosi tylko golf i skórę to i tak tylko najlepsze, bo trzeba wyglądać, c'nie?

Reprezentuje się w końcu jakieś Państwo, no i w kinie będzie wszystko widać, w Imax 8K.

Tu jest pierwszy problem. Wszystko to kosztuje furę hajsu, a robota Agentu na etacie, wiadomo, pensja może i pewna, ale walczysz z prywaciarzami, pracujesz dla rządów więc... budżetówka. Składki trzeba odprowadzać, opodatkowane to wszystko, vaty, pity i akcyzy. Niby jest zwrot kosztów, ale paragon nie zawsze dasz radę wziąć, szczególnie kiedy musisz nagle zaiwaniać po dachu pociągu, za tego drinka. Skąd więc brać na ten cały szyk i klasę, gdyż każdy wie: jak upieprzyć garniak w robocie, to taki za minimum 15 koła papierów?

Cóż, jak u handlowców żyjących z prowizji, czy brygadzystów robiących na akord — musisz iść, przyłożyć się w pracy, dobrze tropić i ostro kilnować. Wtedy jak jakiegoś jednego czy drugiego potężnego wroga wyeliminujesz, raz w tygodniu to coś tam zawsze skapnie z tych fortun niebotycznych. Agentura przemyka oko (wiedzą jak jest), gdy czasem sobie pobierzesz prowizję sam z sejfów, ale bez szału! Do tego zrobisz zakupy w dyskoncie, zamiast whisky single malt wypijesz żubra beer (I'm working) i jakoś się dociągnie do pierwszego.

Dobra, śniadanie (potrójne rozpuszczalne espresso) wypite, cmok-cmok i trzeba podrzucić dzieci do szkoły, a siebie do roboty. Zanim się towarzystwo wygramoli „pod budą” z tego cholernego Astona, to oczywiście, schodzi cały wiek (te pojazdy nie są od tego!). Wszystkie SuvMamy obtrąbią cię tam do suchej nitki. Fakt faktem, do odwożenia pod szkołę to się nie nadaje, o kupnie szafki w Ikei nie mówiąc. Co poradzić? To sprzęt jest specjalistyczny, auto służbowe, nie ma co grymasić, zagryźć zęby i jakoś znosić. Potem wbija się na Bazę. Przykładowa Monypeny czy inna p. Krysia, przekazuje szczegóły misji, podwijasz rękawy i 8 godzin jedziesz (pościg), spadasz (spadochron), płyniesz (nurkując), podkładasz (bomby), killujesz (czym się da), główkujesz (głową), rozkminiasz (rozumem), wygrywasz (w karty), wypadasz (z pociągu), latasz (helikopterem), zatapiasz (okręty podwodne), dostajesz (w ryj), oddajesz (kopa). Ot, takie tam, standardowe procedury, typowe agencje robótki z pełnym przestrzeganiem przepisów BHP. A nieraz i dłużej musisz robić (płatne nadgodziny). Kończysz, myjesz ręce, po drodze zakupy i do domu na obiad. A na chacie oczywiście chryja. Bo znowu ciuchy usyfione krwią. — Agent z borzej chaszczy! Bądź RAZ poważny! Przejmujesz się w ogóle Moją Pracą? Wiesz, ile to wysiłku kosztuje sprać taką krew?!! Nie dałoby się czasem być UWAŻNYM bardziej!?

Trzeba trochę udobruchać Agetoską Wife, bo — cholera zapomniałeś — znowu karabinek i 4 granaty nieogarnięte zostały w sypialni na łóżku, jeden się sturlał pod komodę, koleżanki przyszły i dziecko jednej z nich zaczęło się tym bawić. Był ubaw! Się, można powiedzieć, rozerwały — no bombowo po prostu. W domu, jak to w domu, młodzież się kłóci, kot znowu wyczuł arcywrogię kota i fuczy. Wszystko cię boli po robocie, a trzeba jeszcze odkurzyć, śmiecie posegregować i pancerna szyba pękła w salonie, więc czas wymienić. Gdyż jak prawdziwy mężczyzna mówi, że wymieni, to mu co pół roku nie trzeba przypominać, a zdaje się, że właśnie minęło. — Bo nie tylko ty, Agent z borzej gałęzi, w tym domu chodzisz do pracy! A kto ci zrobił dzisiaj obiad!?! A weź i się spóźnij, na taki obiad! O właśnie! Raz taka była draka. Bo-dajże... w zeszłym roku. Budzisz się gdzieś (potem wyszło, że to Radom... albo Budapeszt) bez pamięci, po mocnym strzale w głowę. Nagła utrata przytomności nastąpiła, niby normalne, ale tym razem zonk — przytomniejesz i nie wiesz, kim jesteś!

Wstrząs mózgu i chwilowa utrata pamięci. No weź i zadzwonił do domu, że się spóźnisz, jak ani telefonu nie masz, ani numeru nie pamiętasz (kto teraz pamięta numery?), ba, nawet nie wiesz, że obiad o 16. Wyłazisz z tego bagażnika, cały obolały, wkoło masy ludzi obcych. Zanim dojdiesz do siebie, gdzie jesteś, kim jesteś i po co, nim wrócisz jakoś do domu ledwo żywy, to kilka dni minie.

I co? Może „Cześć tato? Co słyszeć kochanie? Jak fajnie, że już jesteś?” Nic z tych rzeczy!

Spóźniony jak zwykle, była wywiadówka i pani się pytała, nieposprzątane w piwnicy, i że jeszcze raz taki numer, a przestaniesz się martwić o stan uzębienia, bo po co się martwić czymś, czego się nie ma!

Doprawdy, kto to widział, tak stresować człowieka po takiej delegacji? I jeszcze ten cholerny kamuflażing.

Mieszkanie w bloku? Kto to, kurwa, wymyślił?

Ciągle się sąsiedzi zmieniają, same z nimi problemy.

Jak to tak? Ano jest tak — przychodzisz wieczorem skonany do domu, po „pracy w hucie”, a tam domówka czy inna impreza, za ścianą.

Martini już zmieszane z wódką i z wódką, i do tego wódka czeka.

I piwo!

Chciałoby się po prostu odpocząć, wypić jednego cholernego drinka z żoną i z procentami! Raz(!) i pójść spokojnie spać!

Czy to tak wiele?! To nie, hałas i śmiechy do późna!

Człowiek zmęczony, w stresie, czasem sobie zapomni, że „licens to kill” to jedynie w pracy i z przyzwyczajenia, odruchowo... y... mniejsza! W każdym razie — sąsiedzi się zmieniają dość często, ale na szczęście zawsze jakiś cmentarz (lub las) jest niedaleko.

I tak to właśnie jest być jakimś Agentem w live, poza kinem.

Ta, chyba nieruchomości... Agentem

HARRY SALTZMAN ALBERT R. BROCCOLI PROD. IRA FLEMMING'S

DIAMONDS ARE FOREVER

SEAN CONNERY as JAMES BOND

CHARLES GRAY

STORY BY
RICHARD MAIBAU as TOM MANKIEWICZ
SCREENPLAY BY
HARRY SALTZMAN as ALBERT R. BROCCOLI
DIRECTED BY
GUY HAMILTON

CASTING BY
JULIA ARON LARA BERRY
JOHN DEAN BRUCE CROFT

FOREVER
FOREVER
FOREVER
FOREVER
FOREVER

THE WHYTE HOUSE

7. (DAF) Diamonds Are Forever

Diamonds may be forever — and forever a girl's best friend — but even they need the right setting... sadly. And where better to set them and show them off than in London?

Or should I say... Łądyn?

"No such place as Łądyn! There's Łądek, Łądek-Zdrój, sure..."

"But I mean London. The city in England."

"Well then, why didn't you say so?!"

"I'm saying so. Right now."

"Well then I have to go and check for myself!"

Yes, there's a mission. Unexpectedly, not so long ago, a fascinating world opened up before us: of secret passages, sudden descents, dark entrances and quick exits. Where?

In Łąd... I mean, London!

And if we can manage to get there and actually find them — it's there and it's now that Aston Martin, celebrating 60 iconic years with James Bond, has unveiled its "House of Q"!

The mission kicks off (easy peasy for a Pole) right after you land in London by tracking down something that vaguely resembles an old-school Polish Ruch newspaper kiosk. Inside it, you need to find the secret entrance — cunningly disguised as an ordinary passageway. And once you somehow make your way in — without, you know, going under — you'll take a series of hidden passages that eventually lead you to a speakeasy bar... serving Bollinger champagne. No choice. In you go.

These days, the term "speakeasy" usually refers to bars styled after those from Prohibition-era America, evoking that secretive, exclusive vibe, with discreet entrances, moody lighting and atmospheric interiors. Here, surrounded by technical drawings and actual parts from the legendary DB5, you'll spot

sketches, diagrams and blueprints straight from the Aston Martin and EON Productions archives.

Somewhere in there, there's also Q's top-secret briefcase, complete with tantalizing clues about Aston Martin's future models — offering a juicy glimpse into the files for those clever enough to crack the code.

Marco Mattiacci, Global Chief Brand and Commercial Officer at Aston Martin, put it this way: "Aston Martin and James Bond are two British icons, forever linked. We're thrilled to be celebrating this major 60th anniversary throughout 2024, marking the continuation of the longest and most successful product placement partnership in cinematic history. The House of Q by Aston Martin offers something truly special for our Aston Martin customers, as well as 007 enthusiasts and fans alike."

You might also notice that every single detail inside "The House of Q" is dripping with Bond references. Other visitors — those lucky enough to find the entrance, that is — will also catch sight of an original Goldfinger script, classic movie posters and some pretty cool on-set photos. And the sound? Sublime — if you've got two ears and know how to use them — thanks to Bowers & Wilkins.

And if you happen to have the kind of currency that keeps up with global trends (hint: not the post-PRL kind), you can also explore the Great Configurator Lab. There, sipping a martini (of course) and working with Aston Martin's design experts, you'll spec out your perfect ride — matching it to your tie, handbag or even your cat. Burlington Arcade, founded in 1819, has long been an exclusive discount boutique for luxury brands.

These days, it's home to 47 specialist brands dealing in watches, jewellery, leather goods, shoes, cashmere, potatoes, ploughs and second-hand clothing — and probably (though no one can prove it) the occasional dodgy diamond from a smuggling job gone wrong.

Trupti Shah, Commercial Director of this fine bargain bazaar, expressed her excitement: "Burlington Arcade is deli-

ghted to be celebrating this milestone year for James Bond and Aston Martin alongside our partners. The continued partnership between our brands is incredibly exciting, and we are honoured to be a part of marking this iconic moment in cinema history.”

“The House of Q by Aston Martin” opened to the public on Thursday, 18 July. And if it’s still there — if Bond hasn’t sent them all to meet the press — don’t miss this exclusive opportunity to escape the post-PRL gloom and plunge headfirst into the world of Bond and Aston Martin, celebrating their unique and enduring legacy.

Don’t believe me?

Check it out yourself. House 12–13, Burlington Arcade, 51 Piccadilly, London W1J 0QJ.

7. (DAF) The House Of Q¹

Diamenty które są wieczne i wiecznie ulubione przez kobiety, potrzebują odpowiedniej oprawy... niestety. A gdzie lepiej je oprawią, i wystawią niż w Londynie?
w Łądynie?

„ — Nie ma takiego miasta Łądyn! Jest Łądek, Łądek-Zdrój, tak...

— Ale Londyn. Miasto w Anglii.

— To co mi pan nic nie mówi?!

— No... mówię właśnie

— To ja muszę iść i sprawdzić!”.

Tak, jest misja. Niespodziewanie, jakiś czas temu otwarł się przed nami fascynujący świat tajnych przejść, nagłych zejść, ciemnych wejść i szybkich wyjść. Gdzie?

W Łąd... Londynie!

Jeśli tylko uda się nam dotrzeć i je znaleźć — to właśnie tam i teraz, świętując 60 lat swojego ikonicznego związku z Jamesem

¹ <https://szosami.com/2024/12/18/the-house-of-q/>

Bondem — Aston Martin zaprezentował swój „The House of Q”! Misja, zaraz po wyLondowaniu, zaczyna się (dla Polaka to betka) od znalezienia czegoś na kształt kiosku „Ruchu” z prasą, a w nim odszukania tajnego wejścia, które jest zamaskowanym przejściem. W środku, kiedy jakoś wjedziesz i nie „zejdziesz” — pójdziesz tajemnym zestawem przejść, 1 <https://szosami.com/2024/12/18/the-house-of-q/> 42na końcu których odkryjesz „speakeasy bar” serwujący szampa na Bollinger...

No, nie ma wyjścia, wchodzi.

Dziś termin „speakeasy” często odnosi się do barów stylizowanych na te z okresu prohibicji, które nawiązują do tajemniczej i ekskluzywnej atmosfery, z dyskretnymi wejściami, nastrojowym oświetleniem i klimatycznym wystrojem wewnątrz. Tu, w barze, otoczony technicznymi rysunkami i częściami z oryginalnego DB5 zauważysz szkice, diagramy i schematy z archiwów Aston Martina i EON Productions.

Gdzieś tu znajduje się też ściśle tajna walizka Q, wraz ze wskazówkami dotyczącymi przyszłego modelu Aston Martina, oferując kuszący wgląd w akta dla tych, którzy potrafią je odkryć. Marco Mattiacci, Globalny Dyrektor Marki i Handlu w Astonie-Martynie, powiedział, że „Aston Martin i James Bond to dwie brytyjskie ikony, na zawsze ze sobą powiązane. Cieszymy się, że możemy świętować tę ważną 60. rocznicę przez cały 2024 rok, zaznaczając kontynuację najdłuższego i najbardziej udanego product placement w historii kina.

„The House of Q” by Aston Martin oferuje coś bardzo wyjątkowego dla naszej społeczności klientów Aston Martin, oraz entuzjastów i fanów 007”.

Może uda Ci się też zauważyć, że każdy detal w „The House of Q” jest nasycony motywami Bonda. Inni odwiedzający, którzy jakimś cudem znajdą wejście, też zobaczą wiszący tu oryginalny scenariusz „Goldfingera”, plakaty filmowe i całkiem niezłe zdjęcia z planu. Zachwycający (jak ktoś ma oba uszy i nimi słucha) dźwięk dostarcza system Bowers & Wilkins.

Goście dysponujący odpowiednią ilością waluty zbliżonej do światowych trendów, mogą również zwiedzić Laboratorium Wielkiego Konfiguratora, gdzie popijając martini i współpracując z ekspertami projektowymi z Astona Martina, dostosują swój nowy idealny pojazd do koloru krawatki, torebki czy kota. Bur-

lington Arcade, założona w 1819 roku, od dawna jest ekskluzywnym dyskontem luksusowych marek.

43Aktualnie jest przytułkiem dla 47 marek specjalizujących się w zegarkach, biżuterii, wyrobach skórzanych, butach, kaszmirze, ziemniakach, pługach i używanej odzieży, i zapewne (choć tego nie udowodniono) lewych diamentów z przemytu.

Trupti Shah, Dyrektor Handlowy tego bidaskontu, wyraziła swoje podekscytowanie: „Burlington Arcade jest zachwycona, że wspólnie świętujemy ten jubileuszowy rok dla Jamesa Bonda i Aston Martina.

Kontynuowane partnerstwo między naszymi markami jest niezwykle ekscytujące i jesteśmy zaszczytni, że możemy być miejscem upamiętniającym ten ikoniczny moment w historii kina”.

„The House of Q by Aston Martin” otwarło się dla publiczności w czwartek, 18 lipca.

Jeśli jeszcze działa, a Bond nie wysłał ich wszystkich

„na spotkanie z prasą” to nie przegap tej ekskluzywnej okazji, aby się wyrwać z marazmu życia w postPRL, i zanurzyć się w świecie Bonda i Aston Martina, świętując ich unikalne i trwałe dziedzictwo.

Nie wierzysz?

Sprawdź. House 12—13, Burlington Arcade, 51 Piccadilly, Londyn W1J 0QJ

ROGER MOORE
AS IAN FLEMING'S
JAMES BOND 007

LIVE AND LET DIE



CASTING: YAPHET KOTTO, JANE DEYMOOR, CLIFTON JAMES, JULIUS HARRIS, GODFREY HOLDER, KEVIN HEDSON
COSTUME DESIGNER: CLAUDIA HENDRY, DESIGNER: BERNARD LEE, LUIS MAXWELL, BOY STEWART, EARL, JULY BROWNE, TOMMY LANG
EDITED BY: GEORGE HARTON, MUSIC BY: EYD CAIN, EXECUTIVE PRODUCERS: EYD CAIN, PETER LAMONT, ROBERT LANG
PRODUCED BY: JULIE HARRIS, BASED UPON THE CHARACTER OF JAMES BOND CREATED BY IAN FLEMING, SCREENPLAY BY: BOB BATES, RAYMOND PULLTON, JOHN SHARLEY
DIRECTED BY: TONY MARKLEWICZ, EXECUTIVE PRODUCERS: ALBERT R. BROCCOLI, HARRY SALTZMAN
JON PRODUCTIONS LTD

50 YEARS
OF LALD
7



8. (LALD) Blund. Jamse Blund

‘You coming?’ — ‘Where to? Officer, out for vodka? In broad daylight? During working hours?!? With the greatest pleasure!’

No surprise there. Every agent — whether secret, slick, or just an insurance one — lives under constant stress. Which is why he has to stay flexible and ready to react in a split second.

Doesn’t matter if he’s operating on behalf of the Democratic Paradise Behind the Curtain (Borewicz), the All-Powerful Organization Representing Mr. B. (Largo), your average Post-Colonial Empire (English), or just for the Director of the League of Silas Ram’s Butt (Gru).

An agent — yes! — is constantly exposed to stress. And danger too. Functioning (yes, from the word “functionary”) on the razor’s edge of survival, his nerves and intestines are like tightly stretched ropes — always taut, always at risk of being tugged and frayed, with someone sawing away at them non-stop using a dull knife.

Bond, James Bond; English, Johnny English; Borewicz; Gru; Hunt; or some other Mateusz — operating solo in the field, battling undesirables, fighting evil on a global or just local scale — must be perfectly prepared for every mission.

Even with their arsenal of sophisticated gadgets — Bond’s: a radio, English’s: a duck, Borewicz’s: a comb, Gru’s: a freeze ray, Mateusz’s: a bike — there are moments when nothing, not even Hunt’s legs (always ready to run), can save your sorry ass.

In such hopeless situations, the poor, lonely, abandoned-at-the-mercy-of-the-elements-and-villainous-punctuation-and-heartless-opponents, delicate bundle of muscle and hair has only one thing left: intellect and improvisation. Of course! Before every mission, our agent spends hours studying the subject, learning the tiniest details of his new identity, set-

ting into it, sinking deep, carving new grooves into his brain, training his synapses for automatic reactions in nerve-wracking situations because...

God helps those who help themselves, but here in hostile enemy territory, you can't leave anything to chance. One nuance, one mistake, one tiny oversight, one hesitation a fraction of a second too long — and you're burnt. Your cover's blown. Months of mission prep, with no regard for costs, go up in smoke.

And there might be casualties. And some Fate depends on you!

(Los Lobos, Los Angeles, Los Nech, Los Misfortunes, Los Casualties... and an Elk.)

Let me remind you: all characters and places must be forgotten immediately after reading. It's all top secret, and ideally, you should burn this before reading — but this is a screen, so tough luck. Fine, after reading, please consume cyanide, gouge your eyes out, or better yet, throw yourself off a balcony in advance.

My next mission sent me to... no, not the swamps of Louisiana, although in hindsight — maybe that's where they got the idea for Live and Let Die. I was sent to Kielce. Oh, for... why Kielce?! Why not Vienna, Berlin, Radom, or New Orleans?!

Well, of course — Kielce, like Beirut once was, is the Pearl and Paris of the North.

A den, an enclave, a favorite lair and burrow of top-tier agents, Januses with Two Faces — and Januses with Many Faces. Working for whoever pays more — bribeable scoundrels and unbribeable idealists alike.

I am where I am, because you don't get to pick your mission. And I've been here, at my post, since morning.

I'm smiling politely, though the suit — tailor-made at a chain store — was already pinching me back in traffic.

Waves of people come and go, drift past, ebbing and flowing. I stand there relaxed, like a bronze statue, scanning the

crowd with my seasoned gaze. Waiting. Tense inside, but outwardly calm, boiling like a pot of bigos.

Hundreds of thoughts swirl through my head. The important ones: Will the mission succeed? Will no one die? Will nothing go missing?

And the more important ones: Will I make it? Will I... um... not mess up (or my pants) and get home in time for dinner?

After that last disaster with the parent-teacher meeting, this would be the final nail in my urn. I don't think I'd survive another Domestic OPRDOL — Operation Plan for Realizing Domestic Obligations (Better).

But for now, years of training, experience, natural skills, and luck allow me to focus on the essentials and quickly spot potential threats.

Here, anything's possible. That lady with the basket from the market? Looks ordinary, but could be a World-Class Eliminator (a WCE for short). Don't believe me? Wait till she hits you with an egg.

And those two, with ID badges lying flat on their forward-facing hadrons? They've passed by for the fifth time — maybe they're not heading for a second helping of dessert after a generous pre-lunch snack. Eh... then again, no, they're definitely not faking pregnancy.

I watch. I memorize. I filter. I wait. I am, as always, perfectly prepared.

My cover, polished for months, allows me to maintain that last shred of sanity in the madness around me. Because this situation is so stressful, the pressure under which my heart pumps blood doesn't exist even on North Sea oil rigs.

Shit, what if I don't make it back for dinner?! NO!

There I am, leaning nonchalantly against the wall, humming McCartney's "Live and Let Die," the seemingly harmless crowd flowing past me. The hours are passing, but I'm still in top form, ready for anything.

And then suddenly — where the hell did she come from?! — this nun approaches me. Yes. A nun. Sure, I'd seen

her earlier, but she had been swiftly, thoroughly checked and marked as harmless by the system. “Standard. Let her pass.”

Plastic shopping bag from Biedronka in hand, a polyester backpack on her shoulder, with a small entourage of civilians. Threat level? Zero. And yet — BAM! — there she is!

When she struck up a conversation, asking about the offer, I responded politely, using smooth, memorized lines drilled into me from the promotional flyer. I’m not a salesman, but I’ve been pretending to be one for so long...

I might actually be one by now. Not a bad idea to ask for a commission.

I handed her a stack of leaflets to get rid of her...

Can’t lose focus. I’ve got a mission, sister!

But she presses on: ‘So, what company is this?’

‘And where’s it from?’

‘Oh, that company’s from THAT THERE city?’

And that’s when it always happens. When you least expect it. The shot rings out.

Sudden, precise, devastating: ‘What a small world! I used to live THERE THERE for years. Which parish are you from THERE?’

I freeze. Uhhh... well... excuse me... parish?

The whole hall goes silent. The air gets so thick you could slice it into bricks with a knife. Eyes bore into me, waiting. She’s waiting. Her group is waiting. Humanity itself is waiting, frozen like a lava flow — waiting.

Because how, at the TADEUSZ Expo — the Kielce Trade Show of Devotional Accessories, Ecumenism, Souvenirs, Cassocks and Sacramental Wines — can you not know the answer?!

It’s voodoo. A trap. An ambush. And I walked right into it. I’m screwed.

Easy to be unmasked like this, I’m now realizing myself in escape and in an emergency plan. I won’t make it to dinner either (oh, this is really screwed!), somewhere in the woods, and I feel like I’m in the Louisiana swamps — because I’m

slogging, wading, dripping, bleating, and burping (because instead of a home-cooked dinner, I stuffed myself with other attractions — some grubs washed down with rainwater from the canal).

Wrapped up in some madness, I'm waiting and waiting for some snakes and crocodiles, and I feel that any moment now, after these grubs, I'll really be screwed... royally.

8. (LALD) Błond. Jeden Błond¹

„ — Idzie pan?

— Gdzie? Funkcjonariusz, na wódkę, w biały dzień, w godzinach pracy?!? Z największą przyjemnością!”
Nie ma się co dziwić powyższej reakcji. Każdy agent — tajny, fajny lub tylko ubezpieczeniowy — żyje w ciągłym stresie. Dlatego musi być elastyczny i w ułamku sekundy gotów na wyzwania.

Nieważne, czy działa On z ramienia Demokratycznego Raju za Kurtyną (Borewicz), Wszechpotężnej Organizacji reprezentującej pana B. (Largo), zwykłego Postkolonialnego Imperium (English) lub jeno ino tylko dla dyrektora Ligi Silasa Baraniej Pupy (Gru).

Cięgiem agent yes narażony na stres. I niebezpieczeństwo też. Funkcjonując (to od funkcjonariusza) na krawędzi przetrwania, jego nerwy i jelita są jak postronki — napięte i wiecznie narażone na poszarpywanie, ciągle tępym nożem ktoś przy nich piłując — majstruje.

Bond, James Bond, English, Johny English, Borewicz, Gru, Hunt czy inny Mateusz, działając samotnie w terenie, zmagając się z niepożądanym elementem, zwalczając zło globalnie czy tylko lokalnie, musi być do każdej misji przygotowany perfekcyjnie.

Mimo całej gamy wyrafinowanych gadżetów — Bond: radio, English: kaczka, Borewicz: grzebień, Gru: zamrażacz, Mateusz: rower

¹ <https://szosami.com/2025/03/03/blond-jeden-blond/>

— zdarzają się sytuacje, w których nic, nawet nogi Hunta (wiecznie chętne do biegu), cię nie uratują.

Na tak beznadziejne okoliczności biednemu, samotnemu, porzuconemu na łaskę żywiołów i nikczemnych przecinków i przeciwników bez odrobiny empatii, delikatnemu kłębkwowi mięśni i włosia pozostaje tylko intelekt i improwizacja. Jasne, że tak! Przed każdą misją nasz agent długo studiuje temat, uczy się najdrobniejszych szczegółów swej nowej tożsamości, osiada w niej i grzęźnie, rzeźbi nowe w mózgu rowy, uczy synaps automatycznych reakcji w nerwowej sytuacji, gdyż...

Strzeżonego pan Glock strzeże, ale tu, w terenie wrogim i wrażym, niczego nie można pozostawić przypadkowi. Najdrobniejszy niuans, błąd, luka, drobny szczegół, zawahanie o ułamek sekundy zbyt długie — mogą spalić przykrywkę, zawalić wielomiesięcznie, bez oglądania się na koszt, przygotowaną misję.

Mogą pojawić się ofiary.

A od Ciebie zależy przecież jakiś Los!

(Los Lobos, Los Angeles, Los Nech, Los Szczęścia, Los Ofiaros, Łoś).

Upprzedzam i przypominam: wszystkie postaci i miejsca zaraz po przeczytaniu musisz zapomnieć. Obowiązuje tajemnica i najlepiej byłoby to spalić przed przeczytaniem, ale to ekran i nie da się.

Ok, po przeczytaniu uprasza się spożyć cyjanek i wydlubać sobie potem oczy, a najlepiej zawczasu rzucić się z tarasu.

47Z kolejną misją zostałem wysłany do... Nie, nie były to bagna Luizjany, chociaż teraz, z perspektywy czasu — myślę, że to po tej akcji nakręcono *Żyj i pozwól umrzeć*.

Z misją pojechałem do Kielc. Bosz... dlaczego Kielce?! Cze-muż nie Wiedeń, Berlin, Radom czy Nowy Orlean?

No tak, to oczywiste — Kielce, jak kiedyś Bejrut — to Perła i Paryż, tylko północny.

Siedlisko, enklawa, ulubiona gawra i barłóg przyczajonych ekstraligowych agentów, Janusów Dwu- a Januszy Wielolico-wych.

Działających dla tego, kto da więcej — przekupnych szumowin i nieprzekupnych idealistów.

Jestem, gdzie jestem, bo misji się nie wybiera, i od rana trwam tu na posterunku.

Uśmiecham się miło, a garnitur, mimo że szyty w sieciówce na miarę, uwierał mnie już rano, w korku.

Przypływają, przepływają i odpływają fale ludzi. Stoję wyluzowany niczym spiżowy posąg, skanuję doświadczonym wzrokiem tłum, czekam. W napięciu, choć z pozoru spokojny, w środku wrze jak w bigosie. Kłębią się w głowie setki myśli.

Tych ważnych: czy misja zakończy się powodzeniem, czy nikt nie zginie i nic nie zaginie.

Oraz tych ważniejszych: czy się uda, czy hmm... nie nawalę (np. w gacie) i wrócę na czas na kolację (na chacie).

Po ostatniej wpadce z wywiadówką to już byłby ostatni gwóźdź do mej urny. Kolejnego domowego OPRDOL — Opracowania Planu Realizowania Dotychczasowych Obowiązków Lepiej — chyba już nie przetrwam.

Lecz póki co, wieloletni trening, praktyka, wrodzone umiejętności oraz szczęście pozwalają skupić się na meritum i szybko wychwytywać potencjalne zagrożenia.

Tu możliwe jest wszystko — ot, baba, z koszykiem z bazaru, z pozoru zwykła, może być Światowej Klasy Eliminatorem (tzw. SiKiEm).

Nie wierzysz? Zaczekaj, aż jajem uderzy.

48A ci dwaj, z identyfikatorami położonymi poziomo i płasko na sterzących z przodu hadronach? Piąty raz tędy idą — i może wcale nie udają się na drugi deser po sutym podwieczorku z podkurkiem zaraz przelunchowym.

E... chociaż nie, oni raczej ciąż nie udają.

Obserwuję, zapamiętuję, eliminuję, odsiewam, czekam.

Jestem, jak zawsze, perfekcyjnie przygotowany.

Przykrywka, szlifowana miesiącami, pozwala zachować tę odrobinę zdrowego rozsądku w tym szaleństwie wokół. Sytuacja bowiem ta jest stresująca tak, że ciśnienie, pod jakim moje serce pompuje krew, nie występuje nawet na północnomorskich stacjach wiertniczych.

Kurwa, a jeśli nie zdążę jednak wrócić na kolację? Nie!

Kiedy tak stoję nonszalancko oparty o ścianę nucąc “Live and Let Die” McCartneya, a ten pozornie niegroźny tłum przepływa obok mnie, mijają mi ałery, a ja wciąż stół jestem w szczytowej formie i gotów na wszystko.

Nagle — skąd ona się tu wzięła?! — podchodzi do mnie ta zakonnica. Tak. Zakon Nica. Jasne, już wcześniej ją widziałem,

ale została błyskawicznie, bacznie i badawczo sprawdzona oraz oznaczona przez system jako niegroźna.

„Standardowa, przepuścić”.

W ręce reklamówka z Biedronki, na ramieniu plecak z poliestru, obok niej klika z kilku cywili.

Zagrożenie? Zero. A tu nagle — ciach! — i jest!

Kiedy standardowo, jakby typowo dla roli, którą gram, zagadnęła mnie o ofertę, odpowiedziałem grzecznie okrągłymi, wyuczonymi, zdaniami na blachę wkutymi z ulotki reklamowej.

Nie jestem handlowcem, ale od tak dawna go udaję...

że już chyba nim jestem. Nie głupia myśl pobierać jakaś prowizję.

Wręczyłem jej na odczepnego plik ulotek, niech już idzie...

Nie mogę się dekoncentrować. Ja mam tu misję, siostro, do wykonania. A onna naciska — A co to za firma? — Dopytuje — A firma ta skąd? — Konstatuje — O, to firma i pan z TEGO TAM miasta?

49Tak, i właśnie wtedy, zawsze wtedy, kiedy najmniej się spodziewasz... Pada strzał.

Niespodziewany, a celny i precyzyjny: — Jaki ten świat mały, ja tam właśnie mieszkalam TEGO TAM kilka lat. A z której pan TAM TEGO jest parafii?

Kamienieję... y... ten... no... ale, że przepraszam... parafii?

Cała hala zamiera, w ciszy gęstej tak, że można ciąć ją na wielkie bryły nożem, świdrując mnie spojrzeniami... czekają.

Ona czeka, klika czeka, ludzkość zastygła jak lawy rzeka — i też kurwa czeka. Bo jak, na Targach Akcesoriów Dewocjonalii Ekumenizmu Upominków Sutann, Zakrystii i Win Mszlanych w skrócie TADEUSZ — Kielce Show, można tego nie wiedzieć? To Voo-doo, pułapka i zasadzka, a ja wpadłem i mam przesrane.

Łatwo tak zdemaskowanym, realizuję się teraz w ucieczce i planie awaryjnym. Na kolację też już nie zdążę (oj, to dopiero przesrane!), gdzieś w lasach, a czuję się jak na luizjańskich bagnach — bo brnę, brodzę, broczę, beczę i bekam (bo zamiast domokolacji nażarłem się innych atrakcji — jakichś pędraków popitych deszczówka z kanału). Omotany jakiś obłędem czkam i czekam na jakieś węże i krokodyle i czuję, że za chwilę to dopiero będę miał, po tych pędrakach, przesr... rąbane.

IAN FLEMING'S

ALBERT R. BROCCOLI ... HARRY SALTZMAN
... IAN FLEMING'S JAMES BOND 007

THE MAN WITH THE GOLDEN GUN



ROGER MOORE is JAMES BOND



STORY BY CHRISTOPHER LEE, BRITT ERLAND, MAUR ADAMS
SCREENPLAY BY HERVE VILLOCHARD, CLIFTON JAMES, RICHARD LOO
DIRECTED BY RICHARD MARSDEN ... TOM MANKIEWICZ
EXECUTIVE PRODUCERS JOHN GREYSMARK ... PETER LAMONT
PRODUCED BY PETER MORTON, MUSIC BY JOHN BARRY
EDITED BY TED MOORE, COSTUME DESIGNER EDWARD MORRIS
EXECUTIVE PRODUCER GUY HAMILTON
PRODUCED BY ALBERT R. BROCCOLI ... HARRY SALTZMAN



9. (TMWTGG) Exit the Little Dragon

Bruce Lee's influence on people back in the day — and on *The Man with the Golden Gun* — is hard to miss. And no wonder. In the 1970s, the world went absolutely nuts for kung fu cinema, and Bruce Lee was right at the center of that hurricane. When they were shooting *The Man with the Golden Gun* in 1973–74, Bruce Lee was a living legend. His *Enter the Dragon* (1973) had just exploded in cinemas worldwide, and the martial arts craze had Hollywood doing flying kicks in every direction.

The Bond producers, always keen to keep up with the trends, jumped on the bandwagon and squeezed some karate and kung fu into the plot. At one point, Bond ends up at a “karate school” in Bangkok, facing off against hand-to-hand combat masters. The whole sequence feels like it was ripped straight out of a classic kung fu flick: a little over-the-top, a little comic-booky, but meant to fit perfectly into the global martial arts mania that Bruce Lee had kicked into high gear.

Now, Roger Moore was famous for playing Bond as a suave, witty gentleman — not a bone-crunching tough guy. But here, he had to roll up his sleeves and get into some serious hand-to-hand brawling, with plenty of chops and kicks, which was... not exactly his thing. Moore later admitted it felt awkward. In his view, Bond was a man who fought with gadgets and guns, not his fists.

The dojo scene is crowded with all the classic kung fu movie tropes: old masters with long mustaches, traditional outfits, the whole shebang. It was a respectful (if slightly stereotypical) nod to Bruce Lee's movies, which often took place in similarly iconic settings. Even the pint-sized but crafty Nick

Nack (played by Hervé Villechaize) fits the trend — just like Bruce Lee (or Jack Reacher, come to think of it), he's small but dangerously hard to beat.

Bond himself had to channel a bit of that kung fu hero energy, even though Roger Moore was quick to point out he was “no Bruce Lee.” After all, Bruce Lee wasn't just the guy who brought martial arts to Western cinema — he completely changed how we thought about fighting on screen. After *Enter the Dragon*, audiences wanted fast, furious, and spectacular fight scenes.

On July 26, 1973, somewhere in the evening hours, *Enter the Dragon* premiered in Hong Kong. In Poland, *Enter the Dragon* landed in cinemas on June 22, 1982—nearly nine years later. Martial law was in full swing, and the authorities were desperate for ways to distract the youth from politics. Their earlier attempt, *Apocalypse Now*, hadn't really done the trick.

But then they came up with a couple of hits. One was the Program III Music Chart show, which started broadcasting on April 24, 1982. The other? Well... the arrival of *Enter the Dragon*. Tickets cost 120 złoty — if you managed to get one. If not, scalpers were selling them for 400. “Keep it in a cover, don't fold it, don't use it, and it'll last you five years,” they'd say.

Kurier Polski proudly reported that the line in front of Warsaw's “Relax” cinema was a full kilometer long, beating the previous record — held by a line for toilet paper — by 23 meters. The night before, a citizens' queue committee had been formed (right there in front of the theater), equipped with: five brown grid notebooks, four pencils, a fragrant eraser, one sleeping bag, and an unshakable determination — “over my dead body!”

Yeah... those were different times. “People who did a good job — because they were good people,” as they'd say — tried to do what they did well. For example, one factory director refused to change the recipe for his confectionery products because it would have lowered their quality. Vacation

resorts were actually built for vacationing. And ticket ladies...

Ah yes, the ticket ladies. If a movie was rated 18+, they enforced it — no exceptions, no mercy. Well, actually — scratch that. They did it dutifully, but without mercy.

So, maybe it was for the best that *Enter the Dragon* got its communist-era release a little bit late (upholding the fine PKP tradition: “The film is delayed by 4,733,640 minutes. This delay may remain unchanged.”). Thanks to this strategic delay, I had some time — being a sprout of a lad — to grow a little taller. To mature. To inch closer to that magical, non-negotiable, long-dreamed-of (because who wouldn’t want to be an adult, staying up as late as they want, even a full hour after the bedtime cartoon?) age of adulthood.

Except, well... even though I felt ready and every bit an adult, the truth was... I wasn’t quite 18 yet. And it showed. Unfortunately.

And that’s when the question hit me (back then): how do you get in to *Enter the Dragon* if you have no way out, and you’ve forged your ID with a potato stamp, but even with that, you’re still not 18—and therefore not getting in?

The ticket ladies didn’t mess around. And you weren’t the godson of any of their friends, which meant they weren’t about to swap your “entry” for a coal voucher or a kilo of black-market pork. Nope. Time to break out the brown, grid-lined notebook (made of what passed for cellulose paper in its substitute packaging) and run some cold, hard theoretical calculations. You had to hatch a plan — one that, when executed, could invoke higher, maybe even the highest authority. The kind that made even the ticket ladies’ knees buckle and sent them fainting to the floor:

“You don’t know who my dad is?!”

In a fit of desperation, dyslexia, dystopia, and pure emotion, I chewed that pencil to bits. Beavers still use it as a case study. But eventually, I sketched out a plan — full of spelling mistakes, no diction whatsoever — and then

promptly spilled ink from my Chinese pen all over it in a panic.

Screw it. I threw the whole mess in the corner and went to my mom.

“Mom, can I go see Enter the Dragon?”

“Go on then...”

“Wait — really? I can?! (Damn, that was easy!)”

“Go on and get out of here! Never in your life! That movie’s for adults! Why don’t you go to novena instead?!”

And that’s how they treated budding youth back then. A future karate master, a martial arts scholar (self-taught via Świat Młodych), a theorist wanting to study practical application from the best of the best? Treated like that?!

Fine then. Now I really had no way out. If I was going to get in to Enter the Dragon, I had to get out, walk out, and call Dad. If that’s how it had to be — then To Dad it was!

Now listen up, kids (Apple! Do something about those prices!). Back then, there was no such thing as whipping out your “Memory Five — Siara! — clear as day!” cell phone. You had to take coins and hike over to a phone booth. One of those green ones, covered in graffiti, windows smashed. Telephone booth.

There was one not far away. I snagged some change from my reluctant sponsor’s purse and made my way there. Inside: a silver dial phone with a rotary dial, and the receiver... snapped off. Great.

Fine. On to the next booth. There’s another... but no dial tone. Okay, next one. Because in life, you never give up. Sitting around worrying is like rocking in a rocking chair — sure, it keeps you busy, but it doesn’t get you anywhere.

Aha! Booth! Good! Receiver? Check! Dial tone? Check! Except now, nerves had fried my brain, and I couldn’t remember my dad’s work number. And of course, there was no phone book inside. (If there ever was one, someone entrepreneurial probably handed it in for paper recycling to get a no-wait toilet paper allocation — or used it for its original purpose.)

I head back home. Write the number down on my hand — and on my forearm for good measure — with my Chinese pen (a burgundy one with a “gold” cap — rare exception). I head back to the booth, call, wait fifteen minutes for my dad to be dragged in from the field on emergency duty, and after just twenty-five minutes:

“Hello?”

“Dad, can I go to Enter the Dragon?”

“You can... beep... beep... beep...”

“Hello?! Hello?! Dad? Citizen, are you still there?!”

Gone. He’d already left. Yeah. That guy... he didn’t mess around.

But... permission granted!

Evening comes — well, technically it’s still afternoon, not even four yet — and I’m dressed like an ostrich on Corpus Christi, and as tense as a stockholder at an Asian market crash. I head out, walk up, and step into the cinema. “Step into” is really a euphemism for “get sucked in and dragged along by a wild mob of bestseller connoisseurs, future karate masters, world travelers, and men of broad horizons.”

The box office is to the left of the entrance, and even from afar you can feel the atmosphere...

People clearly didn’t have time to wash up after work. Plus, this isn’t bath day — it’s not Saturday. And back then, nobody used Old Spice on a weekday. For one thing, it was expensive, and for another, it hadn’t even been invented in Poland yet. The crowd was enormous — like Ruch Chorzów versus Real Madrid enormous — billions of people, give or take a couple. The smell? Negative points. Ticket or death! Fine, then — death it is.

Pressed up against the glass, waiting and wondering whether I’ll make it out in one piece — or in pieces, flying out the window along with the shards — I meditate on the fragility of glass and life itself. I do some quick calculations on pressure distribution to figure out how much weight this thing can take, and whether young me and the window can stay in one piece together.

After a long struggle and moving in the style of “celebrity mode” (like a suckerfish) and “Egyptian style” (full profile), and after showing no mercy but being shown some by a kid who lets me squeeze past — I finally bought it. I got it. I earned it. I have it!

I leave behind the heartbroken remains of latecomer unfortunates — those still hoping they’ll get tickets for the seven o’clock show. (They don’t know they might actually get them...

Might even be for seven...

But sure as death, not for this movie.)

I make my way through the lobby into the foyer. Ah... classy, glamorous, big-city vibes. The rest of the audience — having downed a few beers in the nearby park — have already swaggered into the screening room, reeking of working-class charm. Finally, I can breathe — the stench has moved on ahead of me.

Velvet and plush ottomans are spread out grandly, posters for the big PRL blockbusters hang on the walls, and the carpets — only lightly worn — stretch out under my feet. The curtains are drawn just right, giving the place that adventurous Raiders of the Lost Ark kind of vibe. Curtains, sorry — cinema.

I step inside, shaking with adrenaline, emotion, and sheer youth... Oh man, this is gonna be epic!

— “Ticket.”

— “Here you go,” I say proudly, handing over the ticket I ripped from the jaws of death.

— “But this movie’s rated 18 and up!”

— “Yeah, but my dad said I could!”

— “And why on earth would I care?”

9. (TMWTGG) Wyjście Smoczka¹

Wpływy Bruce’a Lee na ludzi tamtych czasów i w *The Man with the Golden Gun* są bardzo widoczne — i to nieprzypadkowo. W latach 70. świat oszalał na punkcie kina kung-fu, a Bruce Lee był w centrum tej rewolucji. Kiedy film kręcono w 1973–74 roku, Bruce Lee był absolutną ikoną.

Jego *Wejście smoka* (1973) podbiło kina na całym świecie, a boom na sztuki walki ogarnął także Hollywood. Producenci Bonda chcieli, żeby ich film podążał za trendami, dlatego wpleciono w fabułę wątki związane z karate i kung-fu. W pewnym momencie Bond trafia do „szkoły karate” w Bangkoku, gdzie zmagają się z mistrzami walki wręcz. Cała sekwencja jest jak żywcem wyjęta z ówczesnych filmów kung-fu — trochę przerysowana, trochę komiksowa, ale miała wpasować się w modę, którą Bruce Lee rozkręcił na maxa.

Roger Moore był znany z tego, że wolał grać eleganckiego i dowcipnego Bonda, a nie brutalnego twardziela. Ale właśnie w tym filmie musiał więcej walczyć wręcz, wykorzystując chwyt i kopniaki, co nie było jego mocną stroną. Moore potem mówił, że czuł się z tym sztucznie, bo uważał, że Bond powinien walczyć głównie bronią, nie pięściami. W dojo pojawiają się stereotypowe postacie mistrzów sztuk walki — z długimi wąsami, tradycyjnymi strojami itd. To ukłon w stronę filmów Bruce’a Lee, które często osadzały akcję w podobnych sceneriach. Mały, ale sprytny Nick Nack (Hervé Villechaize), choć nie jest mistrzem kung-fu, wpisuje się w trend z filmów Bruce’a Lee (który, jak Jack Reacher, nie wyglądał): niepozorna postać, która może być niebezpieczna i trudna do pokonania.

James Bond musiał więc trochę „przypominać” postać z tamtych filmów, chociaż Roger Moore sam przyznawał, że „nie jest Bruce’em Lee”, który nie tylko wprowadził sztuki walki do zachodniego kina, ale też zmienił sposób myślenia o walce na ekranie. Po *Wejściu smoka* widzowie chcieli więcej dynamicznych, efektownych scen walki wręcz. W 1973 roku, 26 lipca, gdzieś wieczorem, w Hongkongu odbyła się premiera *Wejścia smoka*. W Polsce *Wejście Smoka* pojawiło się w kinach 22 czerwca 1982 r., prawie dziewięć lat później. Trwał stan wojenny, władze szukały różnych sposobów, żeby odciągnąć młodych

¹ <https://szosami.com/2024/11/21/wyjście-smoczka/>

obywateli od polityki, a próby z Czasem Apokalipsy jakoś im nie wyszły.

Jednym z bardziej udanych pomysłów była Lista Przebojów Programu III, nadawana od 24 kwietnia 1982 r. Drugim wyjściem było wejście Wejścia smoka. Bilet kosztował 120 zł — jeśli udało się go kupić. Jeśli nie, u konika 400 zł. „Trzymać w okładce, nie miąć, nie używać, 5 lat będzie służył.” Kurier Polski z dumą donosił, że przed warszawskim kinem „Relax” ustawiła się kilometrowa kolejka, przebijając o 23 metry rekord kolejki po papier toaletowy. Poprzedniego dnia wieczorem zawiązał się tam (przed kinem) społeczny komitet kolejkowy, posiadający na stanie: 5 brązowych zeszytów w kratkę, 4 ołówki, pachnącą gumkę do mazania i śpiwór oraz determinację — „że po moim trupie”. W ogóle wtedy były trochę inne czasy. „Ludzie dobrej roboty, bo są nimi przecież”, starali się robić to, co robią — dobrze. Przykładowo jeden z dyrektorów zakładów cukierniczych odmówił zmiany receptury produkowanych wyrobów, gdyż pogorszyłoby to ich jakość.

Domy wczasowe budowano w celach wypoczynkowych, a panie biletery... Panie biletery, gdy film był od lat 18-tu, pilnowały tego zasadniczo, bez wyjątków i z sumieniem. Tzn... wróć — sumiennie, bez sumienia. Dlatego dobrze się stało, że Wejście miało swoje komunistyczne wejście z lekka opóźnione (podtrzymując chlubne tradycje PKP: „Film jest opóźniony o 4 733 640 minut, opóźnienie może nie ulec zmianie”).

Dzięki temu strategicznemu spóźnieniu miałem trochę czasu, żeby — będąc odrostkiem — jakoś jeszcze ciut podrosnąć. Dorosnąć trochę bliżej do tej magicznej, nienegocjowalnej, wymarzonej (no bo kto by nie chciał być dorosły i chodzić spać, kiedy chce, nawet godzinę po dobranocce?) dorosłej liczby. Siet, ale mimo że czułem się gotowy i ze wszech miar dorosły, to w praktyce trochę mi jeszcze wtedy do 18-tki brakowało i było to widać... niestety.

I teraz (tzn. wtedy) zagwozdka: jak wyjść, pójść i wejść na Wejście, jeśli nie masz wyjścia i podrobiłeś, ale nawet z podrobinażem ziemniakiem legitymacją nadal nie masz 18 lat i wejścia nie ma? Panie biletery się z takimi nie certolą, a nie jesteście „pociechą” żadnej z ich koleżanek i nie wymienią twego „wejścia”

na talon-asygnatę węglową lub kilo schabu z pod lady. Cóż, w zeszytach (taki brązowy, z papieru celulozowopodobnego, w opakowaniu zastępczym) trzeba dokonać pewnych na zimno skalkulowanych obliczeń teoretycznych, aby potem przekuć je w działania praktyczne,

tak aby móc się później powoływać na wyższe, może nawet najwyższe instancje, przy których nawet bileterom miękną nogi i zemdlone padają na podłogi:

— Pani nie wie, kto jest mój tato!?

W ataku desperacji, dysleksji, dystopii i emocji pogryzłem ołówek tak, że bobry robią na tym do teraz szkolenia, ale koniec końców naszkicowałem z błędami

i bez dykcji plan, którego już po chwili sam nie potrafiłem odczytać, i jeszcze rozlałem na to w nerwach atrament od chińskiego pióra.

A dobra... rzuciłem tym wszystkim w kąt i poszedłem do mamy.

— Mamo, mogę iść na Wejście smoka?

— A idźże...

— O, naprawdę mogę?! (kurde, łatwo poszło)

— A idźże mi stąd, nigdy w życiu, to film jest dla dorosłych, na nowennę byś poszedł!

Tako to się traktuje pączkującą młodzież, przyszłego karatekę, mistrza sztuk podpatrzonych w Świecie Młodych, teoretyka, który chce się uczyć od najlepszych praktyki? Tak?! Oj, to ja teraz nie mam wyjścia. Skoro tak, żeby wyjść na Wejście, muszę wyjść, pójść i zadzwonić do ojca. Skoro tak to, to do Taty! Wtedy, droga młodzieży (Apple! Zrób coś z tymi cenami), nie było, że wyciągam komórkę „Memory fajf, Siara, i wszystko jasne”. Wtedy trzeba było się udać z bilonem do „Budki”. Taka zielona, popisana, z wybitymi szybami „Telefoniczna”. Akurat była jedna niedaleko, zakosiłem więc bilon z portmo- netki od niechętnej sponsorki i poszedłem. W środku srebrny automat z okrągłą tarczą i cyferkami oraz z urwaną słuchawką. No dobra, w sumie... było do przewidzenia. Od razu mogłem iść do następnej. Jest następna, i słuchawka też... nie ma sygnału. To do następnej, gdyż w życiu nigdy nie należy się poddawać, a siedzenie i martwienie się jest jak bujanie w bujanym fotelu — niby coś robisz, ale do przodu cię to nie posuwa. Dobra, jest budka, dobra!

Słuchawka, sygnał, ale z nerwów zapomniałem numeru telefonu na zakład do ojca, a książki telefonicznej w „budce” nie ma (jeśli w ogóle kiedykolwiek była, to pewnie ktoś przedsiębiorczy zabrał i zdał na makulaturę, by uzyskać przydział na pozakolejkowy papier toaletowy, lub zużył ją w jego charakterze). Wracam do domu, spisuję numer przezornie na ręce i na przedramieniu chińskim piórem (takie bordowe ze „złotą” skuwką — wyjątek). Wracam do budki, dzwonię, czekam 15 minut, aż ojciec w trybie pilnym zostanie ściągnięty gdzieś tam z terenu i już po 25 minutach:

— Halo?

— Tato, mogę iść na Wejście smoka?

— Możesz... pi... pi... pi...

— Halo? Halo?! Halo tato, tato? Obywatelu, jesteście tam jeszcze? Nie ma, już poszedł. Ta, Ten To się w tańcu nie pergoli, no ale... jest zgoda! Wieczorem, czyli po południu, przed 16, ubrany jak struś w Boże Ciało, a przejęty jak spółka na azjatyckim rynku, wychodzę, idę i wchodzę do kina. „Wchodzę” to taki eufemizm na „zostaję wciążgnięty i przeciągnięty przez dziki tłum koneserów bestsellerów, przyszłych mistrzów karate, światowców i ludzi szerokich horyzontów”. Kasa na lewo od wejścia i już z daleka doskonale czuć tę atmosferę... Ludzie po robocie umyć się nie mieli czasu. Poza tym to nie jest dzień kąpielowy, nie sobota, a „Old Spajsa” się wtedy na co dzień nie używało, bo drogi i jeszcze w Polsce niewynaleziony. Narodu przybyło jak — na mecz Ruchu z Realem Madryt — miliardy, chyba ze dwa. Zapach ujemny. Bilet albo śmierć! Dobra, to śmierzdź. Gdy przyciśnięty do szyby — czekając i dumając, czy wyjdę z tego po-cięty i razem ze szkłem, przez okno, czy się nie dam i drzwiami, z bi-letem — rozmyślam nad kruchością szkła i życia, oraz obliczam, jaki nacisk powierzchniowy i jak rozłożony spowoduje, że szkło oraz młody ja pozostaniemy w jednych kawałkach. Po długiej walce, prze-mieszczaniu się w stylu „na celebrytkę” (jak glonojad) i „po egip-sku” (z profilu), ale nieodpuszczeniu i litościwym gówniarza dopusz-czeniu, w końcu kupiłem, dostałem, zdobyłem! Mam! Zostawiam zrozpaczone niedobitki spóźnionych pechowców, tych, co jeszcze li-czą, że może kupią bilet na 19-tą. (Nie wiedzą, że może i kupią, może nawet na 19-tą, ale na pewno nie na ten film). Przez lobby pakuję się do foyer. Ech... jest elegancko, glamurowo, wielkoświatowo. Reszta publiki, po „zrobieniu” kilku piw w okolicznym parku, ze swadą chłoporobotniczą weszła już na salę projekcyjną. Tu się w końcu od-dycha — smród przemieścił się za nimi. Pluszowo-welurowe otoma-ny stoją rozłożyste, plakaty z wielkimi produkcjami PRL wiszą na ścianach, a wykładziny, tylko z lekka poprzecierane, zaległy u mych stóp. Story są klimatycznie zasłonięte. Całość tworzy atmo-sferę wielkiego, niemal jak z „Poszukiwaczy zaginionej Arki”, story, sory — kina. Wchodzę w drgawkach adrenaliny, emocji i młodości... Oj, ależ się będzie działo!

— Bilet...

— Proszę — z dumą podaję bilet wydarty paszczy śmierci.

- Ale ten film jest od 18 lat!
- Ale mnie tato puścił!
- Ale co mnie to obchodzi?

BARBARA BACH
ANJA AMASOWA

THE SPY WHO LOVED ME

10. (TSWLM) Window breaker

One acquaintance, while fiddling with my Leatherman (a handy gadget kit for men — it has pliers, a knife, a bottle opener, and other unnecessary gadgets), noticed the window breaker installed in it. With a mocking smile, he asked, “What’s that for?”

— “I don’t know, it was there, so I have it...”

He didn’t believe me, and rightly so; I rarely do things without a reason. And not entirely unrelated, I recently read about a driver who, speeding around a curve (oh, like us all, he’s a master, so it must have been the curve’s fault!), ended up skidding, then into a river, and finally discovered that all those cinematic tricks — breathing underwater, kicking out windows, and 15 minutes of underwater swimming without scuba gear — didn’t work.

Despite all the tricks, the guy didn’t survive. Hmm, nonsensical, it intrigued me, like King Julian — why? The car goes into the water, and immediately, like a stone, it sinks? No, you can’t change the laws of physics, and don’t be a fool. For some time (buoyancy), it floats on the water, and no matter how it enters — sideways, from above, head-on, or rolling — the low center of gravity, so desirable on the road, causes the car to float wheels down. Okay, so we have flotation for now, what next?

Next, water will quickly start to enter the car, and the engine, like it or not, damn physics, will pull the vehicle underwater first. During this time, before gravity takes over, don’t reminisce about movies, don’t take photos for Instagram, and don’t call your friends, not even 911—there’s no point: it will take too much time, and they won’t get there in time.

Don’t wait to test Jason Bourne’s scenes, for some immersion to catch a breath from an air bubble and emerge like Aqu-

aman from the depths, because now (when the car is floating) you have the best chance of getting out alive.

So, what do we do, exit the vehicle?

Yes and no. Don't try to open the doors now; you probably won't be able to. Everything happens faster than I'm writing it; the pressure of the water will prevent you, and even if you manage to crack them open, you'll just create more problems, as water will get inside faster.

So maybe we lower the windows? Good idea, but this is the 21st century, comfort has its rights, electric windows are no longer manual, and lowering the windows to exit the vehicle might not work. Back in the '90s, electric window „rollers” were made to work for three minutes after power was cut, but now, changes in vehicle electronics often mean they don't work. Okay, if you can't lower the window, you need to break it while the water level is below it, because once it's above... breaking the window will, if you manage to do it at all, push glass shards into your face, doubling your trouble.

At least, you won't be bothered by your ugly face for long, as you'll die soon anyway. Okay, enough speculation, break the window. It's almost certain, and just as likely as the car falling into the water, that you have a spring-loaded window breaker, an emergency hammer, or, like me, a breaker in your multi-tool. If you do (Seriously?!? Respect!), break that window. The pieces will fall outside, and you'll be okay. But if you don't have anything like that?

Don't panic, don't write a will — the water will dissolve it anyway — remove the headrest and use its leg to break the window. Once you've broken it, the escape route is ready. Are there kids on board? Start evacuation with them, by the way, starting with the oldest. The oldest will help the younger ones. Then the ladies, and finally, we exit ourselves.

And how's the situation? Didn't work out? Cool, all of this happens faster than you read, so it might not have worked. Panic, the windows didn't lower, you didn't break them with the hammer, you forgot about the headrest because you didn't re-

ad this post, the water is rising... Okay, now it's calm and relaxed, and actually, you're already dead, so there's nothing to risk, you can fight. Time to move to Master Level Schwarzenegger.

Focus! When the water expels all the air from the car, but remember, the air must also escape from the trunk to equalize pressure gradients, then, please, the pressure on both sides of the door will equalize, and you might be able to open them. If you don't panic, wait long enough, take a breath, there's a chance, but calmly, without euphoria — a minimal chance — that you'll survive coming up.

So it's like this — you brace yourself, with cold blood because the water is as cold as hell, wait until the car is completely submerged, laughing in the face of death, take a deep breath, open the door (try bracing with your feet), head towards the surface and life (hint: it's usually upwards) and, with a breath of air and a song on your lips, you head out... and damn it... because you forgot to unfasten your seatbelt!

Exceptions? Yes — James Bond and his Lotus-submarine, and Convertible Drivers.

10. (TSWLM) Zbijak¹

Jeden znajomy bawiąc się moim Leatherman'em (taka podręczna kosmetyczka dla mężczyzn — ma kombinerki, nóż, otwieracz i inne zbędne gadżety), jak go już wyotwierał na wszystkie strony i nie umiał pozamykać, zauważył zainstalowany w nim zbijak do szyb. Z szyderczym uśmiechem zapytał

— A po Ci po co?

— A nie wiem, takie sobie było, to mam...

Nie uwierzył, i prawidłowo, mało co robię bez powodu. I niezupełnie bez związku przeczytałem ostatnio, że jeden kierowca, jadąc szybko, na zakręcie (nie no, on jak my wszyscy jest mistrzem, to jak zawsze

¹ <https://szosami.com/2024/12/03/zbijak/>

winny był zakręt!), wpadł sobie w poślizg, potem do rzeki, a na koniec okazało się, że jednak wszystkie te filmowe sztuczki z oddychaniem pod wodą, wybijaniem szyb z kopa i 15 minutowym podwodnym pływaniem bez akwalungu nie zadziałały.

Gość mimo zastosowania wszystkich trików, nie przeżył. Hmm, bez sensu, zaciekało mnie, jak Króla Juliana — dlaczegoż to? Auto wpada do wody, i od razu, jak kamieni, tonie? No nie, praw fizyki pan nie zmienisz i nie bądź pan głąb. Przez jakiś czas (wyporność) unosi się na wodzie, i żeby nie wiem jak wpadło — bokiem, górą, przodem czy w koziołkach — nisko położony środek ciężkości, tak pożądanym na drodze, powoduje, że samochód unosi się kołami w dół. Dobra, chwilowo mamy pływalności, co dalej?

Dalej woda będzie się dość szybko dostawać do auta, a silnik, czy tego chcesz czy nie, cholerna fizyka, będzie ciągnął pojazd pod wodę w pierwszej kolejności. W tym czasie, zanim grawitacja zrobi swoje, nie przypominaj sobie filmów, nie rób zdjęć na „Insta” i nie dzwoń po znajomych, nawet nie dzwoń na 112 — to nie ma teraz sensu: zabierze za dużo czasu, a i tak nie zdążą przyjechać.

Nie czekaj żeby przetestować sceny z Jasona Bourne’a, na jakieś tam zanurzenie, aby nabrać powietrza z bąbla powietrznego i z rozbryzgami odrzucanych włosów wyłonić się jak Aquaman z odmětów, bo to teraz (kiedy auto się unosi) masz największą szansę wyjść z tego z życiem.

To co robimy, opuszczamy pojazd?

Tak, i nie. Nie próbuj teraz otwierać drzwi, raczej nie otworzysz.

Wszystko dzieje się szybciej niż ja to piszę, napór wody już ci nie pozwoli, a nawet jak je uchylisz to tylko narobisz sobie problemów, bo woda szybciej się dostanie do środka.

To może opuszczamy szyby? Dobry pomysł, ale to jest XXI wiek, wygodą ma swoje prawa, elektryczne szyby już nie są na korbkę, i może się to opuszczanie pojazdu poprzez opuszczanie szyb nie udać. Jeszcze w latach 90-tych elektryczne „opuszczacze” szyb były tak robione, żeby 3 minuty po wyłączeniu dostaw prądu, mogły działać, ale teraz, zmiany w elektronice pojazdów powodują, że przeważnie nie działają. Ok, jednak nie udało się opuścić, trzeba taką szybę wybić, póki woda jest poniżej jej poziomu, gdyż jak będzie powyżej... wybite szyby spowoduje, jeśli w ogóle się to uda, że woda ci odłamki szkła wepchnie w twarz i przerabane podwójnie masz.

Choć tyle dobrze, że krótko będzie cię martwić brzydka buzia bo i tak za chwilę umrzesz. Dobra, dość dywagacji, wybijamy. Jest

prawie pewne, i tak samo prawdopodobnie jak wpadnięcie autem do wody, że masz tam na podorzędziu, w zasięgu, sprężynowy zbijak do szyb, samochodowy młotek ratunkowy lub, tak jak ja, zbijak w szczyryku. Jeśli jednak masz (Kurde Naprawdę?!? Szacun!) to rozbijaj tę szybę. Kawałki wypadną na zewnątrz i luz. A jeśli nie masz nic takiego?

Bez paniki, nie pisz testamentu — woda i tak go rozpuści, wyjmij zagłówek i jego nóżką rozbij szybę. Jak już rozbiłeś, droga ratunkowa jest gotowa. Są dzieci na pokładzie? Od nich zacznij ewakuację, na boku dodam, że od najstarszych. Najstarsze jak wysiądą pomogą młodszym. Następnie Damy, a na końcu sami wysiadamy.

I jak sytuacja? Jednak się nie udało? Spoko, wszystko to dzieje się szybciej niż czytasz, więc mogło się nie udać. Panika, szyby się nie opuściły, nie rozbiłeś ich młotkiem, o zagłówek nie pomyślałeś bo nie czytałeś tego wpisu, woda sięga coraz wyżej... Dobra, teraz już spoko i luz, i tak właściwie już nie żyjesz, więc nic nie ryzykujesz, można powalczyć. Czas przejść na poziom Master Level Schwarzenegger.

Skup się! Kiedy woda wyprze całe powietrze z auta, ale uwaga, trzeba pamiętać, że powietrze musi wydostać się również z bagażnika, aby zniwelować gradient ciśnienia, wtedy, proszę ja ciebie, wyrówna się cienienie z obu stron drzwi i być może uda się je otworzyć. Jak nie wpadniesz w panikę, zaczekasz odpowiednio długo, nabierzesz haust powietrza, to jest szansa, ale spokojnie, bez euforii — minimalna, że wypływając przeżyjesz.

Więc jest tak — zapierasz się w sobie, z zimną krwią bo woda zimna jak cholera, czekasz aż auto zostanie całkowicie zalane, śmiejąc się śmierci w twarz, nabierasz pełne płuca powietrza, otwierasz drzwi (spróbuj się zaprzeć nogami), obierasz kierunek ku powierzchni i życia (podpowiem, że to przeważnie jest w górę) i z zapasem powietrza oraz pieśnią na ustach ruszasz... i dupa... bo zapomniałeś odpiąć pasy!

Wyjutki?

Tak — James Bond i jego Lotuso-podwodna łódź, oraz Jeźdźcy Kabrioletów.

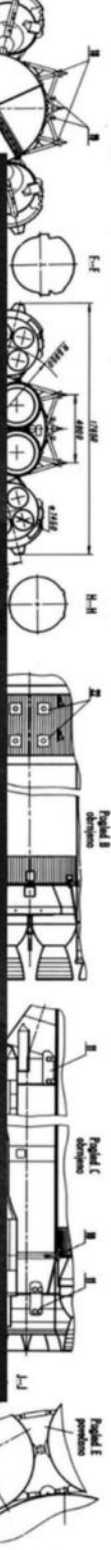


MOONRAKER

ROGER MOORE
— JAMES BOND 007

STORY BY LOIS CHILES, MICHAEL LONGDALE, RICHARD KILG, CORIANNE CLERY, GEOFFREY ASH, BERNARD LEE
SCREENPLAY BY CHRISTOPHER WOOD, PRODUCED BY KEN ADAM, DIRECTED BY CHARLES HUNTER, MAX GUTY
EDITED BY JOHN BARRY, MUSIC BY JOHN YOUNGER, COSTUME DESIGNER LEWIS GILSON
EXECUTIVE PRODUCERS ALBERT R. BROCCOLI, PRODUCED BY EON PRODUCTIONS LTD.

© 1989 EMI MUSIC PUBLISHING LTD.



11. (MR) BURAN

The An-225 “Mriya,” though gigantic, was (unfortunately — thanks to the Russian bandit horde, Mriya now belongs to the past tense) just an accessory to the Soviet space shuttle program and their super heavy-lift rocket.

The size of the An-225, which from 1988 right up until February 27th, 2022, held the title of the world’s heaviest aircraft, gives you some idea of the scale of the last great Soviet space program. Since no expense was spared on the Buran shuttle and Energia rocket project — besides being utterly spectacular — it also became one of those ventures that contributed generously to the economic collapse of the USSR. Another such venture was the electric roller skates project and the brilliant idea to turn back the Vistula River with a stick.

Just as the American moon landing was their way of showing the Soviets who was boss, Buran/Energia was born from the desire to catch up with the Americans — and outshine their achievements. Those cunning Yanks, having bagged a hit with their space opera and their Space-walk On The Moon, were hard at work by the early ‘70s on a brand new concept for space flight: a large, reusable space vehicle.

The plan was to make getting into orbit easier and cheaper... well, cheaper-ish... which led to NASA’s now-famous Space Shuttles. It was a close call (as we clearly saw in the documentary Moonraker), but those plans were nearly derailed by the walking embodiment of evil itself, Mr. Drax — a villain as grand in thought as he was in scale, back when the world was teeming with his kind.

Luckily, the world had Bond.

One day, Bond strolled into the office as usual and did what he was paid for: wrecked a few of Mr. Drax’s shuttles, saved humanity, and in the process, we found out that, from the

standpoint of their original goals, these spacecraft were a bit of a flop. Technically impressive? Absolutely. Imagination-firing? You bet. „They really went all out, those bastards.” But they were also very expensive, ridiculously complicated, and — how to put it — slightly lethal.

But back in the ‘70s, the Soviet leadership (and Drax) had no way of knowing that. They only knew what their intelligence services told them and what they could glean from Western non-social media:

“You see, comrades, apparently the Americans are working hard on some brand new kind of spaceship.”

The Soviets, following their standard Cold War thinking, concluded that the Space Shuttles posed a serious military threat. Drax saw them as the perfect vehicle for his long-term, galaxy-brained plan to wipe out humanity and build a new master race.

Because the U.S. military had a significant role in the early shuttle development, Soviet military brass assumed that the Americans might use them as space bombers or for launching orbital laser cannons. Drax was definitely taking notes on that one.

Scientists from the Soviet space industry (and mind you, this was not a dumb bunch — only the top brass were insane) were highly skeptical of the alarmist visions tied to the Space Shuttle program. They knew it was exaggerated. But, alas, they weren’t the ones making decisions. Maybe if they’d been famous footballers or other celebrities, they would’ve had a shot at influencing policy.

Unlike the industrious but rather lazy Drax, who simply stole the hardware, the Soviet leadership in 1976 issued a decree ordering the creation of a response to the American “threat.” Following long-standing Soviet tradition, the Party and the military expected something very similar to the American original — only, as always in the USSR, better.

The engineers’ hands were tied — though thankfully not yet behind their backs and tied to a post. So, with those meta-

phorical handcuffs and their eyes still uncovered (no black blindfold just yet), they went on to design the Buran (Russian for „Snowstorm“) shuttle, which ended up looking very similar to its American counterparts. After all, it was supposed to do the same job, so it had to look almost the same. You can't cheat physics (and don't be an idiot thinking you can).

As is tradition, Russians remain proudly adamant that Buran was no copy (especially since they didn't have a Xerox machine back then), and they'll rattle off a list of differences. Some even claim — after a bit of home-brewed vodka — that they were first, and it was Drax who stole their equipment.

Soviet engineers dreamed of eventually making the entire main rocket stage reusable (once they raised enough funds, maybe from recycling bottles), but they never got that far. The Energia rocket was supposed to be universal, capable of launching other payloads besides Buran — like satellites, space stations, and Amaros packages — whereas the American shuttle's launch system was a one-trick pony.

Thanks to not carrying massive engines, Buran was lighter and could haul a bigger payload. “Thirty tons compared to twenty-seven! You know how much gas that is?” mused Drax dreamily...

Strangely enough, considering “we have many people,” Buran was designed from the start for optional unmanned flights, something the Americans never even considered — despite having better remote-control tech since they were the first to sell RC toy cars.

They also planned to fit Buran with retractable jet engines to supposedly make landing safer. Without those, both the American shuttles and their Soviet counterparts flew like „a door” — and flying a door is something only Poles know how to do, and only Chuck Norris can say in the singular.

The Soviet engineers were also convinced (they convinced each other, anyway) that their thermal protection system for re-entry was superior. Overall, somewhere around dawn, after drinking everything including aquarium water and pickle bri-

ne, they concluded their whole setup was safer and had fewer weak points.

What was the reality? Hard to tell now.

The Buran/Energia program started with a bang and a sense of grandeur but never got a worthy finale. Once they sobered up, crunched the numbers on a stolen Japanese calculator, and realized how bad things had gotten in the Soviet economy by the mid-80s, Gorbachev's team of reformers set their sights on the wildly expensive shuttle and rocket program.

Especially since the supposed lethal threat posed by NASA's shuttles — after Drax's field testing — turned out to be wildly overstated. Plus, after the fiasco of having their shuttle stolen and then their butts (and the world) saved by a certain British Spy named Bond, the U.S. military had pulled out of the shuttle program by the mid-80s.

They finished building the first fully operational orbiter and named it Buran. Thanks to it, the whole program now goes by that name, though it was originally called the MKS — in Poland, that's the City Bus Service, but in the USSR it meant "Reusable Space System."

Feeling the Domestos Sword (formerly known as Damocles) hanging over their heads — in the form of one-way tickets to somewhere deep in the taiga — the program heads and their supporters decided on a last-ditch effort: a demonstration flight for Buran (maybe Drax, seeing it on screen again, would get greedy, steal it, and problem solved!).

On October 15th, 1988, the Soviet space shuttle launched for the first and last time. Buran completed a short, unmanned flight. During the mission, it circled the Earth twice and then automatically landed back at Baikonur.

The flight might have been a huge success from both a technical and propaganda perspective, but in the end... it didn't amount to much.

Drax never showed up. The shuttle didn't get stolen. And the rest, and as a result, the whole program was put on ice later that same year.

At that point, the second shuttle, officially named Ptichka (Russian for “Little Bird”), was already close to being finished. The third one, never given a name, was maybe halfway there. Two more were still stuck in the early stages of assembly.

The entire Buran/Energia program was frozen in time. Nothing was moving forward, but nothing was being scrapped either. The program’s brass still held out hope that better times would come — or at least that they’d find some commercial payloads to slap onto the Energia rocket. It was all wishful thinking, though. By 1993, Boris Yeltsin officially pulled the plug on the program, which by then had been dead on its feet anyway. Depending on who you ask, it had already cost the Soviet Union somewhere between 16 and 20 billion rubles in then-money.

For a long time, the most visible reminder of the Buran/Energia dream was the An-225 transport plane. This beast was meant to ferry the shuttles themselves, as well as chunks of the Energia rocket, from factories in the European part of the USSR all the way to the Baikonur cosmodrome. Apart from one building, everything else has been rusting away and crumbling into dust. For over a decade, the Buran orbiter sat in the main hangar, mounted on a full-size mock-up of the Energia rocket.

For the price of a goat, two camels, eight bucks, or a sack of corn, hardcore travelers decked out in Gore-Tex could get a tour of this dump.

But in classic Russian fashion, in 2002, while some “renovation work” was being done, the rusted-out roof of the hangar came crashing down. Eight workers were killed, and both the orbiter and the rocket mock-up were completely flattened. Naturally, it was all blamed on the Americans. And on Drax — who, rumor has it, never actually died. (Armed with a spectrometer, a thermometer, and a thermos, Russian experts conducted an in-depth analysis of the documentary film *Moonraker*.) Supposedly, Drax has been chilling in some comfy, padded sanatorium with no door handles, enjoying

a carefully curated selection of meds. Now that he's all rested up, he's decided to get back to work on his master plan to create a new race — and wipe out the old one while he's at it.

Well... didn't quite work out. Nobody factored in the slapdash half-measures of post-Perestroika Russia. Ptichka and one of the test models are still standing there, slowly falling apart inside a decaying building that was supposed to be the pre-launch fueling facility.

Since nobody's serviced the hangar doors in ages — and the nearby kiosk ran out of WD-40 long ago — the place has effectively become their sarcophagus. These days, the only way in is by flashing an up-to-date scrap dealer's license.

11. (MR) Buran¹

An-225 „Mrija”, choć gigantyczny, był (niestety, z powodu ruskiej bandyckiej hordy — Mrija jest już czasem przeszłym) tylko dodatkiem do programu budowy radzieckiego wahadłowca i superciężkiej rakiety kosmicznej.

Rozmiary An-225, który nieprzerwanie od 1988 roku aż do 27 lutego 2022 roku dzierżył miano najcięższego samolotu świata, dają wyobrażenie o skali ostatniego wielkiego radzieckiego programu kosmicznego. Ponieważ przy pracach nad wahadłowcem Buran i rakieta Energia nie szczędzono funduszy, to poza tym, jak bardzo był spektakularny, stał się jednym z tych programów, które wydatnie przyczyniły się do zapaści gospodarczej ZSRR. Innym takim pomysłem był pomysł elektrycznych wrotek i cofnięcia kijem Wisły.

Tak jak amerykańska wizyta na Księżycu była pokazaniem ruskim, kto tu rządzi, tak Buran/Energia zrodziły się z chęci dorównania Amerykanom oraz przyćmienia ich osiągnięć. Te cwane amerykańce,

¹ <https://szosami.com/2024/12/02/buran/>

po sukcesie ze space-operą i po Space-spacerze On Moon, od początku lat 70. coraz intensywniej pracowali nad zupełnie nową koncepcją lotów w kosmos — na pokładzie dużego pojazdu kosmicznego wielokrotnego użytku. Miał to być sposób na znaczne ułatwienie podróży na orbitę i uczynienie jej tanią... tańszą... Efektem były dobrze znane promy kosmiczne NASA. Niewiele brakło (widzieliśmy to wyraźnie w dokumencie „Moonraker”), a te plany zostałyby pokrzyżowane przez mistera chodzące zło Draxa — imponującego myślą i rozmachem potęgę nego zła, których pełno wtedy było na świecie.

Na szczęście świat miał Bonda.

Pewnego dnia Bond poszedł do biura jak codzień i zrobił za co mu płacą, czyli zepsuł kilka wahadłowców pana Draxa, uratował ludzkość, a przy okazji dowiedzieliśmy się, że z punktu widzenia swoich pierwotnych założeń były to nieudane pojazdy. Imponujące technicznie, pobudzające wyobraźnię i „mają rozmach skurwysyny”, ale też bardzo drogie, skomplikowane i niebezpieczne. Lecz w latach 70-tych radzieckie przywództwo i Drax nie mogli tego wiedzieć. Wiedzieli tyle, ile przekazał wywiad i ile wyczytano z mediów zachodnich niespołecznościowych: Wicie rozumiecie, Amerykanie ponoć intensywnie pracują nad statkiem kosmicznym, takim zupełnie nowego rodzaju. Ruskie — zgodnie ze standardowym zimnowojennym trybem myślenia — uznali promy kosmiczne za poważne zagrożenia militarne. Drax — za okazję do realizacji swych kosmicznie dalekosiężnych planów anihilacji ludzkości i stworzenia nowej rasy. Ponieważ początkowo w amerykańskich pracach nad wahadłowcami dużą rolę odgrywało wojsko, to radzieccy wojskowi uznali, że Amerykanie mogą używać swoich wahadłowców jako kosmicznych bombowców czy do wynoszenia orbitalnych dział laserowych. Co szybko podłapał Drax. Naukowcy radzieckiego przemysłu kosmicznego (a dodam, że wcale niegłupie towarzystwo to było, tylko wierzchuszka popierzona) byli bardzo sceptycznie nastawieni do alarmistycznych wizji związanych z promami kosmicznymi (wiedzieli, że to przesada), ale cóż, to nie oni decydowali. Może, gdyby byli słynnymi piłkarzami czy innymi celebrytami, mieliby większy wpływ.

W przeciwieństwie do przedsiębiorczego, ale trochę leniwego Draxa, który zwyczajnie sprzęt ukradł, w 1976 roku kierownictwo ZSRR wydało dekret nakazujący stworzenie odpowiedzi na amerykańskie „zagrożenie”. Zgodnie z wieloletnią radziecką tradycją, partia i wojsko oczekiwało czegoś bardzo podobnego do amerykańskiego pierwowzoru, tylko, jak to w ZSRR — lepszego.

Inżynierowie mieli więc mocno związane ręce i niech się cieszą, że nie na plecach przywiązane do słupa. W efekcie tych związanych rąk i niezasłoniętych jeszcze oczu czarną przepaską, przyszły prom Buran (z ros. Burza śnieżna) wyglądał bardzo podobnie do swoich amerykańskich odpowiedników. W końcu miał robić to samo, co amerykański, więc musiał być prawie taki sam. Fizyki pan nie oszukasz (i nie bądź pan głab).

Tradycyjnie dumni z osiągnięć ZSRR Rosjanie nadal podkreślają, że Buran nie był żadną kopią (szczególnie że wtedy nie mieli xera), i wymieniają szereg różnic, a co niektórzy po samogonie twierdzą nawet, że byli pierwsi i Drax to ich sprzęt ukradł.

Radzieccy konstruktorzy chcieli w przyszłości (jak zgromadzą odpowiednią ilość funduszy, może być ze sprzedaży butelek) uczynić całą główną część rakiety wielokrotnego użytku, jednak nigdy do tego nie doszli. Rakieta Energia miała być też uniwersalna i służyć do przenoszenia innych ładunków niż Buran, takich jak satelity, stacje kosmiczne, przesyłki Amarusu, a rakieta nośna amerykańskich promów kosmicznych służyła tylko i wyłącznie do jednego zadania.

Dzięki brakowi dużych silników Buran był lżejszy i mógł zabrać większy ładunek. „30 ton w porównaniu do 27 ton. Wiesz, ile to jest gazu?” — Rozmarzył się na to Drax...

Co dziwne u ruskich, bo „u nas luda mnogo”, Burana od początku projektowano też do opcjonalnych lotów bezzałogowych, gdzie Amerykanie nigdy takiej możliwości nie rozpatrywali, chociaż mieli lepszą technikę, bo pierwsi sprzedawali samochody zdalnie sterowane w zabawkowych.

W Buranach planowano zamontować też chowane silniki odrzutowe, które niby znacznie poprawiłyby bezpieczeństwo lądowania. Bez nich zarówno amerykańskie promy, jak i ich radzieckie odpowiedniki latały jak „drzwi”, na których latać to umieją jedynie Polacy, i tylko Chuck Norris umie powiedzieć w liczbie pojedynczej. Radzieccy konstruktorzy byli też przekonani (przekonali siebie nawzajem), że ich system osłon termicznych umożliwiających statkowi

wejście w atmosferę był lepszy. Ogólnie — gdzieś nad ranem, po wypiciu wszystkiego, włącznie z wodą z akwarium i z pod ogórków — okazało się, że ich zdaniem cały ich układ jest bezpieczniejszy i ma mniej słabych punktów.

Jak było... nie sposób teraz stwierdzić. Rozpoczęty z przytupem i rozmachem program Buran/Energia nie doczekał się godnego finału. Po wytrzeźwieniu, przeliczeniu wszystkiego na zakoszonym jańskim kalkulatorze, i kiedy gwałtownie pogorszyło się gospodarce ZSRR, gdzieś w połowie lat 80. koszmarnie drogi program promu kosmicznego i wielkiej rakiety

znalazł się na celowniku ekipy reformatorów Michaiła Gorbaczowa. Zwłaszcza, że rzekome śmiertelne zagrożenie ze strony wahadłowców NASA — po sprawdzeniu tego w praktyce przez Draxa — okazało się grubą przesadą. Dodatkowo, po wtopie z kradzieżą ich wahadłowca i uratowaniu tyłków oraz świata z pomocą brytyjskiego Ble Szpiega Bonda, do połowy lat 80.

amerykańskie wojsko wycofało się z programu.

Ukończono budowę pierwszego pełnoprawnego orbitera, któremu nadano nazwę własną Buran. To za jego sprawą cały program jest teraz tak nazywany, choć oryginalnie określano go jako — MKS — w Polsce to Miejska Komunikacja Samochodowa, w ZSRR "system kosmiczny wielokrotnego użytku".

Czuając wiszący im nad głowami miecz Domestosa (dawniej Damokles), pod postacią biletów w jedną stronę gdzieś w tajgę, szefowie programu i popierający ich decydenci zdecydowali się na przysłowiowy "rzut na taśmę" — pokazowy lot Burana (a może Drax — jak to widzieli na filmie — znów się połakomi, zaiwani im ten sprzęt, i po problemie).

15 października 1988 roku radziecki prom kosmiczny wystartował po raz pierwszy i ostatni. Buran odbył krótki lot bezzałogowy. W jego trakcie dwa razy okrążył Ziemię i automatycznie wylądował na Bajkonurze. Lot może był wielkim sukcesem z technicznego i propagandowego punktu widzenia, ale nie na wiele się zdał.

Drax się nie pojawił, sprzęt się nie rozwalił, i w związku z tym jeszcze w tym samym roku program został zamrożony. W tym momencie drugi prom o nazwie własnej Ptaczka (ros. Ptaszek) był już niemal ukończony. Trzeci, nigdy nienazwany, może w połowie. Dwa kolejne znajdowały się we wstępnej fazie budowy.

Cały program Buran/Energia został zatrzymany w czasie. Nic nie posuwało się naprzód, ale też nic nie złomowano. Kierownictwo programu miało nadzieję, że nadejdą lepsze czasy, albo chociaż uda się znaleźć jakieś ładunki komercyjne dla rakiety Energia. Wszystko jednak na marne. W 1993 roku Borys Jelcyn formalnie zakończył program, który i tak faktycznie był już martwy. Do tego czasu miał kosztować ZSRR, w zależności od źródeł, od 16 do 20 miliardów ówczesnych rubli.

Do niedawna najbardziej widocznym wspomnieniem programu Buran/Energia był samolot An-225, który miał służyć do przewozu samych promów, jak i części rakiety z fabryk w europejskiej części na kosmodrom Bajkonur. Poza jednym budynkiem wszystko pozostało rdzewieje i się rozpada. Buran przez ponad dekadę stał w głównym hangarze, zamontowany na makiecie rakiety Energia.

Za kozę, dwa wielbłądy, 8 dolarów lub worek kukurydzy, hardcorowi odziani w goretexy podróżnicy mogli zwiedzać ten grajdół.

Ale tradycyjnie, jak to u ruskich, w 2002 roku podczas prac remontowych zawalił się nad nim zardzewiały dach. Zginęło ośmiu robotników, prom i makieta rakiety zostały zmiażdżone, a wszystko zwalono na Amerykanów i Draxa, który ponoć wcale nie zginął (z pomocą spektrometru, termometru i termosy poddano w Rosji wnikliwej analizie film dokumentalny „Moonraker”) i wypoczywa gdzieś w wygodnym, izolowanym sanatorium bez klamek, korzystając ze starannie dobranych leków. Teraz wypoczął i postanowił wznowić prace nad nową rasą, a przy okazji eksterminacją starej.

Cóż, znów się nie udało, nie przewidziano popierestrojkowej prowizorki. Ptaczka i jeden z egzemplarzy testowych nadal stoją w niszczącym budynku, który miał służyć do tankowania przed startem.

Ponieważ wrót do hangaru od dawna nikt nie serwisuje, a w pobliskim kiosku zabrakło WD-40, to tak naprawdę jest to ich sarkofag, i wejść się tam da tylko za okazaniem aktualnych uprawnień złomiarza.



12. (FEYO) SHUSSI'N'DOWN

For Your Eyes Only, that classic 1981 Bond flick with Roger Moore! One of the more „down-to-earth” entries in the series (think „pistol and a radio” rather than „rocket launcher pen and invisible car”), featuring fewer gadgets and more focus on old-school spy craft and the brutal realities of the Cold War.

When the white Lotus Esprit Turbo goes boom (very effective anti-theft system, gotta say), Bond switches to the copper-colored Esprit with a pair of skis strapped to the roof. A subtle nod to the snowy setting and one of the coolest (literally) ice chases ever filmed — Bond suddenly pulling double duty as an Olympic-level ski jumper.

The ski jump sequence? An absolute masterpiece. They blended real footage of pro ski jumpers and daredevil stuntmen pulling off insane tricks in the snow. The jump was a legit 90 meters high. And Roger Moore? Dude was afraid of heights, so that look on his face on the platform wasn't acting — it was full-on terror. Can't say I blame him. I totally get it.

Because...

What's the difference between Szosowanie on 18-inch summer tires and Shussi'n'Down on winter carving skis?

Besides a single letter, in my case — curven? Not a damn thing.

Speaking of winter and shussi'n'down. Back in the day, when we had two TV channels and black-and-white sets, you only came home as punishment. And in winter, when you were already frozen solid, the only ones dragging you back were the slightly-less-frozen ones who still had a bit of wiggle room in their stiff-as-a-board clothes.

And now?

For today's youth, winter lasts six months. Which is the perfect excuse to hole up in le burdel — the affectionate nickna-

me for their cozy little cave-rooms. Leaving that room, which may be warm but smells... less than inviting, to venture out into the inhumane, extremist, externist (yeah, I went there) conditions outside? Possible. But there are strict conditions.

You can dart to the car — if it's parked no more than ten meters from the entrance. You can walk to the mall or the nearest Žabka store, if it's within five minutes on foot or there's a bus stop within eyesight, and you're fully suited up in winter tactical gear. Walking to school in winter? That's an extreme-risk operation, always broadcast live to the network.

But there's one, only one, situation where today's kids can spend three hours — heck, even three and a half — outside in winter, in the fresh air, without their smartphones, without whining, and (most importantly) without dying. I've even heard legends of hardcore, inhumanly tough exceptions who can last the entire day. No one's actually seen one, mind you, but they say they exist. Maybe they survive that long because they're with their crew and the girls are watching.

And this extreme, exceptional winter event?

Shussi'n'Down. Yeah, in the era of playgrounds with no monkey bars, cordless phones, cheap cars, and unlimited internet, skiing or snowboarding is the only reason teens will crawl out of their lairs into the cruel, brutal, killer conditions of winter: Sunny. Two degrees above zero. Snow. No wind. Clear skies. Absolutely savage.

And to give them a fighting chance at making it out there — getting up, getting out, and getting down — you've gotta lead by example. To pull them out of their multiverses where physics doesn't apply, and ones and zeros rule the world, you have to know how to ride the damn thing yourself. And to know how to ride, you gotta learn. So I decided to set an example and get myself schooled. A crew of already-schooled scientists, of the mad and helpful variety, were quick to offer their services.

“We'll teach you, Mi_. Ride with us, and you'll ride like Us!”

So I went. After all, if the pros and experts say so, they probably know what they're talking about. It didn't even cross Mi_'s mind that what they really needed was someone to drive — and chip in for the hotel. 1,300 kilometers isn't exactly a short trip... or cheap.

Once there, after my pro-level Szosowanie, but before my Shussi'n'Down, a squad of Braveheart Firefighters showed up. The best skiers among firefighters and the best firefighters among skiers. They'd wandered in from somewhere, probably neighbors just stopping by for a drink. Old-school ski vets, hardcore competitors, and passionate pros.

When they found out over vodka that it was my first time ever on skis, the only thing they managed to choke out between gulps of air was: "Wait... you're learning HERE??"

Let's just say it's been a long time since I've seen old, tough men cry. They laughed so hard they wept. There wasn't enough alcohol in the world to calm them down. I was their hero. Their idol. Their mascot. Their spirit animal. I just didn't know why yet.

So, morning comes. Forty minutes of twists, serpentines, spirals, and hairpin turns full of wintry fun later — we're there. I like mountains. I don't fear mountains. No delays — we gear up, line up... for the lift line. Gorgeous views! And after only sixty minutes and eighteen lift transfers to increasingly higher lifts — we're at the summit. Happy as a clam, I think: "Well, buddy, this is it. The beginning of the end of a certain miserable chapter of your life. Nothing will ever be the same again. No longer will you be The Man Who Did Not Ski."

And then they showed me where I'd be going.

Mi_ started laughing. "Wait. You mean... down THERE? You want me to fall into that abyss?" I look down — and I see, clearly, that I can't see a damn thing. For fuck's sake! That's a right angle!

"Excuse me, does anyone have an ice axe? Where are the climbing ropes? Is this a level 16+ difficulty? Is this an extre-

me climbing competition? Rappelling school for Extreme Firefighters? What do you even need skis for up here? Anyone got a spare parachute? Are we acclimatizing before the Himalayas?”

But all laughs must end sometime. I wiped my tears away, half-conscious, and looked around. These people... these lunatics... still shameless, still unfazed, kept throwing themselves down the slope like it was nothing. Nah, this must be some kind of mass suicide tour. Half the group are suicidal maniacs, the rest are desperate lunatics. No way there’s a normal person here. Can’t see anyone sane through all their helmets and goggles — but trust me, there’s no one!

Right, I’ll just... nope. No thanks. Where’s the exit...?

Suddenly, I hear from behind me: “Come on, Mi_, go! Go, Mi_! Get down there! Mi_ght as well do it!”

Everyone around is cheering me on. Let’s be honest — it’s not concern for my well-being, it’s not brotherly love, it’s not altruistic empathy for a guy dangling above a... sorry, on top of a vertical wall. They just don’t want to miss the show. They won’t leave me up here to quietly die of hypothermia, oxygen deprivation, stress, or hunger.

Fine. “As they say, we’re gonna cut ‘em down to the grass so we’re not mistaken for weeds in the penalty box.”
I’m going!

I launch myself from the slope — falling, sliding, tumbling, rolling, digging in face-first. I didn’t know I was this flexible! Ouch. Wait, no — I’m not. I’m doing something, but I’m pretty sure it isn’t skiing.

It’s a fight for survival. And there’s still time for small talk and polishing up on languages I never knew I knew. No one stays silent: “Are you okay?”

“Alles gut?”

“What are you doing?”

“Are you crazy?”

“You ARE crazy!”

Centuries later — or ten minutes, maybe — I somehow make it to the bottom. For my entire descent, everyone stopped what they were doing to witness the first-ever local attempt at the Penguin Slide. Sure, people had tried belly-first, face-down before — but never this long, and never with skis still on.

After that botched suicide attempt, some slogans started making the rounds in my honor: “See you alive at Marty’s Bar?”

“Flying over the slope in your Mi... ssile?”

“You’re not going too fast, you’re just flying too low!”

“Did you see an eagle’s shadow, or just a sharp shadow of fog?”

Eh, what to add at the end of this epitaph... oh wait, no, I’m still alive — this epistle, then.

Don’t ride? Start. But if you’re starting, maybe don’t do it like I did — straight onto the red trail at the very top of some damn Alpine glacier, 8 kilos or whatever 3,400 metros above sea level, where you can’t even light a cigarette to calm your nerves because there’s no oxygen!

Go on, ride — it’ll be fun.

Why should I be the only one having a rough time...

12. (FEYO) SzusaMi¹

„For Your Eyes Only”, czyli „Tylko dla twoich oczu” z 1981 roku — klasyka Bonda z Rogerem Moore’em! To jeden z bardziej „przyziemnych” („pistolet i radio) Bondów, z mniejszą ilością gadżetów i większym naciskiem na szpiegowską robotę oraz brutalne realia zimnej wojny. Kiedy biały Lotus Esprit Turbo wybucha (bardzo skuteczny system antywłamaniowy), Bond przesiada się do miedzianego Esprita, który ma narty na dachu. To subtelne nawiązanie do zi-

¹ <https://szosami.com/2024/11/26/szusami/>

mowego klimatu i jednej z najfajniejszych scen pościgów na lodzie, gdzie Bond robi za zawodowego skoczka narciarskiego. Sekwencja na skoczni narciarskiej to majstersztyk, łączący prawdziwe zdjęcia ze skoczkami i kaskaderów, którzy robili cuda na śniegu. Skocznia ma prawdziwe 90 metrów, a Roger Moore cierpiał na lęk wysokości, więc widać, że na skoczni jest raczej zdenerwowany (i nie udaje!). Cóż, jak ja go rozumiem! Gdyż... Czym się różni „szosowanie” na letnich 18-kach od „szusowania” na zimowych carvingach w zimie? Poza literką jedną, w moim wypadku — curven — niczym. A propos zimy i szusowania. Kiedyś, w dobie dwóch programów w czarno-białym telewizorze, do domu wracało się za karę, a w zimie zmarzniętego już na kość delikwenta, odnosili — ci co mieli jeszcze jakieś luzy w skamieniałej odzieży — tylko ciut mniej zamrznięci. A teraz? Dla młodzieży zima trwa pół roku, i to jest doskonały pretekst do zimowania w le burdel (jak piśszcztliwie nazwy się ich jamo-pokoje). Wyjść z pomieszczenia o temperaturze dodatniej (bo pokojowej), ale o ujemnym zapachu, na tak nieludzkie, ekstremistycznie eksternistyczne warunki można, owszem, ale są „oboszczenia”: Przemknąć do auta można, jeśli jest gdzieś niedaleko, max 10 m od wejścia. Podejść do galerii handlowej czy Żabki, owszem, jeśli to jest góra 5 minut z buta albo przystanek autobusowy w zasięgu wzroku i pełny zimowy rynsztunek bojowy. Podejście zimowe pod szkołę zawsze wiąże się z najwyższymi stopniami... zagrożenia i jest relacjonowane live w sieci. Jest tylko jedna jedyna sytuacja, kiedy młodzież w zimie wytrzyma 3 godziny, a nawet 3,5 na świeżym powietrzu, bez smartfona, marudzenia i, przede wszystkim — w ogóle. Słyszało się też o hardcorowych, nieludzko twardych wyjątkach, co wytrzymują i cały dzień (nikt takiego nie widział, to legendy). W każdym razie ja nie spotkałem. Pewnie są w stanie tyle znieść i nie zejść, bo są ze znajomymi i dziewczyny patrzą. A ta ekstremistyczna, wyjątkowa zimowa sytuacja to: Szusowanie. Tak, w czasach beztrzepakowych podwórek, bezprzewodowych komórek, tanich furek i bezlimitowych internetów, narty czy deska to jedyna opcja kiedy nastolatki wyleżą ze swych gawr na straszliwie, nieludzkie, morderczo trudne warunki zimowe: słonecznie, 2 stopnie „na plusie”, śnieg, brak wiatru i bezchmurnie. Dodatkowo, żeby młodzież miała (choć teoretycznie) szanse na wyjście, pójście i zjazd, trzeba dać im przykład. Aby ich wziąć i wyrwać z multiwersum światów bez praw fizyki a pełnych zer i jedynek, trzeba samemu umieć jeździć na tym cholerstwie. A żeby umieć,

trzeba się nauczyć. Postanowiłem więc dać przykład i zostać nauczonym. Z pomocą natychmiast nadciągnęła zgraja pomocnych nauczonych wcześniej naukowców. „Nauczmy cię Mi_, jedź z nami, a będziesz jeździł, jak My!” Pojechałem, gdyż, skoro tak radzą znawcy i specjaliści, to chyba wiedzą, o czym sobie tam radzą. Nawet do głowy Mi_ nie przyszło, że po prostu potrzebowali kierowcy i żeby się dorzucić do hotelu. 1300 km, mało to nie jest.. i nie tanio. Na miejscu, po moim profesjonalnym Szosowaniu, a przed Szusowaniem, pojawiła się też ekipa Chojraków-Strażaków. Najlepszych narciarzy wśród straży i najlepszej straży wśród narciarzy. Przyplątali się skądś, na kielicha przyszli po sąsiedzku, czy coś. Starzy narciarscy wyjadacze, pasjonaci, mocni zawodnicy. Kiedy wieczorem przy wódce dowiedzieli się, że to moje pierwsze szusy... jedyne co udało się im wykrztusić to „ale ten...”, że TU się będziesz uczył?” Cóż, dość powiedzieć, że już dawno nie widziałem, żeby stare, twarde chłopcy płakały. Tak się popłakali ze śmiechu i nie było takiej ilości alkoholu, która by ich uspokoiła. Zostałem ich idolem, bożyszczem tłumu, maskotką tych igrzysk, ale jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Ok, a rano, po 40 minutach zakrętów, serpentyn, spiral i wirów pełnych zimowych wrażeń — jesteśmy na miejscu. Góry lubię, gór się nie boję, więc bez jeszcze żadnej zwłoki stajemy w pełnym rynsztunku do kolejki — do kolejki. Widoki bajeczne, i już po 60 minutach i 18 przesadach na coraz wyższe kolejki, jesteśmy na szczycie. Cały szczęśliwy myślę „Tu, kolego, zaczyna się początek końca pewnego etapu twego nędznego żywota, nic już nie będzie jak dawniej. Już nie będzie Człowieka_co_na_narciarzach_nie_jeździł”. A potem mi pokazali, gdzie mam jechać. A Mi_ w śmiech — Ale, że co? To tam w przepaść mam spaść? Patrzę w dół i widzę, no wyraźnie widzę, że nic nie widzę. Kurwaką prosty! „Przepraszam, pożycz mi ktoś czekan? Gdzie są liny wspinaczkowe? To jest trudność 16+? To zawody wspinaczki ekstremalnej? Szkoła zjazdów na linie dla Strażaków Ekstremalnych? Po co wam tu narty? Ktoś ma zapasowy spadochron? To my tu przyszli się klimatyzować przed Himalajami?” Cóż, jednak każdy śmiech kiedyś się kończy. Otarłem łzy, patrzę wkoło półprzytomny, a ci ludzie, ciągle bez żenady i nadal żadnej zmrożonej zwłoki w dół się rzucają i jadą! E nie, to chyba wycieczka szaleńców jest, duża część samobójców wymieszanych z desperatami, a reszta to raczej słabuje na umyśle. Nie, nie, na pewno nikogo normalnego tu nie widzę, słabo widać przez te ich hełmofony, ale na pewno tak jest! Dobra,

to ja może podziękuję, gdzie jest wyjście...? Nagle słyszę zza pleców: — No Jedź Mi_ stąd tam! Jedź Mi_ już w dół! Mi_giem leć i Jedź! Wszyscy wkoło dopingują i, powiedzmy sobie szczerze, to nie troska przez nich przemawia, to nie czuła pomoc bliźniemu czy altruistyczne zrozumienie człowieka ustawionego pod... tfu, nad ścianą pionową. To zwykła chęć pośmiania się nie pozwala im zostawić mnie tu samemu sobie, żebym sobie spokojnie umarł z wychłodzenia, niedotlenienia, stresu lub głodu. Dobra, „ciąć będziem równo z trawą, by z byle chmyziem na polu karnym się nie pospolitować”. Jadę! Stoczyłem się ze stoku i spadam, ślizgam, padam, turlam i ryję ryjem. Cały wachlarz póź, póź, rozgwiad i nie wiedziałem, że jestem tak rozciągnięty! Ała, a nie... nie jestem. Robię to wszystko, i wiem jedno: różne rzeczy robie, ale na pewno nie jadę. Jest tu walka o życie, jest też i czas na pogawędki i szlifowanie, w przelocie, doskonale Mi_ nieznanych języków, nikt nie pozostaje obojętny, każdy chętnie zagada:

— Ar ju ok?

— Alles gut?

— Łot ar ju duing?

— Ar ju krejzi?

— Ju ar krejzi!

Wieki później, jakieś 10 minut chyba, dotarłem jakoś na dół. Na czas tego pokazu wszyscy się zatrzymali, żeby zobaczyć pierwszy w tych stronach zjazd „na pingwina”. Owszem, były takie próby wcześniej: na brzuchu i twarzą do przodu, ale nigdy tak długie i z nartami na nogach. Po tej nieudanej próbie samobójczej do mainstreamu przeszły slogany ukute na moją cześć: „Widzimy się żywi w knajpcie uMarty?” „Przelatujesz Mi... mochoodem nad stokiem?” „Nie jedziesz za szybko, tylko lecisza za nisko!” „Widziałeś orła cień, czy osty cień mgły?”

Ech, cóż by tu dodać na koniec tego epitaf... a nie, żyję jeszcze, to też epistoły. Nie jeździsz? Zaczynij. Ale jak zaczynasz, to może nie tak jak ja, od razu czerwonym szlakiem na samej górze wielkiej góry jakiegoś cholernego Alpejskiego lodowca, 8 kilosów czy inne 3400 metrosów nad poziomem morza, gdzie się nawet zapalić na uspokojenie nie da, bo nie ma tlenu!

Jedź, jedź — będzie fajnie.

Dlaczego tylko ja mam mieć przesrane...

ALBERT R. BROCCOLLI'S EON PRODUCTIONS ... IAN FLEMING'S
OCTOPUSSY

CASTING BY MAUR ADAMS, LOUIS JOURDAN, KRISTINA MAYBORN, KADIR BEER, STEVEN BERKOFF, ROBERT BROWN
EDITED BY RICHARD MARSDEN, MICHAEL G. WILLSON, GEORGE M. FRASER, PRODUCTION DESIGNER PETER LAMONT, COSTUME DESIGNER JOHN FENNER
EXECUTIVE PRODUCERS JOHN BARRETT, PRODUCED BY ALAN HOME, DIRECTED BY JOHN GLEN
PRODUCED BY ALBERT R. BROCCOLLI ... EON PRODUCTIONS LTD



ROGER MOORE
JAMES BOND
7



13. (OP) THE WALL

Octopussy. The name makes a lot of people think of India. Not sure why. Me? Probably because the first time I watched it, it was on a fifteenth-generation VHS copy where you could mostly see porn — or a dick, depending on the scene — and footage from across our western border. So for me, it's Germany.

And if we're already in Germany, well, skipping Berlin would be a sin. I like Berlin.

Bond. James Bond. Maybe not everyone's seen him, but everyone kinda knows what he's about. The (f)amous secret agent whose license to kill is basically a license to entertain. A few hours of unbelievable, flashy, quasi-romantic fantasy. Big explosions, exotic places, beautiful people, and a soundtrack that makes you feel like a badass even if you're just watching in your pajamas. Good fun, no strings attached. Western intelligence agencies winning the PR game, showing the world how classy spying should look. And Ian Fleming always giving you a wink. All good.

And then one day, Le Carré kicks down the door. His books shocked everyone, pulling back the curtain on the real, though totally made-up, world of espionage. Agents who got their hands dirty — no mercy, no clean getaways — doing whatever it took for national security. And those nations weren't always the "good guys."

Can't blame him. He was one of them.

And damn, that guy could tie you up with his plot, disarm you with his characters, terrorize you with his dialogue, and finally knock you out cold with the punchline. One of his best, *The Spy Who Came in from the Cold*, they even call it "the greatest spy novel of all time."

Why am I bringing this up?

Because there's this one city in that book. Neatly divided. A practical experiment carved out of living flesh, testing different social visions. A boiling pot of emotions, a mix of histories and the baffling decisions of visionary men with enough guts to build a wall right through the heart of Europe, practically overnight. And then, just like that, it all goes sideways.

In Berlin, the Wall fell. Stood there for a while, sure — but like everything I've ever put my faith in, like every messed-up thing born in the dark corners of human minds, it got what was coming to it. And right about the time they were tearing it down — though somewhere else entirely — an operation was going down that could've been ripped straight from the files of Special... Needs Agents.

I was walking past my buddy's apartment block. Saw the light on, figured he was home, so I decided to stop by. I went in, so to speak. That's how it worked back then — no phones handy to call and check if "now's a good time" or "maybe later."

That was just life. If you wanted to see someone, you went to their place. And if they weren't there? You went looking! And if someone pointed you in their direction, you were stoked.

Even without unlimited internet, text messages, WhatsApp, Messenger, emails, video calls, or phones surgically attached to every ass in town — people still managed to visit each other. How was it possible?

Easy. You just did it. No planning, no formal invitations, no "let me just give them a quick ring" — The only thing you'd ring was your knuckles on the windowsill.

So I popped in. And to speed things up, I "walked right in" over the balconies. Relax, it was just the third floor. Quick hop, quick climb, and you're there. No big deal for a teenage athlete with zero sense of danger and a limitless imagination. Couldn't help it, his room was on the wrong side of the door!

Knocked on the window. He opened it, didn't even flinch — like a proper badass. "Come on in, come on in! Do-

n't just stand there on the ledge. You'll fall. And there's a draft."

Years went by. And when the chance came to celebrate those good old times — tearing down walls, hopping fences — I thought, why not?

I happened to be driving nearby. "Let's do it like we used to," I thought. "Show up outta nowhere. No warning, no heads-up." After the first shock, we'd laugh it off, quick coffee, polite small talk, and I'd be on my way. No problem. The neighborhood? Beautiful. Gated.

Fences. Barbed wire. Railings. A guard booth that looked like it belonged in Skyfall. A classy district, where security comes first. You pay for that kind of peace of mind.

I pull up to the barrier. It's down.

"Good afternoon, sir. Who are you here to see?"

The security guard was actually pretty polite.

"On official business. Heading to the mothership."

"Aha! Teddy Bear! Classic line! I know that one."

"Yeah, good one. But no. I'm here for Mr. XYZ. Surprise visit."

"Are you on the list?"

"Sorry?"

"Do you have an appointment?"

"What's that got to do with you, Swiss guy?"

"No visitors allowed without clearance. I have to call and check if you're expected."

"Dude! It's supposed to be a surprise! How am I supposed to surprise him if you call and ask if I can come in?"

What is this — an audience with the Pope?"

"Sir, this is a private, gated community. You don't have a remote for the gate, and I'm just doing my job. Please don't make it harder. I won't let you in without clear permission from the owners. I've got a bunch of kids and a mortgage with a floating interest rate — I've got no choice."

Flowerbeds, SUVs and sedans, cobblestone driveways. Everything classy. But then: intercoms, cameras, scanners, lidars, security, patrols.

Goddamn, when did our little world get so dangerous?
We used to tear walls down.

I like Berlin.

Yeah, yeah, I know. Dirty, crowded, full of Germans...
But it reminds me: Anything is possible.

13. (OP) Murek¹

„Octopussy”; „Ośmiorniczka” wielu kojarzy się z Indiami. Nie wiem czemu, mnie — pewnie przez to, że pierwszy raz oglądałem ją na piętnastej kopii VHS, gdzie widać było głównie porno, czyli uja, i sceny zza naszej zachodniej granicy — z Niemcami. A jak już jesteśmy w Niemczech to do Berlina nie wstąpić grzech.

Lubię Berlin...

Bond, James Bond, jaki jest, pewnie nie każdy widział, ale każdy mniej więcej wie. T(f)ajny agent od dostarczania rozrywki. Kilka godzin niewiarygodnych, kolorowych, okraszonych pięknymi widokami i dobrą ścieżką dźwiękową quasi-romantycznych fantazji.

Ot, świetna zabawa i nic więcej. Agencje wywiadowcze promujące zachodnie wartości, pokazujące, jak powinny wyglądać służby szpiegowskie, zawsze wygrywają. Pan Fleming nieustannie puszcza oko. I ok.

Aż tu pewnego dnia Le Carré wchodzi „z buta”. Jego książki zszokowały wszystkich, pokazując prawdziwe, chociaż zmyślone, przygody agentów praktykujących brudne i bezpardonowe zagrywki taktyczne w imię bezpieczeństwa narodów, nie zawsze demokratycznych.

Trudno się dziwić, był jednym z nich.

O tak, ten to potrafił człowieka związać fabułą, rozbroić postaciami, sterroryzować dialogami, a na koniec obezwładnić puentą. Jedną z lepszych, nazywaną nawet „najlepszą powieścią szpiegowską wszech czasów”, jest Ze śmiertelnego zimna. Dlaczego o tym wspominam?

Bo w pewnym mieście, w niej wspomnianym, schludnie podzielonym, praktycznym eksperymencie „na żywej tkance” różnych wizji

¹ <https://szosami.com/2024/12/22/murek/>

społecznych, tygłu gotujących się emocji, miksie historii i niezrozumiałych decyzji ludzi z wizją, mających taki rozmach, że potrafiących z dnia na dzień, w środku Europy, postawić mur — sprawy nagle przybierają nietypowy obrót.

W Berlinie Mur runął. Chwilę stał, ale jak wszystko, w co święcie wierzę, co pojebane i stworzone w mrocznych, obłąkanych ludzkich głowach, trafił go szlag. Wtedy właśnie, gdzieś w czasie obalania Muru, tylko że gdzie indziej, miała miejsce akcja jak ze świata agentów specjalnej... troski. Przechodząc obok bloku (mieszkalnego) kolegi i widząc, że jest u siebie (świeciło się światło), postanowiłem go odwiedzić. „Wszedłem” więc do niego. Tak się wtedy robiło — nie było telefonów pod ręką, żeby zadzwonić i dowiedzieć się, że teraz to nie, że może innym razem.

To były takie czasy. Żeby się z kimś spotkać, trzeba było do niego pójść! A jak go nie było w domu, to trzeba było go poszukać! I cieszyłeś się, gdy ktoś ci pokazał kierunek, w którym on poszedł.

Ludzi, mimo braku nielimitowanego internetu, sms-ów, WhatsAppów, Messengerów, e-maili, wideokonferencji i telefonu przy każdej dupie, się odwiedzało. Jak to było możliwe?

Po prostu — przy okazji, bez przygotowań, specjalnych zaproszeń i wcześniejszego dzwonienia, gdyż zadzwonić to sobie wtedy mogłeś... 2 x w parapet.

A teraz?

Wpadłem więc w odwiedziny, a w ramach uproszczenia procedur „wszedłem jak stałem” po balkonach. Oj spokojnie, to było tylko 3. piętro. Myk, myk i już jesteś. Cóż to jest dla wysportowanego nastolatka z nieograniczoną wyobraźnią?

Nic nie poradzę, że miał pokój po przeciwnej stronie drzwi! Zapukało się w okno, gospodarz otworzył, powieka mu nawet nie drgnęła (jak to u zajebistego twardziela): — A zapraszam, zapraszam!

Wchodzić, wchodzić, nie ma co tak stać na krawędzi, jeszcze się spadnie no, i przeciąg jest.

Od tego czasu minęło wiele lat, kiedy więc przydarzyła się okazja, by uczcić ten wspaniały czas obalania murów i przeskakiwania barierek — postanowiłem skorzystać.

Przejeżdżam właśnie nieopodal i myślę: Zrobię niespodziankę, wpadnę, jak to onegdaj bywało — niezapowiedziany i niespodziewany.

Po pierwszym szoku może będzie nawet i śmiesznie. Szybka kawka i bon ton, lecę dalej, nie przeszkadzam, pardon. Osiedle piękne i strzeżone.

Płoty, zasieki, barierki, a budka strażnicza w stylu dopasowanym. To jest porządna dzielnica, tu porządek i bezpieczeństwo to podstawa, i za coś się w końcu płaci!

Podjeżdżam przed szlaban, opadnięty:

— Dzień dobry, pan do kogo? — trzeba przyznać, strażnik kulturka.

— „Służbowo, na statek”!

— A „Miś”, Bajera! Znam, znam.

— No tak, brawo, z tym że nie, ale nieważne. Ja do Pana XYZ, niespodzianka.

— Umówiony?

— Słucham?

— Czy jest pan umówiony?

— A co to pana Szwajcara obchodzi?

— Obcych na teren nie wpuszcza się. Muszę zadzwonić i zapytać, czy mogę pana wpuścić.

— Człowieku! To ma być niespodzianka! Jak mamy go mile zaskoczyć, gdy będziemy dzwonić i pytać, czy mogę wjechać?

Co to jest w ogóle, audyencja u Papieża?

— Proszę pana, to osiedle strzeżone. Nie ma pan pilota od bramy, a ja wykonuję tylko swoją pracę, proszę mi nie utrudniać. Nie wpuszczę pana na teren bez wyraźnej zgody właścicieli. Mam całą gromadkę dzieci i kredyt z WIBOR-em, ja nie mam wyboru.

Klomby, wozy i powozy, kostka brukowa, sznyt i styl, ładnie, ale do tego domofony, kamery, skanery, lidary, ochrony i kordony. Cholera jasna, ależ się ten nasz lokalny świat zrobił niebezpieczny, a kiedyś to się mury burzyło.

Lubię Berlin.

Dobra, wiem, brudny, ludny i pełen Niemców...

Ale przypomina mi, że wszystko jest możliwe.

ADVENTURE ABOVE AND BEYOND ALL OTHER BONDS



A VIEW TO A KILL!

ROGER MOORE • JAMES BOND



14. (AVTAK) „A View to a Kill”

The title A View to a Kill of the 1985 movie can easily be seen as prophetic.

Below is a shocking story of how great tragedy can be born from simple, prosaic, everyday situations... and how Man with a capital M can spiral downward.

He was an incredibly promising scientist and athlete, with prospects not for some casual „kill” (although in Sweden, sailing is the national sport), but for the Olympics, groundbreaking achievements in chemistry, and, given his background... who knows... maybe even a Nobel Prize within arm's reach.

After finishing high school in the '70s, our hero (already a decently promising athlete at the time) heads off to the United States, where he briefly studies chemistry at Washington State University. On his return to Sweden, he breezes through his studies at KTH (Royal Institute of Technology), where he casually — almost by accident, as his classmates recall — earns a degree in chemical engineering. Nobel suddenly started feeling a little nervous.

After finishing those studies, mentally a bit burned out, he decided to bulk up physically (you know how it is with scientists: they go to the gym, and instead of working out, they start overthinking integrals). So, for a year, he serves in the Swedish Marine Corps with the Kustjägare (Coastal Rangers). There, one night, suddenly springing up from his trusty bunk, he remembers kumite! As he stood, so he walked, heading straight back to training, picking up his earlier fascination with martial arts.

This leads him to a black belt in Kyokushin. In 1978, he becomes the captain of Sweden's national Kyokushin team and doesn't stop until he wins the European Heavyweight

Kyokushin Karate Championships in 1980 and 1981. In 1982, he takes the title in Australia. And didn't even break a sweat.

But he doesn't stop at being a karate champion or at just one academic degree. Karate Master Engineer? Pfft! He's restless, like "The World Is Not Enough," and in 1982 he earns a Master of Science in Chemical Engineering from the University of Sydney.

Oh, now that is something! Before he knows it, in 1983, thanks to his outstanding academic performance, he gets a Fulbright Scholarship, giving him entry to the Massachusetts Institute of Technology. That's MIT, ladies and gentlemen! No monkey business there.

And yet, while still in Sydney, working on his muscles outside the academic grind, he picks up some side cash as a professor-bouncer in a nightclub near King's Cross. There, he gets noticed (hence that prophetic View to a Kill) chalking chemical formulas on the wall. Grace Jones spots him and senses an opportunity (probably thinking he's cooking up some new compound for efficient and budget-friendly "nose powdering"). First, she casually offers him a job as a bodyguard, then asks him about the compound.

Our hero takes her question literally, invents the compound, and soon they're a couple. Already in New York.

And here begins the drama. The downfall. A true loss for humanity. Constant parties, soirées, endless streams of guests pull him away from science. Sound familiar?

Becoming pals with Andy Warhol and his entire art scene, he lets himself be sucked into the primitive world of the global bohemian elite. MIT? He'll never finish. Soon, instead of working on fullerenes (that's a form of carbon where the atoms are arranged in spherical, ellipsoidal, or tubular shapes — the most famous being buckminsterfullerene, C_{60} , shaped like a soccer ball), he embarks on a film career.

Yes, our scholarship holder, pioneer, master, engineer — let's not be afraid of big words — almost Nobel Laureate, de-

buts in 1985 as... one of the KGB bodyguards in *A View to a Kill*, a James Bond movie.

Though it was a minor role, alongside Grace Jones, who played May Day (always panicking, screaming “Mayday! Mayday!”), it opened the door to — sigh — a film career.

Lundgren. First name: Dolph. Spiraling down. After a sleepless night reading Paul Celan’s poetry, he decides to leave the worlds of science and sports behind.

Yes, this exceptionally intelligent, brilliant, award-winning, scholarship-laden man, groomed for the Olympics, contracted to fight the Divine Rocky, but looking like the stereotype of a meathead flexing his biceps and known only for B-grade cinema, focuses entirely on acting.

And even though he’s the kind of guy where “Whatever I Touch Turns to Success,” becoming an icon of ‘80s and ‘90s action movies, let’s be honest... this is way below the potential of his DNA.

He almost certainly threw away a Nobel Prize for research on, say, two-dimensional materials like phosphorene or molybdenum disulfide (MoS₂).

Once again, humanity took a step backwards — while VHS tape producers, popcorn makers, and the Nobel Prize Committee sighed in relief.

14. (AVTAK) „Zabójczy Widok”¹

Tytuł „Zabójczy widok” („A View to a Kill”) filmu z 1985 można śmiało uznać za proroczy. Poniżej wstrząsająca historia o tym, jak z prostych, prozaicznych, niewielkich sytuacji rodzi się wielka tragedia... a Człowiek przez wielkie Czy stacza się. Był niewiarygodnie zapowiadającym się naukowcem i sportowcem z widokami nie na jakiś „kill” (choć w Szwecji żeglarstwo jest

¹ <https://szosami.com/2025/01/03/zabojczy-widok-a-view-to-a-kill/>

sportem narodowym), ale na — Igrzyska, Chemiczne Przełomy, a z racji pochodzenia... kto wie... w końcu miał blisko po Nobla. Po ukończeniu szkoły średniej w latach 70. nasz bohater (już wtedy nieźle zapowiadający się sportowiec) wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie przez krótki czas studiuje chemię na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Po powrocie do Szwecji kończy (o tak, dla niego to jak złamać ołówek) studia na KTH, gdzie uzyskuje (od niechcenia, niemal przypadkiem — jak wspominają koledzy) tytuł inżyniera chemii. Nobel poczuł się nagle z lekka zagrożony. Po zakończeniu tych studiów, czując się nieco wyczerpany umysłowo, aby nabrać tężyzny (wiadomo, jak to jest

z naukowcami: idą na siłownię, a zamiast ćwiczyć, rozkminiają całki), przez rok służy w szwedzkiej piechocie morskiej w Kustjägare (KJ). Tam nagle, zrywając się w nocy na swej wiernej pryczy, przypomina sobie o kumite!

Jak stał, tak wstał i natychmiast poszedł trenować oraz rozwijać swoje wcześniejsze zainteresowanie sztukami walki. To doprowadza go do czarnego pasa w kyokushin. W 1978 roku zostaje kapitanem szwedzkiej drużyny kyokushin i nie poprzestaje, póki nie wygrywa Mistrzostw Europy w wadze ciężkiej w karate kyokushin w 1980 i 1981 roku, a w 1982 zdobywa mistrzostwo w Australii. I nawet się przy tym nie spocił. Nie poprzestaje jednak na tytule mistrza karate i jednym stopniu naukowym. Karate Mistrz Inżynier? Phi! Jego nosi, jakby „Świat to było za mało”, i w 1982 roku odbiera dyplom magistra chemii na Uniwersytecie w Sydney. O, i to w końcu jest coś, bo ani się obejrzał, jak w 1983 roku, za bardzo dobre wyniki w nauce, otrzymuje stypendium Fulbrighta, dające mu wstęp na Instytut Techniczny Massachusetts. To jest MIT, Panie Szanowny! Tu się w tańcu nie pier... wiadomo. Jeszcze podczas pobytu w Sydney, pracując nad mięśniami poza naukowymi zajęciami, dorabia sobie jako niewadzący nic nikomu profesorek-ochroniarek w nocnym klubie w okolicy King Cross. Tam zostaje przyuważony (stąd właśnie ten proroczy „Zabójczy Widok”), jak smaruje kredą chemiczne wzory na ścianie. Grace Jones go zauważa i wieńczy okazję (pewnie myśli, że wymyśla jakiś nowy związek chemiczny odpowiedni do skutecznego i taniego „pudrowania noska”). Najpierw, dla niepoznaki, proponuje mu pracę jako ochroniarz, a potem pyta o związek. Nasz bohater bierze jej pytanie na poważnie, wymyśla ten związek i wkrótce zostają parą. Już w Nowym Jorku. Tu zaczyna się dramat, załamanie, prawdziwa strata dla ludzkości. Te ciągłe balangi, imprezy, prywatki

THE LIVING DAYLIGHTS

CASTING MARYAM D'ABO JEROEN KRABBE JOE DON BAKER JOHN RHYS-DAVIES ANDREAS WISNIEWSKI

SCREENPLAY BY RICHARD MAIBAUM AND MICHAEL G. WILSON EDITOR SYD CAIN

PRODUCTION DESIGNER PETER LAMONT

MUSIC BY JOHN BARRY

CINEMATOGRAPHY BY ALEC MILLS

DIRECTED BY JOHN GLEN

PRODUCTION BY ALBERT R. BROCCOLI AND MICHAEL G. WILSON EON PRODUCTIONS LTD



TIMOTHY DALTON

AS IAN FLEMING'S

JAMES BOND

007

i sznur gości skutecznie odciągają go od nauki. Skąd my to znamy? Zaprzyjaźniając się z Andym Warholem i jego całym artystycznym środowiskiem, daje się wciągnąć w prymitywny świat światowej bohemy. MIT-a już nie skończy. Wkrótce, zamiast pracować nad fullerenami (to taka forma węgla, w której atomy są ułożone w kształt kuli, elipsoidalny lub rurkowy. Najbardziej znanym fullerenem jest buckminster fullerene (C_{60}), przypominający kształtem piłkę nożną), rozpoczyna karierę filmową. Tak, nasz stypendysta, prekursor, mistrz, inżynier, nie bójmy się wielkich słów — prawie Noblista — w 1985 roku debiutuje jako... jeden z ochroniarzy KGB w filmie „Zabójczy widok” z serii o Jamesie Bondzie. Choć była to niewielka rola, u boku Grace Jones, która grała May Day (ciągle zestrachana wołała „Mayday, Mayday”), otworzyła ona drzwi do tfu... kariery filmowej. Lundgren, imię Dolph, stacza się. Po nieprzespanej nocy spędzonej na czytaniu poezji Paula Celana postanawia porzucić świat nauki i sportu. Tak, ten ponadprzeciętnie inteligentny, błyskotliwy, wykształcony laureat nagród i stypendiów, szykowany na Igrzyska, kontraktowany na walkę z Boskim Rockim, a wyglądający jak stereotypowy mięśniak grający bicepsami i kojarzony jedynie z kinem klasy co najwyżej B, skupia się na karierze aktorskiej. Chociaż jest to człowiek z cyklu „Za co się nie wezmę, to Sukces”, i staje się ikoną kina akcji lat 80. i 90., to jednak, mimo wszystko, no umówmy się... jest to poniżej możliwości jego DNA. Prawie na pewno zaprzepaszcza jakiegoś Nobla za badania nad np. materiałami dwuwymiarowymi, takimi jak fosforen czy dwusiarczek molibdenu (MoS_2). Ludzkość znów cofnęła się w rozwoju, a producenci kaset VHS, popcornu i Nobli odetchnęli z ulgą.

15. (TLD) Bond Cars

There's a saying: "You are what you drive." So I wonder, does this apply to spies of the Bond caliber too?

Since 1962, six actors and one... the female 007 have portrayed James Bond. Each actor has brought their own flair to the series, and it's intriguing to speculate whether their personalities are reflected in the cars they drive.

Sean Connery is, for many, the epitome of James Bond. The 007 he portrayed drove some truly fascinating cars. Apart from the "cool beyond measure" DB5, there were also the intriguing Sunbeam Alpine in "Dr. No," the Toyota 2000GT (now considered a collector's gem from Japan) in "You Only Live Twice," and the Ford Mustang Mach I in "Diamonds Are Forever." These vehicles, both then and now, are diverse, unique, and classy. They fit perfectly with Sean's Bond, who, appearing suddenly anywhere and anytime, improvising and charming his way through, emerges unscathed from every hopeless situation, impeccably dressed, and with a sardonic smile. DB5? Absolutely spot on!

[Fun Fact: The 2000GT was never originally a convertible; it lacked the structural capability, but in the film, it is, because Sean couldn't fit in the hardtop cabin.]

Roger Moore was the more "comedic" agent with a license to kill. His sense of humor made the character amusing and endearing. He got to drive some quirky cars that perfectly matched his personality. In "The Spy Who Loved Me" from 1977, Roger drove the brand-new at the time Lotus Esprit, which turned into a submarine. When the car emerges from the sea, Bond opens one of the windows and tosses a fish onto the sand. Hmm... interesting where that fish came from?

He used a similar Lotus during his next, terrestrial "excursion" in "For Your Eyes Only." This time, the joke was that the

anti-theft device was so effective that it destroyed the car if a bad guy tried to break in. Quite a radical approach to property protection! Due to this unfortunate event, Bond had to “take control” of a Citroën 2CV, which he deftly maneuvered in one of the better chase scenes in the Bond films. For Bond fans used to watching exciting and expensive cars, the 2CV is quite a joke, but it’s Roger Moore’s persona that makes the joke work.

In other films, he also drove a small repair van, an AMC Hornet, while Scaramanga piloted an AMC Matador that turned into a plane, and various other less impressive jeeps. Oh, and he also crashed a 1947 double-decker bus. Interestingly, he also had a stint with a quirky vehicle named the Leyland Moke.

[Fun Fact: Did you know that this beach buggy appeared in a total of 4 Bond films and sometimes only loses to the DB5 in screen time?]

Timothy Dalton’s portrayal is (perhaps?) one of the more underrated, though maybe I’m wrong — I quite like him. His Bond is tough, brutal, and straightforward. Apart from the Aston Martin Vantage V8 in “Licence to Kill,” the other cars he drove in his two films were just means to get from point A to point B. Some Audis and a few Russian military vehicles, none of which Q had a hand in. But the Vantage V8 is, like Dalton, brutal, tough, dark, and deadly effective. Yes, the films and the cars from this era are more serious and somber compared to Roger Moore’s era.

Pierce Brosnan? He was a blend of his predecessors — Dalton’s seriousness, Connery’s arrogance, and a touch of Moore’s irony. His tenure coincided with BMW’s sponsorship of the Bond series, so we saw the Z3, Z8, and 7 Series, which I really like. They drive brilliantly. But, but... BMWs for a Bond? Oh yes! They are as perfect, polished, and reliable as Brosnan’s Bond. With Bavaria just a hop away from Switzerland, the “Banker from Zurich” fits perfectly into the mix. These cars were highly advanced (e.g., “smartphone” con-

trols), and their German precision matched Brosnan's flawless Bond, who could return a rental car with pinpoint accuracy and high standards. For the purists, thankfully, after BMW's sponsorship ended, "Bros" also drove an Aston Martin Vanquish in "Die Another Day." Well, probably to appease the dissatisfied 007 fans. Aston also seems to fit Brosnan's Bond very well — confident, dangerous, and stylish, like someone who could slice apples with the sharp edge of his trousers.

Daniel Craig reinvigorated the Bond series. In "Casino Royale," Craig switched to the beautiful Aston Martin DBS V12. This modern car didn't have an array of super-gadgets, just a few hidden compartments for weapons and a defibrillator. But the V12 itself is an incredibly powerful and effective weapon, allowing one to reach their destination quickly and uncompromisingly, just like Daniel Craig's Bond. Craig is a heavyweight killer, robustly built, and despite being "grounded" and taking some serious hits... indestructible. (Gosh, who could ever have a problem with V12s? Let's learn to love them before they're gone!)

However, before the "action — defibrillation" in the DBS, our new Bond stylishly switches from... a Ford to the iconic DB5! Phew, it's great that the old DB5 was resurrected in "Casino Royale" and returned in "Skyfall." I missed it! [Fun Fact: The futuristic Aston DB10 was created in 2014 for "Spectre" and produced in only 10 units. It's shockingly beautiful and suits Craig perfectly.]

But wait, where did our **George Lazenby** go?

Well, nowhere! Driving the Aston Martin DBS as Sean's successor in "On Her Majesty's Secret Service," he unfortunately didn't quite replace Connery for some. Today, the DBS isn't a highly collectible model; it faded as quickly as Lazenby did. Whether they fit together well or not, I have doubts, but I don't want to judge hastily — after all, beauty is in the eye of the beholder.

And finally, "No Time to Die"!

Here, we get double the chills. Once, when the DB5 shows its teeth again in Matera, and when... **The New Female 007**

“lands” with a stylish skid at the NATO airport, whimsically exhaling from her Aston. Ah, how well that car suits her! Like a wild horse reined in by the Warrior. There’s also a curious “advertisement” for Land Rover, where the entire modern herd loses to its old Japanese namesake, the Cruiser, proving that it’s still the driver, not the vehicle, that has the final word... “Sorry Guys, it’s Bond!”

15. (TLD) „Jesteś tym, Czym Jeździsz?”¹

Jest taki slogan: „Jesteś tym, czym jeździsz”. I tak dumam, czy szpiegów klasy „Bond” też to dotyczy?

Od 1962 Bonda, Jamesa Bonda grało aż sześciu aktorów i jedna hmm... 00Siódemka. Każdy z aktorów wniósł do serii swoją własną osobowość i przy okazji można pospekulować, czy ich charaktery przejawiają się też w samochodach, którymi jeżdżą.

Sean Connery jest dla wielu kwintesencją Jamesa Bonda. Grany przez niego 007 jeździł bardzo interesującymi samochodami. Oprócz „coolowego nie do wytrzymania” DB5 były też arcyciekawe: Sunbeam Alpine w „Dr. No”, Toyota 2000GT (teraz już uważana za kolekcjonerski klasyk z Japonii) w „Żyje się tylko dwa razy” czy Ford Mustang Mach I w „Diamenty są wieczne”.

Są to, były... różnorodne pojazdy, nietuzinkowe i z klasą. Pasują do Sean’owego wcielenia Bonda, który w swojej roli, pojawiając się nagle w dowolnym miejscu i czasie, improwizując oraz czarując wdziękiem, z każdej beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazł, koniec końców wychodzi cało, w garniturze bez skazy, z fasonem i sardonicznym uśmiechem.

Wypisz wymaluj, cały DB5!

[Ciekawostka. 2000GT oryginalnie nigdy nie było kabrioletem, nie miało takiej konstrukcyjnej możliwości, ale w filmie jest, bo Sean nie mieścił się w kabinie z twardym dachem.]

¹ <https://szosami.com/2025/02/26/jestes-tym-czym-jezdzis/>

Roger Moore był bardziej „komiediowym” agentem z licencją „to kill”. Jego poczucie humoru sprawiło, że postać była zabawną i rozbijającą. Otrzymywał ciekawe „kółka”, pasujące idealnie do jego osobowości. Roger w „Szpiegu, który mnie kochał” z 1977 roku jeździł nowym wówczas samochodem/łodzią podwodną Lotus Esprit. Kiedy samochód wynurza się z morza, Bond otwiera jedno z okienek i wyrzuca rybę na piasek.

Hmm... ciekawe, skąd się tam wzięła?

Podobnym Lotusem poruszał się podczas swojej następnej, lądowej „wycieczki” w „Tylko dla twoich oczu”. Tym razem dowcip polega na tym, że urządzenie antykradzieżowe tak przeciwdziała kradzieżom, że niszczy samochód, gdy bad guy próbuje się do niego włamać. Cóż za radykalne podejście w ochronie mienia!

Z powodu tego niefortunnego zdarzenia, Bond jest zmuszony „przejść kontrolę” nad Citroenem 2CV, którego bardzo sprawnie „pilotuje” w jednym z lepszych pościgów w filmach o 007. Dla Bond-fanów przyzwyczajonych do oglądania ekscytujących i drogich samochodów, 2CV to niezły żart, ale to osoba Rogera Moore sprawia, że ten żart działa.

W innych filmach z serii jeździ także małą furgonetką naprawczą, AMC Hornet, podczas gdy Scaramanga pilotuje AMC Matadora zamieniającego się w samolot oraz kilkoma ostatnimi jeepami.

A, no i rozbijał się także starym piętrem z 1947 roku.

Co ciekawe, śmigał też bardzo śmiesznym pojazdem o nazwie Leyland Moke.

[Ciekawostka: wiecie, że ten beach buggy wystąpił w sumie w 4 filmach o przygodach Bonda i ustępuje czasem antenowym tylko DB5?].

Kreacja Timothy Daltona jest (chyba?) jedną z bardziej niedocenianych, ale może się mylę — ja go lubię.

Jego postać jest twarda, brutalna i bezpośrednia. Z wyjątkiem Astona Martina Vantage V8 z „W obliczu śmierci”, pozostałe samochody, którymi jeździł w swoich dwóch filmach, są jedynie narzędziami do przemieszczenia się z punktu A do punktu B. Jakież Audi i kilka rosyjskich pojazdów wojskowych, w których Q nie maczał swych paluszków. Nic to, bo właśnie Vantage V8 jest, jak Dalton, brutalny, twardy, mroczny i zabójczo skuteczny.

Tak, te filmy, a w nich samochody są tu poważniejsze i ciemniejsze w tonie niż te ery Rogera Moore’a.

Pierce Brosnan? Był mieszanką swoich poprzedników — powaga Daltona, zarozumiałość Connery’ego, odrobina ironii Moora. Jego kreacja zbiegła się ze sponsorowaniem i zaangażowaniem BMW w serię o przygodach Bonda, więc pojawiły się Z3, Z8 i 7, które bardzo lubię. Jeździ się nimi genialnie. Ale ale... „beemki” dla takiego Bonda? Ależ tak! Są jak Brosnan perfekcyjne, dopracowane i niezawodne. Z Bawarii do Szwajcarii niedaleko, więc „Bankier z Zurychu” w sam raz pasuje do siódemki. Te samochody były bardzo zaawansowane technologicznie (np. sterowanie „smartphone”), a ich niemiecki charakter doskonale pasuje do perfekcyjnej ostrości BrosnanaBonda, który nawet auto do wypożyczalni potrafił oddać precyzyjnie i z wysokiego poziomu. Dla malkontentów purystów, na szczęście, po tym, gdy zakończył się sponsoring BMW, „Bros” jeździł też Astonem Martinem Vanquishem w „Śmierć nadejdzie jutro”. Cóż, pewnie dlatego, żeby udobruchać niezadowolonych z BMW fanów 007. Aston też wydaje się bardzo dobrze pasować do Bonda w stylu Brosnana, który mógłby obierać jabłka ostrym kantem swych spodni — pewny siebie, niebezpieczny i szykowny.

Daniel Craig ponownie rozruszał serię o Agencie 007. Craig w „Casino Royale” przesiadł się do pięknego Aston Martina DBS V12. Ten nowoczesny samochód nie miał zestawu supergadżetów, a tylko kilka tajemnych schowków na broń i defibrylator.

Za to V12 w nim umieszczone to sama w sobie niezwykle potężna i skuteczna broń, dzięki której można bardzo szybko i bezkompromisowo dotrzeć do celu, podobnie jak Daniel Craig alias Bond. Craig to zabójca wagi ciężkiej, masywny, dobrze zbudowany i mimo „zejścia na ziemię” i obrywania niezłych będków... niezniszczalny. (Rany, komu przeszkadzały V12, uczmy się je kochać, tak szybko odchodzą!)

Jednak, zanim doszło do „akcja — defibrylacja” w DBS, nasz nowy Bond w pięknym stylu przesiada się z... Forda do coolowego DB5! Uff, dobrze, że stary DB5 Bonda został wskrzeszony w „Casino Royal” i wrócił w „Skyfall”. Tęskniłem! [Ciekawostka: kosmiczny Aston DB10 został stworzony w 2014 na potrzeby „Spectre” i wyprodukowany tylko w liczbie 10 sztuk. Jest szokująco piękny i pasuje do Craiga idealnie.]

Ale, ale, gdzie się podział nasz George Lazenby?

Ano, nigdzie! Prowadząc Astona Martina DBS jako następcę Seana w „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości”, coś... niektórym nie zastą-

pił niestety Connery'ego. Dzisiaj DBS nie jest zbyt kolekcjonerskim modelem, przeminął równie szybko, jak Lazenby, a czy to dobrze i czy do siebie pasowali, mam tu wątpliwości, ale nie chcę pochopnie oceniać, bo nie to ładne co tylko co się komu podoba.

No i w końcu „Nie czas umierać”!

Tu ciary mamy podwójne. Raz, gdy DB5 znów pokazuje ząbki w Materze i gdy... „00Siódemka” „ląduje” z gustownym poślizgiem na lotnisku NATO, prychając kapryśnie wydechem swego Astona. Ach, jak to auto do niej pasuje! Jak narowisty koń ściągany cuglami przez Wojowniczkę. Jest tu też dziwna „reklama” Land Rovera, których całe nowoczesne stado przegrywa ze swoim starym, japońskim imieniem o nazwisku Cruiser, co tylko dowodzi, że jeszcze to kierowca, a nie pojazd ma ostatnie słowo... „Sorry Guys, it's Bond!”

ALBERT R. BRUCCOLI JR. AND JAMES HENNING'S

LICENCE TO KILL



007

16. (LTK) ALIEN

„Licence to Kill” (1989) is one of those darker Bond movies, and compared to earlier 007 adventures, it’s practically a revenge thriller. Instead of elegant dinners, Q’s gadgets, and dry one-liners, we get a personal vendetta. Bond isn’t working for MI6 here — he’s going rogue, a lone wolf on a mission.

The main theme? Brutal revenge for his friend, Felix Leiter, who was maimed, and his wife, who was killed. Bond throws away his badge and goes all in — no orders, no limits.

Dark vibes, brutal violence, a drug cartel instead of eccentric villains. And that’s exactly (if you ask me) what Bond movies should be like.

The best Bond movie (not that one, another one) starts with a sequence of dark, grainy, black-and-white images. Somewhere in the foggy, long-forgotten industrial parts of the city, where night has overstayed its welcome. Smoky alleys, cut through by pools of dim light, amplifying the atmosphere of industrial emptiness and human solitude.

Dark, grim, merciless places where mistakes are paid for in blood. Cynical, cold-bloodedly gray landscapes where nothing is what it seems, and truth is just a matter of perspective. It’s the kind of place, and the kind of hour, where shady goons would be pushing their dodgy merchandise on naïve marks — those who lacked the brains to see the trap or had too much faith in human intentions.

And humanity doesn’t have good intentions. An excess of fear born from ignorance and a shortage of knowledge feeding that fear — it’s a Molotov cocktail mix just waiting for a spark. If aliens were to show up somewhere, it would be in a place like this. A perfectly mangy, light-forsaken corner of the world, ideal for appearing without notice, without explanation.

Without excuses. They wouldn't just teleport in from nowhere, like some sci-fi writer's fever dream. The universe runs on EE — Entropy and Energy. Somehow, in a way that could be put into numbers, physics, and mechanics, they'd have to arrive. And better to arrive here — in the shadows of the backstreets, where the dregs of bad professions swim in their own murky oceans. Because the fact that extraterrestrials exist is obvious. Maybe they land on our tear-soaked rock naïve as children's books, pure, eager to observe and learn, to... understand?

Or maybe not. I don't know.

All I know is that one night, when I was slicing through the city's bypass with short, precise motions, fully in control of the vehicle, space, time, and the mechanics of orbital maneuvers — keeping my inner ear in check so it wouldn't stage a mutiny against my entire organism — I had no intention of altering the carefully plotted ballistic trajectory of my route.

And yet, suddenly, drawn by some dark energy of those grim places best avoided, I yanked the wheel in a sharp, aggressive turn — so sharp that my vestibular system, my tires, my steering wheel, and my spleen all screamed in unison: WTF, MAN?!

I dove into those dark streets, full of factory back alleys, shadowy stains, and empty parking lots. Places that, as Lech once wrote, should be avoided at all costs, at any hour — places that make it painfully (darkly) clear just how alone we are. In our world, and in the entire universe.

As I straightened the darkened curves, bent the pothole-riddled straights, and cut through the black void with my headlights — slicing the darkness clean from the ground to the sky — suddenly, out of the corner of my eye (yes, eyes see corners), I saw a Shadow.

Against the pitch-black, unlit bay stood a Darkshape. It stood. And it waved.

Energies don't care about our whining and wailing. They don't give a damn about desires. They don't distinguish be-

tween good and evil. Energies act coldly, reshuffling constellations of events. No point in getting offended. Only fools get offended — those who think they're in control of something. You want to make God laugh? Tell Him your plans.

Which is why...

I don't even know why, because if anyone with any control over anything were in my position, they would've done nothing other than grip the wheel tighter and slam the gas.

I stopped.

So suddenly that the Black Figure hesitated. Probably just as surprised as I was by my own reckless behavior. Or maybe from the sheer wind force.

Uncertainly, it stepped toward my door, and I — in the darkness of the void — saw only the whites of its eyes, like distant galaxies peering through my tinted window.

A false sense of security.

I lowered the glass.

And that's when I found out that we are not alone in this cold, empty, dark universe.

Because the figure — thankfully human, wide-eyed and slack-jawed — asked:

— Excuse me, sir, and thank you for stopping... Do you happen to know where I am?

16. (LTK) Obcy¹

„Licence to Kill” z 1989 roku to jeden z tych mrocznych filmów z Bondem i w porównaniu do wcześniejszych przygód agenta 007, to niemal thriller zemsty.

Zamiast eleganckich kolacji, gadżetów Q i suchych żartów, mamy osobistą vendettę. Bond nie działa tutaj z ramienia MI6, tylko na własną rękę, jak typowy samotnik.

¹ <https://szosami.com/2024/12/04/obcy/>

Motyw przewodni? Okrutna zemsta za przyjaciela, Felixa Leitera, którego okaleczono i żonę mu zabito.

Bond rzuca odznakę i idzie po swoje — bez rozkazów, bez ograniczeń. Mroczne klimaty, brutalność, kartel narkotykowy zamiast ekscentrycznych złoczyńców.

I takie właśnie (jak dla mnie) powinny być *Bondy*.

Najlepszy film (nie ten, inny) o Bondzie. Jamesie Bondzie rozpoczyna się sekwencją ciemnych, czarno-białych, ziarnistych obrazów.

Gdzieś z zamglonych, zapomnianych o tej nocnej porze, industrialnych części miasta.

Przydymione zaułki, przetykane plamami światła, potęgują atmosferę industrialnej pustki i ludzkiej samotności.

Ciemne, ponure, lakonicznie bezlitosne dla popełniających błędy cieniasów miejsca.

Cynicznie, zimnokrwście pełne szarości, gdzie nic nie jest tym, czym się wydaje, a prawda to tylko punkt widzenia.

Właśnie w takim miejscu i o takiej porze, szemrane oprychy opychałyby swoje lewe towary naiwnym typom. Tym, którzy nie mieli dość rozumu, żeby zrozumieć, w co się pakują, albo mieli zbyt wiele optymizmu co do intencji ludzkości.

A ludzkość nie ma dobrych intencji.

Nadmiar strachu wynikający z niewiedzy i niedomiar wiedzy potęgujący strach — to mieszanka gotowa na koktajl Mołotowa.

Jeśli *Obcy* mieliby się gdzieś pojawić, to właśnie w takim miejscu.

Doskonale skundlonym, od światła oddalonym, miejscu w sam raz, by pojawić się bez podania powodów i przyczyn. I bez tłumaczenia się skąd przybywają.

Przecież nie teleportowaliby się znikąd, jak wymyśleni przez autora S-F.

Wszechświatem rządzi EE... Entropia i Energia.

Jakoś, w sposób możliwy do opisania matematyką, fizyką i mechaniką, musieliby się *pojawiać*. Lepiej więc pojawiać się tutaj — w zaciszu ponurych zaułków, gdzie ludzkie męty złych profesji mają swoje oceany.

Bo to, że Spozaziemcy gdzieś *są*, jest oczywistym.

I może przybywają na nasz Łezpadół naiwni jak książeczki dla dzieci, czyści, gotowi chłonąć, patrzeć i obserwować, by... zrozumieć?

A może nie, nie wiem.

Wiem tylko, że kiedy kiedyś ciąłem nocną obwodnicę krótkimi, zgrabnymi ruchami, z pełną kontrolą nad pojazdem, przestrzenią,

czasem i mechaniką orbitowania po trajektoriach tak, by mój błędnik nie rozrabiał, powodując zamęt i rewolucję całego orgiazmu — wcale nie planowałem zmiany planów strategicznej krzywej balistycznej trajektorii mojej trasy.

Nagle, zwabiony jakąś ciemną energią tych ponurych miejsc, których lepiej unikać, nagłym, forsownym manewrem — od którego błędnik, opony, kierownica i śledziona wspólnie wykrzyknęły *WTF MEN?! —* skręciłem.

Wbiłem w te ciemne ulice, pełne fabrycznych zaułków, ciemnych plam i pustych miejsc parkingowych.

W miejsca, które o pisał Lech że się ich strzeż co o tej porze (i każdej innej), jasno (ciemno) dają do zrozumienia, jacy jesteśmy samotni.

W naszym i całym Wszechświecie.

Kiedy prostowałem ciemne zakręty, krzywiłem dziurawe proste i ciąłem reflektorami czarną przestrzeń, odcinając ją równo przy ziemi od nieba, nagle — kątem oka (tak, oka widzą kąty) — zobaczyłem Cień.

Na tle czarnej, nieoświetlonej zatoki stał Czarnokszaft.

Stał.

I machnął.

Energie nie słuchają naszych żali i lamentów.

Nie zważają na pragnienia.

Nie rozróżniają dobra i zła.

Energie zimno oddziałują, tworzą nowe konstelacje zdarzeń.

Nie ma się co obrażać.

Obrażają się tylko ci naiwni, co myślą, że nad czymś panują. Chcesz rozbawić Pana Boga? Opowiedz mu o swoich planach.

Dlatego właśnie... Sam nie wiem dlaczego właśnie, bo kto mający władzę nad czymkolwiek zrobiłby teraz cokolwiek innego niż mocniej ścisnąć kierownicę i nacisnąć na gaz?

Zatrzymałem się. Tak, że Postać Czarna aż zawahała się.

Pewnie tak samo zdziwiona jak ja moim przedziwnym zachowaniem.

Albo od pędu.

Niepewnie podeszła do drzwi, a ja — w ciemności nicości — widziałem tylko te białka, niczym odległe galaktyki, patrzące przez ciemną szybę. Złudzenie bezpieczeństwa.

Odsunąłem szybę.

I wtedy się dowiedziałem, że nie jesteśmy sami w tym pustym, zimnym, ciemnym Wszechświecie gdyż postać, na szczęście ludzka, z szeroko rozdziawionymi oczami zapytała:

— Przepraszam pana, i dziękuję, że się pan zatrzymał... Nie wie pan przypadkiem, gdzie ja jestem?

ALBERT R. BROCCOLI PRESENTS AN ILMARIN FILM

GOLDENEYE

PIERCE BROSNAN as JAMES BOND

SCREENPLAY BY
JEFFREY CAINE AND BRUCE FEIRSTEIN
DIRECTED BY
MICHAEL G. WILSON AND BARBARA BROCCOLI
EDITED BY
MARTIN CAMPBELL



CASTING BY
CAROLLA SCORPICO, TAMAR JAKEN
GETTY IMAGES, ALAN CUNNING

SEAN BEAN



17. (GE) THE DAM

In Her Majesty's service, Agent 007—played by Pierce Brosnan — once took a little dive on a rubber rope, which translated into a spectacular 7.5 seconds of free fall and 220 meters of “don't look down.”

Cool, huh? Kinda makes you wanna try it yourself?

No worries. Say the word, and it's done.

To channel your inner secret agent, there's no need to head off to war zones, break into high-security complexes with global strategic importance, or go bushwhacking through uncharted jungles.

All you need to do is get yourself to the Verzasca Dam, in cozy, chocolate-and-cheese-scented Switzerland. That's the place where, although pretending to be somewhere else in *GoldenEye*, Pierce Brosnan (in the fine shape of Wayne Michaels) pulled off the most famous bungee jump in movie history. Sprinting along the edge of the dam, he threw himself headfirst into the void.

And the best part? You can do it too. And who knows, maybe save the world... or at the very least have yet another story to tell at the pub over a round of cheap swill.

The Verzasca Dam was built in the early 1960s. It stands 220 meters tall and ranks as the fourth highest dam of its kind in Switzerland. After the movie's success, some enterprising folks saw their opportunity. They opened the dam to other equally enterprising folks whose business is squeezing cash out of adrenaline junkies in exchange for a few seconds of pure terror on a bungee cord.

Adrenaline lovers, thrill-seekers, and would-be suiciders who still aren't 100% sure can choose from one of four jump options:

1. The James Bond Style

Exactly like in *GoldenEye* — the world’s most famous bungee jump, and a record-breaker in terms of height. The scene was shot with the help of the pros from Bogner-Film, who also worked on *Fire, Ice & Dynamite* (which tells you everything you need to know). The “Bungy Jumping 007” is the stuff of legend: you dive headfirst like a human javelin, legs tied together with a special strap. Before you leap, you’ll go through a short training session and a mandatory slimming course (maximum weight: 115 kg). Oh, and you’ll want to ditch your glasses — should you smack into water or rock, they might get slightly... scratched.

2. The WTF Style

You drop, then bounce sky-high, only to plummet again. Strictly for people with nerves — and ropes — of steel.

3. The Bank Job

Like Style No. 1, but in the dead of night, with spotlights blazing, torches burning, and a custom soundtrack. We recommend Chopin’s Funeral March. Only for those who like their thrills with an extra side of heart palpitations. (Rumor has it, the jump is done using a chain. We’re not asking questions.)

4. No Rope

Disclaimer: In the unlikely event you walk away from this one, no refunds.

The Verzasca Dam in Ticino (Switzerland) forms a reservoir on the Verzasca River — Lago di Vogorno, near the town of Tenero. The dam was built between 1961 and 1965. And if you’re curious: scenes for *GoldenEye* were also shot in Saint Petersburg, Arecibo, Vega Baja and Manatí (Puerto Rico), London, Epsom, Leavesden Studios and Salisbury Plain (UK), on the Côte d’Azur in France — specifically in the Rhône Delta, Gréolières, and the Maritime Alps — as well as in Monte Carlo (Monaco).

17. (GE) TAMA

W służbie Jej Królewskiej Mości agent 007, grany przez Pierce'a Brosnana, skoczył raz sobie w dół na gumowej linie, co przełożyło się na spektakularne 7,5 sekundy swobodnego spadku i 220 metrów głębokości. Fajnie, c'nie? Chciało by się też tak? Spoko, mówisz masz. Żeby wcielić się w postać słynnego agenta 007, nie trzeba udawać się w rejony objęte konfliktami zbrojnymi, superstrzeżone kompleksy o znaczeniu strategicznym czy w dzikie puszcze się zapuszczać. Wystarczy dotrzeć nad tamę Verzasca w nudnej, przytulnej, jadącej serem i czekoladą Szwajcarii. To tam, choć w filmie *GoldenEye* udaje, że gdzie indziej, Pierce Brosnan pod postacią Wayne'a Michaelsa wykonał najśłynniejszy skok na bungee w historii kina i biegnąc wzdłuż krawędzi tamy, rzucił się w dół. Będąc w Szwajcarii, można powtórzyć jego wyczyn i, kto wie, może uratować świat, a na pewno, po raz tysięczny, mieć o czym gadać w pubie za kolejkę taniego sikacza. Tama na rzece Verzasca została zbudowana na początku lat 60. Mierzy 220 metrów i jest czwartą najwyższą budowlą tego typu w Szwajcarii. Po sukcesie w filmie przedsiębiorcy właściciele udostępnili tamę innym przedsiębiorczym przedsiębiorcom, do dojenia dudków z dudków za pomocą skoków na bungee. Miłośnicy adrenaliny, wariaci, i samobójcy którzy jeszcze 98 nie są pewni na 100%, oraz cała reszta, mogą zdecydować się na jeden z czterech oferowanych typów skoku.

1. W stylu Jamesa Bonda — dokładnie taki jak w filmie *GoldenEye*; to najśłynniejszy skok świata na bungee, również rekordowy jeśli chodzi o wysokość. W kręceniu scen uczestniczyli fachowcy z Bognier-Film, twórcy m.in. filmu *Fire, Ice & Dynamit*. Bungy Jumping 007 — najsławniejszy skok na bungee świata — człowiek rzuca się jak do wody, na szczupaka głową w dół, mając obie nogi związane specjalną taśmą. Przed skokiem każdy musi przejść krótki kurs treningowy, odchudzający (ważyć nie więcej niż 115 kg) i raczej powinien zdjąć okulary (po uderzeniu głową w taflę wody lub ziemię, mogą się uszkodzić).

2. W stylu o JPRDL — który zapewnia po skoku lot w górę i ponowny spadek. Ale to już dla osób o wyjątkowo mocnych nerwach i linie.

3. Skok jak na Bank — w stylu nr. 1, ale nocą, ze światłami reflektorów, płonącymi pochodniami i specjalną muzyką (Marsz Żałobny). Jest on przeznaczony dla osób o wyjątkowo mocnych nerwach i relizowany przy pomocy łańcucha.

4. Bez liny — uwaga: w razie niepowodzenia i wyjścia z życiem, firma nie zwraca opłaty.

Tama Verzasca w Ticino (Szwajcaria) tworzy zbiornik na rzece Verzasca — Lago di Vogorno, jezioro niedaleko miejscowości Tenero. Zaporę Verzasca zbudowano w latach 1961–1965. A poza tym, zdjęcia do filmu GoldenEye realizowano w Petersburgu, Arecibo, Vega Baja i Manatí (Portoryko), Londynie, Epsom, Leavesden Studios i Salisbury Plain, na Łazurowym Wybrzeżu, w departamencie Delta Rodanu, Gréolières i Alpach Nadmorskich (Francja) oraz Monte Carlo (Monako).

18. (TND) SZ.SZ

The world of stars, fame, people famous for being famous, celebs, celegermans, and Céline Dion requires the proper setting, conduct, treatment — and the right car.

And the right man in the right place. A man who can handle it, tame it, take care of everything from A to Z.

Me.

“For this job,” she said, “though it may seem simple — let me be clear, it’s anything but — we’ve selected you...” She glanced down, just to be sure, at the perfectly forged business card. “...uhm, Mr. Szosa-Mi, of Go-Ke San. You come highly recommended by the Guild of OldMotorHeads and AncientGrumps.”

After rejecting countless candidates, and after an X-ray level analysis of your background, achievements, references, dental records, aquarium water quality, and a surprisingly decent review of the evidential video materials — you, out of all the special-care freelancers, are the one who ticks every single box we need. You’re punctual like the atomic clock in Mannheim. As reliable as an old Soviet sickle. As enterprising as Gutenberg. But — most importantly — you never speak unless spoken to. And you’ve been trained in the ancient, difficult art of *savoir-vivre*.

...I kept quiet.

“Your task, Mr. Go-Ke,” she went on, “will be to pick up our guest from the airport. A very important guest. One who, after fifteen years of effort, has finally agreed to make a public appearance.”

And, as luck would have it, at our festival — Mr. Sztetan Szulce of Salzburg. Known as ‘Triple-G’. As in Genius, Guru, Giant.

At this point, she had to step outside to air out her dazzled brain, oxygenate her face, and keep herself from fainting.

...I waited.

When she returned, teetering slightly on high heels sharp enough to neutralize enemies from a distance, she continued:

“This experimenter of tape, master of montage, grand auteur... he’s the Kurosawa of documentary, the Spielberg of the New Frankfurt Cinema Revival, the Tarantino of 8mm. He’s Francis, Ford, and Coppola all rolled into one!”

“You’ve been chosen, Mr. Szosa-Mi, to collect him on time, transport him with precision, and deliver him reliably. The Legend — alive, preferably, if you please!”

He is an elusive Man-Myth. The creator of such works as *My Workshop in Karl-Marx-Stadt*, *Mein Bruder Macht Puder*, and the legendary, award-winning with all past, present, and yet-to-be-invented prizes: *Wehrmachtnachrichtenverbindungen*. Though I doubt those titles ring any bells for you.

...They didn’t.

“A creator of works so deeply committed,” she pressed on, full of fervor, “so profoundly striking, so incisive, that after the very first screenings, it became mandatory to present up-to-date medical and psychiatric certificates — recognized by only a handful of specialists worldwide — before being allowed in the theater. His latest works, crafted somewhere on the fringes of civilization — some say off-planet — when they appear, they become a quantum leap in global culture. They affect economies, topple governments, spark revolutions!”

“And mind you, Mr. Szosa — Sz. Sz. — he is extremely delicate. A man of refined manners. A keen observer, sensitive to the tiniest details. Which is why neither we, nor you, Mr. Mi, can afford even the slightest slip.”

“To put it in Japanese: Zro — Zu — Mi — Ano?”

...I nodded.

Yeah, sure. What do I know? Hand me a hammer, I’ll drive a nail. But in this case, I’d better pick the right hammer.

I had to operate without the ostentation of a Bentley or Rolls-Royce. Szulce is the gothic director of *ExperimentaThor*, the New Wave of the Ethiopian Underground. For various re-

asons, English or German cars might not suit him. Maybachs, Jaguars, Maseratis, Porsches — out of the question. We couldn't risk attracting too much attention. Fainting fans in whole-sale quantities could disrupt the schedule.

I needed a car that was suitably comfortable, yet agile, fast, and supple. Distinguished but understated. That's why, for this crucial mission, I chose the Lexus LS — because it's simply super. Fest.

It's Lexus' flagship limousine. Their most luxurious model. The Japanese equivalent of the Mercedes S-Class, BMW 7 Series, or Audi A8.

From the start, it was Lexus' calling card, showing the world what luxury means to the Japanese: flawless craftsmanship, subtlety, and the pursuit of harmony. I figured it would do the trick.

Mister Szulce is as reclusive as a hermit after downing a bouquet for Women's Day, and as skittish as a driver after twelve straight hours behind the wheel. And this time, I wouldn't be stuffing him in the trunk... The LS would fit him just fine.

This isn't a car for those who need to shout about their status. It's a machine for those who don't need to say anything at all.

Not for the masses. For us. Just right. Plus, it's got that whole Omotenashi thing — Japanese hospitality designed to anticipate the passenger's and driver's needs before they even think of them — and shibumi, meaning discreet elegance.

Whatever that means.

No excess. No tackiness. Masterful finishing. Quality on par with handmade craftsmanship and a self-forged samurai sword. Kyoto straight from Tokyo — massage seats with heating, ventilation, and electric adjustment for pretty much anything that sits on the person who's sitting on it. And upholstery in silk and top-grade leather — finishing it all off.

Our alien will be content with the content.

Sure, I'd feel safer in some Bond-modified BMW 7 Series, with a handy missile system, a cutter for fan-stretched steel cables, or anti-theft windows and electrified door handles that no fan club could breach. Or at least a BMW R1200C — I'm drifting off here — so I could zip through narrow alleys with Wai Lin, escaping the Overenthusiastic!

But not here — this mission called for a different class, finesse, and quality. Not brutal chases, victorious brawls, or other acrobatic drifts while shaving the apex at “two hundred, cut left.”

“Just remember, Mr. SzosaMi — quiet sophistication!”

“We're paying you an outrageously high fee for: 1. punctuality, 2. professionalism, 3. security, but mostly — without haggling over payment terms — for the silent, top-tier savoir-vivre.”

Sztefan Szulce is a loner, a hermit, an introvert who spooks easily.

And we don't want to spook him. Got it? After fifteen years in hiding, we don't want him to feel the slightest discomfort — those were the words of the event manager, still echoing in my head.

“No worries,” I reassured her. “Mi will behave. Mi likes this.”

And I reassured myself, in silence.

When the time came, and I rolled up to the curb in silence — so as not to startle the pigeons or the Honorable Sz. — precisely on time to the thousandth of a second, Stefan Szulce, in an elegant trench coat, walked elegantly toward the elegant doors of the elegant hotel.

I got out to open up the heavens and the hangar-sized doors of my mega-vehicle for him. And as he approached, I bowed deeply, Japanese-style, offering him the greatest respect — and, hoping to make him feel right at home, I greeted the great man in his mother tongue with great joy:

“AUF WIEDERSEHEN!”

18. (TND) SZ.SZ.¹

Świat sław, gwiazd, ludzi znanych z tego że są znani, celebrytów, celegermanów i Celin Dion wymaga odpowiedniej oprawy, zachowania, traktowania oraz samochodu.

I odpowiedniego człowieka na odpowiednim miejscu, takiego co to ogarnie, ujarzmi, od a do z załatwi.

Mnie.

— Do tego zadania, mimo że z pozoru proste — ale od razu mówię, niełatwe — wybraliśmy pana... — tu, żeby się nie pomylić, zerknęła na doskonale podrobioną wizytówkę — ...y... Szosa-Mi z Go-Ke San, gdyż polecono nam pana w Gildii OldMotorHeadówStarychZgredów.

Po odrzuceniu wielu kandydatów, a po rentgenowskiej analizie pana przeszłości, dokonań, sprawdzeniu rekomendacji, przeglądnięciu stanu uzębienia, jakości wody w akwarium i zapoznaniu się z dowodowym materiałem filmowym — o dziwo —

ze wszystkich freelancerów specjalnej troski spełnia pan dokładnie te warunki, które są nam potrzebne. Jest pan punktualny jak zegar atomowy z Mannheim, niezawodny jak stary radziecki sierp, przedsiębiorczy jak Gutenberg, ale — co najważniejsze — nie odzywa się pan nieproszony i był pan szkolony w arkanach prądawnej, trudnej sztuki savoir-vivre...

...Milczałem.

— Pana zadanie, panie z Go-Ke, polegać będzie na odbiorze z lotniska naszego gościa. Bardzo ważnego gościa. Gościa, który w końcu, po piętnastu latach starań, po raz pierwszy zgodził się pokazać publicznie...

I to właśnie na naszym festiwalu — pana Sztefana Szulce, rodem z Salzburga. Zwanego „TrzyGie” Gdyż Geniuszu, Guru, Gigan-cie.

Tu musiała na chwilę wyjść, żeby przewietrzyć olśniony mózg, dotlenić twarz, nie zemdleć z wrażenia.

...Czekałem.

Gdy, zataczając się z lekka na szpilkach, którymi można by razić wrogów na odległość, wróciła, kontynuowała:

¹ <https://szosami.com/2025/03/14/sz-sz/>

— Ten eksperymentator taśmy, mistrz montażu i arcyreżyser, to Kurosawa dokumentu, Spielberg Odrodzonego Kina Nowego Frankfurtu, Tarantino 8 mm. To Francis, Ford i Coppola w jednym!

Wybrano pana, panie Szosa-Mi, żeby punktualnie odebrać, precyzyjnie przetransportować i niezawodnie dostarczyć Legendę — dodam: żywą, jeśli można prosić!

To bardzo płochliwy Człowiek Mit. Postać, która stworzyła takie dzieła jak „Mój warsztat w Karl-Marx-Stadt”, „Mein Bruder macht Puder” czy legendarne, nagrodzone wszystkimi dotychczasowymi i przyszłymi, jeszcze niewymyślonymi nagrodami — „Wehrmachtnachrichtenverbindungen”. Ale pewnie panu one nie powiedzą.

...Nic powiedziały.

Twórca dzieł tak zaangażowanych — kontynuowała z emfazą — tak głęboko uderzających w człowieka, tak wnikających we wnętrze, że już po pierwszych seansach wprowadzono nakaz okazywania przed projekcją aktualnych badań lekarskich i psychiatrycznych, honorowanych jedynie od kilku specjalistów na całym świecie. Najnowsze jego dzieła, tworzone gdzieś na rubieżach cywilizacji — a niektórzy twierdzą, że już poza planetą — kiedy się pojawiają, są krokiem milowym w całej światowej kulturze. Wpływają na gospodarki, potrafią obalać rządy i wzniesić rewolucje! I tu uważa, panie Szosa — Sz. Sz. jest on osobą niezwykle delikatną, człowiekiem zmanierowanym, wnikliwym obserwatorem, czułym na najmniejsze szczegóły detalistą. Dlatego nie możemy sobie pozwolić, i pan, panie Mi, razem z nami, na najmniejsze nawet uchybienie.

Że tak rzucę z japońska: Zro — Zu — Mi — Ano?

...Kiwłem głowom.

No, może tak. Ja tam się nie znam.

Daj mi młotek, a wbiję gwoźdź. Ale co prawda to fakt, w tym wypadku muszę przyłożyć się bardziej z wyborem tego młotka.

Zadziałać bez ostentacji Bentleya czy innego Rollsa. Szulce to gocki reżyser EksperymentuThor Nowej Fali Etiopskiego Undergroundu. Z różnych względów angielskie czy niemieckie wozy mogą mu nie pasować. Jakies Maybachy czy JaguaroMaseratiPorscha odpadają — nie możemy zbyt przyciągać uwagi.

Padające w ilościach hurtowych omdlałe fanki mogłyby zakłócić

marszrutę.

Muszę mieć wóz odpowiednio wygodny, a przy tym zwrotny, szybki i gibki. Dystyngowany, ale w. Dlatego do tej ważnej misji wybrałem Lexusa LS, gdyż super on jes. Fest.

To flagowa limuzyna Lexusa, ich najbardziej luksusowy model, coś jak odpowiednik Mercedesa Klasy S, BMW serii 7 czy Audi A8.

Ponieważ od początku był wizytówką Lexusa, pokazując światu, i czym dla Japończyków jest luksus, perfekcją wykonania, subtelnością i dążeniem do harmonii — uznałem, że może się nadać. Mister Szulce jest osobą skrytą jak Pawłowicz po spożyciu bukietu na dzień kobiet i płochliwą jak kierowca po 12 godzinach jazdy non-stop, a do bagażnika go (tym razem) wsadzał nie będę... LS mu spajuje.

Nie jest to auto dla tych, którzy chcą krzyczeć o swoim statusie.

To maszyna dla tych, którzy nie muszą nic mówić. ...

Nie dla mas, dla nas, w sam raz. No i ma całe to Omotenashi — japońską sztukę gościnności, projektowaną tak, by przewidywać potrzeby pasażera i kierowcy, zanim oni sami o tym pomyślą — i shibumi, czyli dyskretną elegancję.

Cokolwiek to znaczy.

Brak przesady, zero tandety, mistrzostwo wykończenia, jakość na poziomie rękodzieła i miecza samurajskiego własnej produkcji. I Kioto prosto z Tokyo, czyli masaże z podgrzewaniem, wentylacją, elektryczną regulacją niemal wszystkiego, co siedzi w człowieku, który na tym siedzi. A tapicerki z jedwabiu i skóry najwyższej jakości — domykają tego dzieła.

Nasz Kosmita będzie kontent z tego kontentu.

Jasne, czułbym się pewniej w jakimś modyfikowanym dla Bonda BMW 7, z poręcznym systemem podręcznych rakiet, przecinakiem do rozciągniętych przez fanów stalowych lin, czy antywłamaniowymi szybami i elektrycznymi paralizatorami w klamkach których nie sforsuje żadna fanek banda. Albo chociaż BMW R1200C — rozmazałem się — by, jak z Wai Lin śmigać wąskimi zaułkami przed Nachalnymi!

Ale nie tu — ta misja wymaga innej klasy, finezji i jakości, a nie brutalnych pościgów, zwycięskich bijatyk czy innych ekwilibrystycznych driftów z przesadnym cięciem zakrętów przy „dwieście lewy tnij”.

„Tylko pamiętaj, panie SzosaMi — cicha kultura!

Płacimy panu zdecydowanie zbyt wygórowane wynagrodzenie za:

1. punktualność
2. profesjonalizm
3. bezpieczeństwo

ale głównie — nie wyklócając się o termin płatności — za milczący najwyżej klasy *savoir-vivre*.” Sztęfan Szulce to odludek, eremita, introvert, którego łatwo spłoszyć!

A nie chcemy go spłoszyć. Tak? Nie chcemy, żeby po piętnastu latach nieobecności poczuł jakikolwiek dyskomfort — cały czas w głowie brzmiały mi słowa managerki tego przedsięwzięcia.

— Spoko, nie ma przecież problemu. Mi się ma zachować, mi się to podoba — uspokoiłem ją, i siebie, w duchu.

I milczeniu.

Kiedy nadszedł czas działania a ja z cichym szumem opon, bezgłośnie — żeby nie spłoszyć gołębi i Szacownego Sz. — punktualnie, do tysięcznych sekundy, podjechałem do krawężnika, Sztęfan Szulce, w eleganckim trenczu, elegancko podszedł pod eleganckie drzwi eleganckiego hotelu.

Wysiadłem by uchylić mu nieba i odrzwia wielkości wrót hangaru lotniczego mego megapojazdu, a kiedy podchodził, oddając głębię szacunku (w japońskim stylu) ukloniłem się nisko i, chcąc, by poczuł się jak w domu, radośnie przywitałem znamienitość w jego ojczystym języku:

— AUF WIEDERSEHEN!

ALBERT R. BROCCOLLI'S SON PRODUCTIONS ... JIM FLEMING'S



CASTING BY SOPHIE MARCEAU ROBERT CAHILL DENISE RICHARDS JUDI DENCH ROBERT COLTRANE MARIA GRAZIA CUCINOTTA
EDITED BY SARA STEVENS BRUCE FERGUSON NEAL PURVIS PRODUCTION DESIGNER PETER LAMONT MUSIC BY JIM CLARK
EXECUTIVE PRODUCERS DAVID ARNOLD PRODUCED BY ADRIAN BIDDLE WRITTEN BY MICHAEL APTED
DIRECTED BY BARDANA BROCCOLLI AND MICHAEL R. WILSON ... SON PRODUCTIONS CO.

THE WORLD IS NOT ENOUGH

PIERCE BROSNAN
... JIM FLEMING'S
JAMES BOND 007

19. (TWINE) Being Bond?¹

London. A river of streets, a torrent of people flowing in a strictly

predetermined direction, not one of their choosing, unfortunately. It's like a tsunami, sweeping everything along. The wisest thing is to surrender to the current and hope it carries you roughly where you want to go. But I don't surrender; I resist and wait. I've braced myself against the ground, melded into the wall, the pressure pressing me against the brick facade... and I endure. Who thought up this setup, who scheduled me on the busiest street of a city I know well, and that too, before lunch?

As always, when you don't know what's going on, it's about the money. It's about the dough, cash to be made, business to be done, and it's happening right here. We're in the fashion mecca, the business hub, the pound capital. And the pound's exchange rate is pretty good at the moment.

It's the exact opposite of me, who's currently not enjoying such a favorable rate. I've arrived broke, shaken off the dust of half of Europe, eager to earn quickly and move on. To cheaper places, because London isn't cheap.

I'm made for this job! No special qualifications, unique skills, or much sharpness required. Just me! All I need is a pas-

¹ This story captures a unique moment in London where the protagonist, unexpectedly mistaken for a famous actor (Brosnan), finds himself entangled in a peculiar scheme involving luxury goods. The narrative cleverly blends reality with elements of surreal humor, providing a fascinating glimpse into a world of high stakes and mistaken identities. What's more, this event actually happened, adding an extra layer of depth and authenticity to the tale.

sport. I stand, I endure, and wait for the meeting with the intermediary I don't know too well.

I've been described to him precisely; there's no chance of mistake, so I wait, and I might soon be clawing my way into the wall.

The world has been crazy for a long time. But not so long ago (past tense, strong verb), the Far East went crazy for Louis Vuitton luxury products. Strange, the Far East, the epicenter of counterfeit goods, now wants originals. I don't know if they're good, but they're certainly ridiculously expensive.

Do you realize how far you can fall socially, stepping out of a Ferrari or another Rolls with a counterfeit handbag? How much face you can lose in the Far East. There, image is everything.

How you're seen is how you're written. There are no second chances for image blunders there.

So, the customer is king, the customer demands, the customer gets. Louis V. is very willing to fulfill your requests, but can't keep up with the production of these luxuries. I suspect he might be intentionally lagging behind. Everyone knows, demand drives price. For the price to be high, there must be strong demand and limited product. And recently, there's been a strong demand for Louis V. among people who have long since lost track of how much money they have.

Not my problem; beauty is not what is beautiful, but what one likes. But what scrambled my brain, causing my synapses to freeze for a moment, was the fact that you can buy a maximum of THREE Louis Vuitton items at a time in their boutique every SIX MONTHS. Yes, it's no joke. And what do entrepreneurial, quick-thinking people, who rise above religion, skin color, faith, and sexual orientation, do with this difficult situation faced by desperate millionaires who can't see the light at the end of the tunnel of Louis' production?

Those bound by one faith, one love, one god: Profit! They solve, yes, they solve the Gordian knot. Trying to alleviate the suffering of the super-rich Asians (BBA) and the desire to keep

high prices by a desperate, tunnel-blinded Louis, they take on the effort of mediation and quick distribution. They seek out people like me, fresh arrivals with beautiful, clean passports unspoiled by Louis V.

So, I stand and wait; my anchor holds, but weaker and weaker, as lunchtime approaches. The heat from the crowd intensifies, my nails scratch against the facade. Next to me, another guy stands, also struggling against the current, also waiting, looking around anxiously, searching for someone...

Your (in this case, my) passport data is entered into the Louis Vuitton store database so you don't accidentally buy anything earlier — remember just 3 things, enter — see you in six months. Brilliant move. People fight over those Louis V. bags, wallets, backpacks. They'll pay any price for the original, even triple, and the product is scarce. Thus, shoppers are sought out who will buy the products at Louis for a small commission. So grab a bundle of pounds, dash to the boutique, show your passport dutifully, and buy, buy, buy.

I stand, he stands. We stand, I don't know who we're waiting for, but we wait. The intermediary supposedly knows that I am I. But time has passed, no one has arrived, the human current starts to push me dangerously toward my colleague next to me, who, I see, is also slightly irritated. Perhaps we're both waiting for the same guy, and he's not showing up.

And now the best part of this deal. In those bygone times, there wasn't yet ultra-fast, fiber-optic internet. Computers exist, but there are no networked cloud databases. They enter your data into a computer in one boutique, and after a while, on floppy disks (an old-school USB), or manually, they enter the data into databases so it's accessible to other stores, so they know they can politely and courteously shoo you away and see you in 6 months. Before the data reaches other stores, transported by a hired minibus, in a well-organized operation... they shuttle you (in this case, me) there.

And? Yes! You buy, buy, buy. And there are three stores! And people like us are a few, the whole operation is buttoned up tight, to the last buckle of a Louis' bag.

You buy, take receipts, settle up with the cashier and the goods, and in the end, you get a commission. The legal, original, and irrationally (so expensive) merchandise sold (at a markup) moves to Hong Kong, and for the stubborn — VAT can even be deducted.

Geniuses! Are there any weak points here?

But until the whole operation is completed, I'm no longer standing, but hanging on by the last of my strength and frustration, my nails clinging on the remnants. I resist the growing ocean of humanity, and still, inexorably, leaving marks on the brick, I move toward my colleague next to me. And suddenly I hear my colleague next to me, holding onto the windowsill with one hand and talking on the phone with the other, shouting into the microphone in perfect Polish:

— Damn, he's not here! I know time's up and I know what a TYPical Pole looks like, but he's not here! Next to me is just some guy. He looks like Bond, and this whole spy probably doesn't buy bags!

19. (TWINE) Być Bondem¹

Londyn. Ulica rzeka, wartki strumień ludzi płynie w ściśle określonym kierunku, nie przez nich określonym, niestety. Jest jak tsunami, porywa wszystko. Najrozsądniej jest poddać się bezwładnie prądowi i liczyć, że zanieś cię mniej więcej tam, gdzie chcesz się udać.

Ale ja nie poddam się, stawiam opór i czekam. Zapałem się o grunt, wtopiłem w ścianę, ciśnienie wciska mnie w ceglana fasadę...

i tak trwam. Kto to wymyślił, kto mnie umówił na najruchliwszej ulicy znanego mi miasta świata i to przed lunchem?

¹ <https://szosami.com/2024/12/07/byc-bondem/>

Jak zawsze, gdy nie wiesz, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. To mamoną jest powodem, kasa do zarobienia, biznes do realizacji, a ten odbędzie się tu. Jesteśmy w mekce mody, centrum biznesu, stolicy funta. A funt ma dobry kurs aktualnie.

To dokładnie odwrotnie niż ja, który aktualnie takiego dobrego kursu nie mam. Przybyłem tu splukany, splukałem z siebie kurz połowy przebytej Europy, chciałem szybko zarobić i spływać dalej. W tańsze miejsca, bo Londyn nie jest tani.

Do tej pracy jestem stworzony! Nie potrzeba ani specjalnych kwalifikacji, ani unikalnych umiejętności, ani zbytnej bystrości. Cały ja! Trzeba tylko paszportu. Stoję, trwam i czekam na spotkanie z bliżej mi nieznanym pośrednikiem.

Zostałem mu dokładnie opisany, nie ma mowy o pomyłce, no to czekam i chyba zaraz się wbiję pazurami w mur.

Świat ogólnie zwariował już dawno. Ale dość niedawno (czas przeszedł, czasownik mocno dokonany) daleki wschód zwariował na punkcie produktów luksusowej marki Louis Vuitton. Dziwne, daleki wschód, epicentrum wszechświata podróbek, chce właśnie oryginałów. Nie wiem, czy dobrych, ale na pewno horrendalnie drogich.

Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo można spaść z drabiny społecznej, wysiadając z ferrari czy innego rollsa z podrobioną torebką?

Jak bardzo można stracić twarz na tym Dalekim Wschodzie. Tam wizerunek jest wszystkim.

Jak cię widzą, tak cię piszą. Tam się błędów wizerunkowych nie zapomina i nie wybacza.

Skoro tak, to klient nasz pan, klient żąda, klient dostaje. Louis V. bardzo chętnie spełni państwa prośby, ale nie nadąży z produkcją tych luksów. Mam podejrzenie, że być może specjalnie nie nadąży. Każdy wie, popyt czyni cenę. Żeby cena była odpowiednio wysoka, musi być silny popyt i mało produktu. A ostatnio jest silny popyt na Luisa V. wśród ludzi, którzy dawno już nie wiedzą, ile mają kasy. Nie moja sprawa, nie jest ładne, co ładne, tylko co się komu podoba. Ale to, co zmąciło mi mózg, a synapsy przez chwilę zamarły, to fakt, że możesz u Luisa Vuitton'a w salonie kupić max TRZY produkty RAZ na pół roku. Tak, to nie żart. I co z tą trudną sytuacją zrozpaczonej milionerki robią przedsiębiorczy, bystro myślący ludzie interesu będący ponad religią, kolorem skóry, rodzajem wyznania i orientacją seksualną?

Ci, których wiąże jedno wyznanie, jedna miłość, jeden Bóg: Zysk! Oni rozwiązują, tak, rozwiązują węzeł gordyjski. Próbuąc ulżyć cier-

pieniu BBA (Bajecznie Bogatych Azjatów) i pragnieniu utrzymania wysokich cen przez zrozapconego, niewidzącego światła w tunelu Luisa, biorą na siebie wysiłek pośrednictwa i szybkiej dystrybucji. Wyszukują takich jak ja, nomadów świeżo przybyłych z pięknymi, czystymi, nieszcpecącymi Luisowi V. baz danych paszportami. Stoję więc i czekam, kotwica trzyma, ale coraz słabiej, gdyż zbliża się nieuchronnie pora lunchu. Żar od tarcia tłumu się wzmaga, paznokcie szorują po fasadzie. Obok gościa jakiś także stoi, też walczy z odpływem, też czeka, pilnie się rozgląda, kogoś szuka...

Dane z twojego (w tym wypadku mojego) paszportu są wbijane do bazy danych w sklepie Luisa, żebyś przypadkiem nie kupił nic wcześniej, pamiętaj tylko 3 rzeczy, enter — do zobaczenia za pół roku. Genialne zagranie. Zabijają się za tymi torebkami, portfelami, plecaczkami tego Luisa V. Każdą cenę zapłacą za oryginał, nawet i potrójną, a towaru mało. Szuka się więc zakupowiczów, którzy za małą prowizją nakupią u Luisa towarów. Bierz więc zwitek funtów, leć do salonu, pokaż karnie paszport i kupuj, kupuj, kupuj.

Stoję, On stoi. Stoimy, nie wiem, na kogo czekamy, ale czekamy. Pośrednik ponoć wie, że ja to ja. Ale czas minął, nikt nie przybył, prąd ludzki zaczyna mnie niebezpiecznie przesuwac w stronę kolegi obok, który, widzę, też już lekko wkurwiony, być może obaj czekamy na tego samego typu, a ten nie przychodzi.

I teraz najlepsze w tym dilu. Są to czasu słusznie minione, nie ma jeszcze ultraszybkiego, światłowodowego internetu. Komputery są, ale sieciowych baz danych typu „chmura” nie ma. Wbijają twoje dane do komputera w jednym salonie, Po jakimś czasie na dyskietkach (taki pendrive średniowieczny) lub ręcznie wbijają dane do baz danych, aby były dostępne dla pozostałych sklepów, żeby tam wiedzieli, że już mogą cię grzecznie, uprzejmie spławić i do widzenia za 6 miesięcy. Zanim dane dotrą do pozostałych sklepów, wynajętym busikiem, w zorganizowanej akcji... przerzucają tam ciebie (w tym wypadku mnie).

I? Tak! Kupujesz, kupujesz, kupujesz. A sklepy są trzy! A takich jak my jest kilkoro, cała akcja zapięta na ostani guzik, na ostatnią klamerkę w torebce Luisa.

Kupujesz, bierzesz paragony, rozliczasz się z kasy i towaru, a na koniec otrzymujesz prowizję. Towar, legalny, oryginalny i irracjonalny (tak drogi) już sprzedany (odpowiednio drożej), przemieszcza się do Hong-Kongu i jeszcze, na uparciucha — VAT sobie można odliczyć.

Geniusze! Czy są tu jakieś słabe punkty?

Lecz póki nie dojdzie do całej tej robótki, ja już nie stoję, a wiszę ostatkiem sił i wkurwienia na resztkach paznokci. Opieram się oceanowi ludzkiemu, który się wzmaga, a i tak niebłagalnie, zostawiając ślady na cegle, przesuwam się w stronę kolegi obok. I nagle słyszę kolegę obok, który jedną ręką trzyma się parapetu, a drugą rozmawia przez komórkę, najczystsza polszczyzna woła do mikrofonu:

— Kurwa, nie ma go! Wiem, że czas minął i wiem jak wygląda TYPOwy Polak, ale go nie ma! Obok stoi tylko jakiś koleś. Wygląda jak Bond, a on, cały ten szpieg, torebek raczej nie kupuje!

ALBERT R. BROCCOLI'S SON PRODUCTIONS ... VIA FLEMING'S

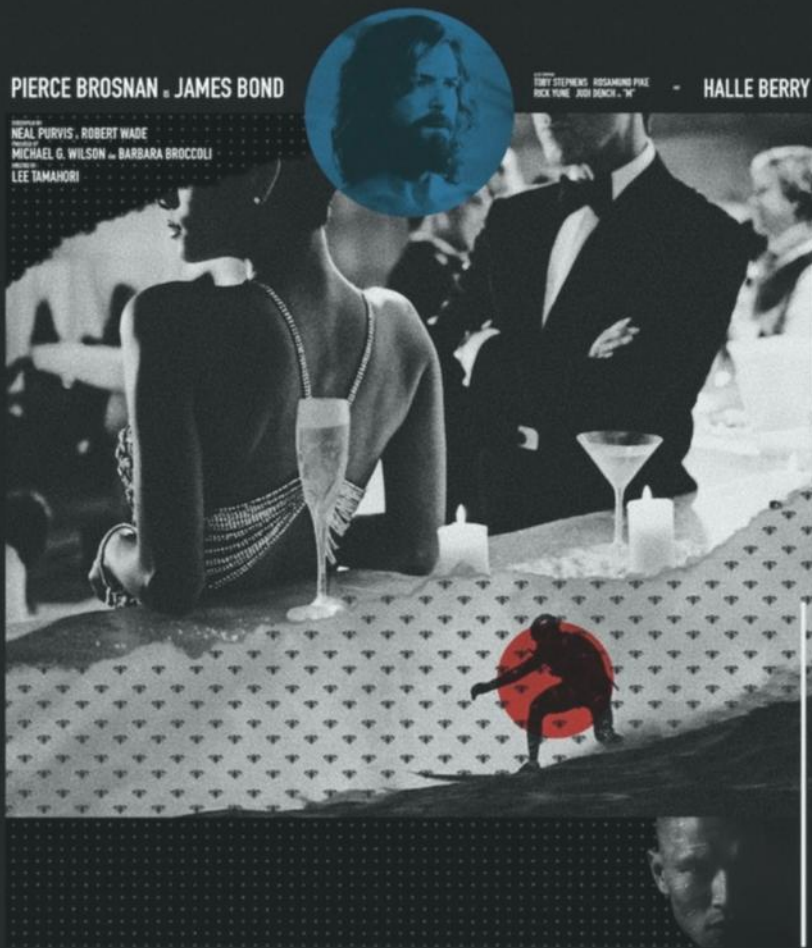
DIE ANOTHER DAY

PIERCE BROSNAN » JAMES BOND

Produced by
NEAL PURVIS, ROBERT WADE
Directed by
MICHAEL G. WILSON & BARBARA BROCCOLI
Screenplay by
LEE TAMAHORI

Costume Designer
TERRY STEPHENS, ROSEMARIE PIKE
Music by
RICK FINE, JEFF BANCHE, "M"

» HALLE BERRY



20. (DAD) „Haszło” (Polish language version only¹)

Życie potrafi czasem zaskoczyć. Właśnie wtedy, czy jesteś Agentem jak Bond, James Bond czy zwykłym Operatorem Obrabiarki, to refleks, zimna krew, i opanowanie są najważniejsze!

Pewnie nikt nie wie, no bo skąd(?), ale od jakiegoś czasu pojawiają się na drodze krajowej mapie infrastruktury drogowej, miejsca typu P&R [Parkuj i J(R)edź].

Są — jak na jesień grzyby po deszczu i zaraz po pełni, w opcji przedpołudniowej, czyli po przejściu tyraliery entuzjastów pierwiastków ciężkich i lekkich +92% wody, odrobina ołowiu, szczypta kadmu, rtęć i arsen w ilościach wyczuwalnych oraz ulubiony radioaktywny izotop cezu — znajdziesz je, ale trzeba się naszukać, i wiedzieć gdzie.

Lecz kiedy już znajdziesz, możesz tam zaparkować swój pojazd, przesiąść się na komunikację typu — zbiorowa, i masz luz.

Możesz też spotkać się tu z Kontaktem, Łącznikiem, podwójnym agentem czy innym Źródłem. No idealne miejsce na tajne spotkanie.

Mało kto na P&R zagląda, widoczność z braku pojazdów wszechstronna, i zlokalizowane to gdzieś na rubieżach.

Spokojnie można przykillować wroga, przepakować karabin, nic się nie stanie gdy wiązka grantów ci wypadnie z kieszeni, możesz w zadumie i w ramach relaksu naostrzyć garotę lub sporzyć cyjanek.

¹ At my level of English proficiency, this story is untranslatable into English in a way that would make it understandable, but due to the graphics, it remains.

Jeszcze nie wiedziałem tego wszystkiego, kiedy jak gdyby nigdy nic znalazłem takie P&R, zaparkowałem sobie, poszedłem na przystanek KOMZBIORU i czekam, gdy nagle podbiega rozwiany dość gość i zdyszany głosem, lekko chyba sepleniąc lub — wnioskuje z wymowy — może Węgier — pyta się mnie:

— Haszłó!?

Czas start. Teraz właśnie wchodzisz w mętny, pokręcony, niebezpieczny ale ekscytujący świat Agentów (- Specjalnych? - Nie, Kurwa, Oriflame!). Agencji, Tajniaków i Dokumentów tak tajnych, że musisz je spalić przed przeczytaniem.

— Yhm — myślę — sam o tym nie wiem, ale pewnie wyglądam jak Ktoś, jakiś Łącznik, Agent, może nawet jak Bond!

Pewnie dostał enigmatyczne, w tajnej notatce, wskazania, ogólny opis kontaktu i... O cholera! Ja wpasowuję się w ten opis. A może on mnie werbuje? Tak, nie ma przypadków na świecie!

Ciary, ciary na plecach(!), a więc to się tak odbywa...

Logiczne, no jasne. Wyobrażam sobie, że prawdziwi Agenci NieOriflame właśnie tak muszą wyglądać, jak ON.

Nijaki taki, z twarzy podobny zupełnie do nikogo! Jak i ja.

Nie rzucają się w oczy, gdyż używając szarych komórek pozostają w cieniu. Oni walczą umysłami, prowadzą zakulisowo rozgrywki tak zawile, że starsze komputery o słabszych obwodach logicznych padają przegrzane ze stopionymi kośćmi RAM przy próbach ogarnięcia tych Spy Games!

Drzę — Czas i Refleks — Zimność i Opanowość!

Błyskawicznie wcielam się w rolę, wchodzę w tę grę jak stary wyga, jak wyjadacz.

„Old Dog, New Tricks”. Let’s Play!

— Żyrafy Wchodzą do Szafy! — Próbuję z hasłem, pierwszym które w tym ułamku sekundy przyszło mi do głowy, bo przecież żadnego nie znam.

— Słucham? — Ciągłe zdyszany, ale teraz i zdziwiony, odpowiada zaczepiający mnie Tajny Agent

— Hasło! Podaję Hasło: Żyrafy Wchodzą do Szafy! — Pona-
wiam próbę, trzymam twarz, jestem pewniak, nie dam się
zwieść w tej minucie próby, chwili prawdy, teście na Tajność.

— Co?!? A... Nie, nie. Ja się pytałem czy „H” już szło...
Znaczy czy odjechał... Autobus taki.

*Brityjski film szpiegowski
na podstawie powieści Iana Fleminga*

CASINO ROYALE

Reżyseria: Martin Campbell



W rolach głównych
DANIEL CRAIG, Eva Green,
Mads Mikkelsen, Judi Dench

Produkcja EON Productions

21. (CR) Dry Martini

„ — Martini! he snarled through his teeth, clearly not in a bubbly mood at the moment.

— Shaken or stirred? asked the bartender, slipping professionally into his role.

— I don't give a damn! Bond replied, surprising no one but himself.”

Yes, yes, this is the very dialogue that Przemek from jamesbond.com.pl referred to when, on World Martini Day, he mentioned those who do care and encouraged us to celebrate the holiday appropriately.

Alright, let's go celebrate: Pour (not into yourself, okay, later you can mix it inside yourself, but for now, pour into the glass!) — three parts gin, — one part vodka, — and half a part of Lillet liqueur, or a full part... okay, why skimp, pour two parts of Dry Martini.

Shake with ice, don't stir (ultimately, depending on the situation, stir and don't give a damn), garnish with a lemon peel twist. Drink it, and order another. You drink one without occasion, if there's an occasion, drink two, and since we're celebrating...

The above recipe is the secret formula (burn before reading!) for the Vesper cocktail. — Why Vesper? — Because once you try it, you won't want to drink anything else! — said Bond, J. Bond in Casino Royale.

The same could be said about Porsche, especially the 911. It's not just about the beautifully sculpted metal, the ultra-modern technology hidden beneath a gorgeous color, or the dream-like interior, but mainly — as with a drink where it's mostly about the taste — the driving experience. The acceleration, the precision of cornering, the excellent braking system (because it's not who starts fast that wins, but who brakes la-

te), the tuning, the suspension, and the purring engine — the 911 — it's a magnificent, decades-perfected instrument for driving, and...

...Once you've driven one, you won't want to drive anything else. Unfortunately, I will have to. I don't have enough internal organs to sell to afford such a car, but even without a kidney, an eye, and a hand — the pleasure of driving would be irreplaceable!

And what could be better than a Porsche? Very Porsche: better than a Porsche is a Porsche on a dual-carriageway, three-lane road with no speed limit. Yes, yes, such roads still exist in Europe, but only in Germany (and on the Isle of Man).

You can say many things about those Germans, but one thing is certain — they know how to harmonize a car with a road. Between Stuttgart and Nuremberg, they created a playground for adults for a few billion Deutsche Marks. A speed-limitless road, wide as an airport, with gentle curves stretching to the horizon, banked corners, everywhere seamless exits to some magical *Ausfahrt*, gentle rises and, if you've got the power, maximum thrills. And I had the power!

The BMW I was driving on this marvelous road was, at that moment, just like me — in full happiness. In the city, such a Beemer, with its hundreds of horsepower under the hood, torque of a truck, and suspension stiffness tuned by sadistic dentists, slinks around miserably, howling in pain like being drilled without anesthesia, trapped at traffic lights, yanking on the leash of intersections, looking forlornly at pedestrian crossings. But take it out of the city, unleash it on the autobahn! Instantly, like a sailor struck by a precise curse, it gains sharpness of gaze, swiftness of movements, flexibility in its joints, and its chest puffs out.

And off we go. Yes, in that large-hearted engine with extras, lies the spirit of *GranTurismo* or another M-power. At that moment, freed from urban barriers, it reveals its true greyhound nature.

Well, at 250 km/h it has its reins pulled back, the electronics with its small, silicon mind doesn't joke around, negotiate, or feel any mercy for pleas or threats, but, if it weren't for that... it would go faster. Those meager 250 are good enough, it's rare to drive at such speed unless you have thousands — of złoty and points — to distribute, and, like a cat — 9 lives.

We drove, or maybe we were already flying(?) and both of us (trombones and trumpets) were happy. Full of elation, perhaps already elevated, flying just above the ground at 250, we are the masters of this road, we are unbeatable, we are the best!

I must mention quickly that I don't like when someone flashes lights at me from behind. There are, however, exceptions, I know them, and I understand. When I'm on a road without speed limits, and something fast as lightning approaches me at a speed seemingly calculated in parsecs, it's good that it gives me polite light signals: long, long, short, long, long, short! Care-ful I'm Co-ming! I get that, on these roads, in such places, with such machines... it's no longer our homely move over because I'M coming. Now, it's a vital safety information serving concrete BHP purposes.

Bloody hell, but... if I'm going 200, how fast is That which, from 5 km away, flashes its lights and approaches me alarmingly fast? I'll ponder this later, now, quickly changing lanes, I move right, so that... that something buzzes past safely. And with a roar of the engine, a Porsche 911 zooms by. Beautiful, like green green, probably in an extra-cost color akin to a studio apartment — Grün des Alpenwaldes an einem frostigen Wintermorgen, and it looks like a missile. A new-generation missile, moving down the autobahn at hypersonic speed, and anyone standing in its way is flashed with headlight rays before it zips past.

And there is a playground for it, wide enough for three lanes. There's room for maneuvers and watching, for a split second, the grace with which this missile flies, and how sound chases it. A lot of reflections for such a short time and all

of what is written here hadn't yet been thought out, and the Porsche already disappeared over the horizon of events.

I wonder who's driving it? And I tap my gray head! Oh, it's clear! It must be a test driver, after all, Stuttgart with the Porsche factory is nearby. I calmed down a bit, filling the gaps punched by the 911 in my and BMW's ego with this deduction, and, relishing the meager two hundred per hour, I drive on, to soon gain new knowledge on speed, technique, and economy. It turns out such speeds suck up fuel faster than a Spanish Mastiff herds bison (and a Mastiff does it lightning fast!). A gas station appeared out of nowhere, exactly when I needed it, that is, soon.

I pulled in and precisely positioned myself at the pump, and next to it, already refueled, stands that beautiful, green Porsche in the color *Grün des Alpenwaldes an einem frostigen Wintermorgen*. I'm refueling, observing, and wondering: Who is the driver, who drives such a car? Someone from Formula 1? Maybe from LeMans? Or perhaps someone from Nascar I don't know at all? Or maybe it's Sally Carrera from Cars, just incognito in green?

And as I ponder, out of the station building comes, all in black, a black-haired brunette. Automatically, like any heterosexual sapien, I pull in my stomach, run my fingers through my thinning hair because she's heading in my direction, and I mentally greet her, shaken like a Minion from *Despicable Me* to a fire hydrant: — Hello Buena Vista, my name's Otto, and yours? — well... in my thoughts, of course! — My name's Eva! — She responds... also probably in thoughts, because without noticing me at all, she gets into her 911, floors it, and calmly drives off in her green Porsche... that beautiful Eva.

21. (CR) Martini Wytrawny¹

„- Martini! — zazgrzytał przez zęby, chwilowo nie był w szampańskim nastroju...

— Wstrząśnięte czy mieszane? — dopytał barman profesjonalnie wchodząc w rolę.

— Mam to w dupie! — odrzekł Bond, czym nie zdziwił chyba tylko siebie”.

Tak, tak, ja wiem, to o powyższy dialog chodziło Przemkowi z jamesbond.com.pl kiedy w światowym dniu Martini wspomniał o tych co „nie mają w dupie” i zachęcał do odpowiedniego uczczenia tego święta.

Ok, let's go celebrate: Wlać (nie w siebie, ok, później można już mieszać w sobie, ale na razie wlać do szkła!) — trzy części ginu, — jedną część wódki, — i pół części likieru lillet, lub całą część... dobra, co się będziemy rozdrabniać, lej pan dwie części tego całego Martini Wytrawnego.

Wstrząsając z lodem, nie mieszać (ostatecznie, zależnie od sytuacji — mieszać i „mieć to w dupie”), udekorować spiralką z cytrynowej skórki.

Wypić, i zamówić kolejny.

Jednego się pije bez okazji, jak jest okazja to dwa, no a skoro mamy święto...

Powyższy przepis to tajemna receptura (spalić przed przeczytaniem!) na drink „Vesper”.

— Dlaczego „Vesper”?

— Bo kto raz spróbuje, nie będzie chciał pić nic innego! — powiedział Bond, J. Bond w „Cassino Royale”.

To samo można by powiedzieć o Porsche, a szczególnie o 911. Nawet nie chodzi o samą pięknie powyginaną blachę pokrytą cud kolorem i skrywającą ultranowoczesną technologię i bajkowe wnętrze, lecz głównie — jak w drinku w którym przeważnie chodzi o smak — o jazdę.

O te przyspieszenia, precyzję wejść w zakręty, doskonały układ hamulcowy (bo nie wygrywa ten co szybko startuje tylko ten co późno hamuje), strojenie, zawieszenie i silnika mruczenie — 911 — to jest

¹ <https://szosami.com/2024/12/02/martini-wytrawny-2/>

wspaniały, doskonalony przez dziesięciolecia, instrument do jazdy a...

...Kto raz jeździł, nie będzie chciał jeździć niczym innym.

Szkoda tylko, że będę musiał. Nie mam tyle narzędzi wewnętrznych do sprzedania, żeby Mi starczyło na takie auto, ale nawet bez nerki, oka oraz ręki — przyjemność z jazdy byłaby nie do podrobienia!

A co może być jeszcze lepsze od Porsche?

Bardzo Porsche: lepsze od Porsche jest Porsche na dwujezdniowej, trzypasmowej drodze bez ograniczenia prędkości. Tak, tak, są jeszcze takie drogi w Europie, ale zostały już tylko w Niemczech (i na wyspie Man).

Wiele można mówić o tych całych „Niemcy”, ale jedno jest pewne — samochód z drogą to potrafią zestroić.

Między Stuttgartem a Norymbergą zrobili sobie za parę miliardów marek niemieckich plac zabaw dla dorosłych. Droga bez ograniczeń prędkości, szeroka jak lotnisko, a po horyzont ciągną się łagodne łuki, profilowane zakręty, wszędzie bezkolizyjne zjazdy do jakiegoś magicznego „Ausfahrtu”, lekkie wzniesienia i, jeśli masz w czym, maksymalne uniesienia. A ja miałem!

BMW, którym się poruszałem po tej wspianej szosie, było wtedy, jak i ja — w pełni szczęścia. Po mieście taka bemka, ze swoimi setkami koni pod maską, niutonometrami tira i twardością zawieszenia strojoną przez dentystów sadystów, snuje się smętnie, wyje z bólu jak na borowaniu bez znieczulenia uwięziona na smyczy skrzyżowań, szarpie za obrotową sygnalizację świetlnych, patrzy umęczonym wzrokiem na przejściach dla pieszych. Ale wyjeżdż nią z miasta, wypuść się na autostradę! Natychmiast jak ten marynarz trafiony celną „kurwą” — nabiera bystrości spojrzenia, chyżości ruchów, sprężystości w stawach a klata się wypina.

I w długą. Tak, w tym sercu o wielolitrowej pojemności z dodatkami, ukryty jest duch GranTurismo czy innego M-powera. Wtedy właśnie, uwolniona od urbanistycznych barier, pokazuje swą prawdziwą charakter naturę.

Cóż, przy 250 km na godzinę ma ściągane cugle, elektronika z tym swoim małym, krzemowym rozumkiem nie zna się na żartach, negocjacjach i nieczuła jest na prośby czy groźby, ale, gdyby nie to... poszłoby się więcej.

Dobre i te marne 250, nieczęsto można pojechać z taką prędkością jeśli się nie ma tysięcy — zł i punktów — do rozdysponowania, oraz, jak kot — 9 „rzyci”.

Jechaliśmy, a może już lecieliśmy(?) i oboje (puzony i trąbki) szczęśliwi. Pełni uniesień, i już chyba uniesieni, lecimy tuż nad ziemią 250, jesteśmy panami tej drogi, jesteśmy niewyprzedalni, jesteśmy najlepsi!

Tu wtrącę, ale na szybko, że nie lubię jak się Mi, Szosa Mi błyska z tyłu światłami. Są jednak wyjątki, znam je, i rozumiem.

Kiedy jestem na drodze bez ograniczeń prędkości, i coś szybkiego jak błyskawica błyskawicznie zbliża się do mnie z prędkością liczoną już chyba w parsekach, to wtedy dobrze, że daje Mi_ grzecznie sygnały świetne: długi, długi, krótki, długi, długi, krótki! „U Wa Żaj Ja Dę” To ja rozumiem, na takich drogach, w takich miejscach, takimi sprzętami... to już nie jest nasze swojskie „z drogi śledzie bo JA jedzie”. Teraz, to jest istotna informacja służąca konkretnym celom BHP.

Choinka sosnowa, ale... jeśli ja jadę 200, to ile jedzie To co właśnie, z 5 km, błyska mi światłami i zbliża się niepokojąco szybko? Podumam nad tym później, teraz, czym prędzej zwalniam pas, i zjeżdżam na prawą, by obok... to coś bziuuut... przemknęło sobie bezpiecznie. I z rykiem silnika obok Porsche 911 przemyka.

Piękne, jak green zielone, pewnie w kolorze za dopłatą w cenie kawalerki — Grün des Alpenwaldes an einem frostigen Wintermorgen, i wygląda jak pocisk.

Nowej generacji to pocisk, bo przemieszcza się po autostradzie z prędkością hipersoniczną i każdego kto mu stanie na drodze, przed przejechaniem ostrzeliwuje promieniami reflektorów.

A jest tu pole do popisu, szerokie na trzy pasy jest to pole. Jest gdzie robić uniki i patrzeć, przez ułamek sekundy, z jaką gracją ten pocisk przelatuje, i jak go goni dźwięk.

Dużo refleksji jak na czas ten krótki i jeszcze tego wszystkiego, co tu napisano nie wymyśliłem, a Porsche już zniknęło za horyzontem tych zdarzeń.

Ciekawe kto tym jedzie? I stukam się w ten siwy łep! Oj, to jasne! Kierowca jakiś testowy musi to być, przecież niedaleko Stuttgart z fabryką Pocisków typu Porsche.

Uspokoiłem się ciut, zakleiwszy tą dedukcją dziury wybite przez 911 w moim i bmw ego, i delektując się marnymi dwustoma na godzinę, jadę dalej, by po chwili pozyskać nową wiedzę w temacie prędkości, techniki i ekonomii. Okazuje się, że takie prędkości wciągają paliwo szybciej niż Mastif Hiszpański stada bizónów (a Mastif robi to błyskawicznie!). Stacja paliw pojawiła się

znikąd, dokładnie wtedy, kiedy jej potrzebowałem, czyli już po chwili.

Zjechałem i precyzyjnie podstawilem się pod „instrybutor”, a obok, już zatankowane, stoi to piękne, zielone Porsche w kolorze „Grün des Alpenwaldes an einem frostigen Wintermorgen”.

No tak, ma to sens! Żeby mieć takie osiągi, taki pojazd trzeba mocno odchudzić. Lekki być musi jak koliberek, zamiast klamek pewnie tasienki z aksamitu, za fotele robi tylko karbonowy stelaż obciążnięty nanotkaniną o ujemnej wadze, kubki od kawy bez kawy — za ciężka — trzyma się między nogami, a za zbiornik paliwa robi naparstek. Tankuję, się przypatruję i kombinuję: Kim jest kierowca, kto też tak jeździ takim autem?

Ktoś z Formuły 1? a może z LeMansa? Albo z Nascar ktoś mi doskonale nieznany? A może to Sally Carrera z „Cars”ów tylko w zielonym incognicie?

I kiedy tak sobie dumam z budynku stacji wychodzi cała na czarno, cała czarna, brunetka. Automatycznie jak każdy hetero sapiens wciągam brzuch, przeczesuję rzednące włosy gdyż ona idzie w moim kierunku, i zagaduję ją wstrząśnięty jak Minionek w Minionkach do ulicznego hydrantu:

— Hello! Buena Vista, ich heiße Otto und du? — no... w myślach ją tak zagaduję, przecież!

— Ich heiße Eva! — Odpowiada ona... też zapewne w myślach, gdyż zupełnie mnie nie zauważając, wsiada do tego swojego 911, „wrzuca cegłę na gaz” i niez mieszana odjeżdża w swym Porsche koloru Green... ta piękna Eva.



DANIEL CRAIG, JAMES BOND

REAL PORNOGRAPHY. ROBERT MAYER. PAUL HARRIS
MICHAEL E. HILTON. BARBARA BROCKWELL
MAYE HARRIS

OLGA KURYLENKO

22. (QOS) Saturday Audi Fight

The opening sequence of *Quantum of Solace* is a high-octane car chase along the winding roads around Lake Garda, Italy, picking up right where *Casino Royale* left off. James Bond, behind the wheel of his Aston Martin DBS V12, is transporting a captured Mr. White in the trunk.

At first, it's eerily quiet — maybe some background music, but nothing unusual. Everyone knows you see better when you turn the radio down. We glide over the water, the scene shifts to a close-up of Bond's eye, and then... boom! Engines roar, bullets fly. The chase is brutal — metal colliding, barriers shattering, slick evasive maneuvers, and a symphony of automatic gunfire.

Marc Forster went all in on speed and chaos, nailing the intensity while also reminding me of another merciless chase. One that happened when...

No way. My eyes betray me. My ears refuse to confirm.

"You sneaky German! That was a bold move! Oh no, I'm not letting this slide. 'I don't want to, but I have to,' as the old saying goes. You don't pull stunts like that. And a mature, level-headed man (which, of course, is me) cannot let this go unanswered!"

That's exactly (or something to that effect, in short, "holy smokes, no time to waste") what ran through my head when I saw what I had just seen.

Not the most common sight, but also not exactly rare — especially among the occasionally inept.

No time to hesitate. I jump into my 508—the Frenchie — and charge!

Yeah, yeah, I know. That's an Audi. The Olympic rings on the trunk give it away. Blue, twin exhausts at the back — like the exposed barrels of a Mossberg shotgun or an MG42 machi-

ne gun. Not just for show, this thing means business. The blood-red “S” on the trunk lid glares at me, as if soaked in the lifeblood of vanquished foes.

Catching this beast with my... let’s agree it’s a decent workhorse? Yeah, a hauler, sure. A chaser? Not so much.

But I’ve got this. I have to.

I can’t let this go. Not now!

Okay, fine. Maybe he’s got 20-inch forged alloys, Alcantara leather on Recaro seats, and — what? —800 horsepower? But I have... I have!

Hmm. What do I have, exactly?

Oh! Thirty years of experience!

And I have an “S” too. Inside the cabin.

I hit the gas. A true professional can do everything with anything, while an amateur, given everything, will do nothing.

Enough dramatic nonsense. Time to deal with the problem. He’s making a run for it.

He probably thinks that since I’m in a French car, I’ll just surrender like it’s WWII?

Hands up? Hände hoch?

Not a chance! French car or not, there’s a Pole behind the wheel!

Ever heard of Squadron 303?

Then again, he probably isn’t thinking about me at all.

To him, a Peugeot 508 is practically invisible.

Street battle: engaged. Air freshener swinging... Where the hell did he go?!

Damn, he bolted like a boar into acorns. Almost got him. Almost.

Hey! Boar! Hold up.

One intersection, another one gone, a turn, a slight slow-down over tram tracks... Clunk-clunk! Metal on rails. His low-profile tires on those massive forged wheels must’ve rattled his fillings loose. I smirked at the thought of dental bills.

Serves you right! Meanwhile, I’m fine.

Traffic is insane. Must be one of those Saturdays when everyone panics about a potential war and decides to stock up for two weeks.

Works in my favor, though. By the Whispering Woods, let traffic be my ally! With his engine power, my “S” button in this automatic is good for... wiping down dust. Spilled coffee. And resale value. The only thing I can do is stick to his tail.

Eeeeeeeek! Sudden braking!

A taxi driver cut in without signaling — of course (though surprisingly, not in a BMW). But hey, everyone knows he turns here. He’s been doing it for ten years.

Back to two lanes, back in the game, foot down... and nothing. Right. That’s a single pipe. A pipe-let. A pipette.

Where’s that Audi?

Oh, there he is! Way off in the event horizon. Took off like butter on sale day. Damn, the Germans make good cars.

And yet, they push for electric ones. Why?!

Still, rocketing at 100 km/h through the city?

Dude, your enthusiasm’s getting out of hand.

Right. He’s not afraid of court — hell, not even of the final court — let alone a regular one.

“I’m revoking your license again. Safe travels.”

But wait! After a few strategically executed, brilliant road maneuvers, suddenly... he knows that I know that he knows!

So now what?

I must catch him.

Poles — proud and stubborn — charged at tanks with sabers! I won’t surrender.

Damn it! Another set of lights, and every single one is green. But when I was rushing my wife to the maternity ward? Red at every intersection!

Green wave for him means he can floor it. And so he does. Meaning I have to catch up.

Then suddenly... BAM!

Now that he knows that I know that he knows, I think he's starting to get... slightly pissed off(?). He realizes I'm really after him.

Time for his next move.

And let's be real — he didn't take out a massive loan just to drive casually in that top-tier machine. That's a Dominator-of-Losers, Alpha-Male Magnet, Virgin-Slayer 9000! And yet here he is, being chased by... a station wagon on 17-inch rims.

Or maybe... he's running low on gas? Tiny tank, guzzling like a lunatic?

My friend, I have 70 liters in mine.

But I don't know anything for sure. Even with the radio on (which, as we established, makes me see worse), all I see is — tires screeching, a sharp turn... into a hypermarket parking lot.

I actually laughed.

Dude. Do you know who you're dealing with?

I see three moves ahead and two to the side.

He screeches to a halt, parks — of course, across two spaces — and gets out.

I drift in after him, a perfect slide, stop right beside him. He's puffed up like an Easter chick that knows what's coming. He stomps toward me.

Arms spread wide, like he carries flat-screen TVs for a living. Ready for full-on confrontation.

There was a battle of machines, nations, and cultures. Now comes the war of words, and then — if needed — a fistfight.

I know this type.

I step out — gracefully and swiftly, as befits a...

Well, I get out as best as I can. It's not a coupe, but it's not an SUV either.

And I toss him something.

— "Catch!"

It's his wallet.

— "Take a look. That's what you live on. Don't leave your wallet on the roof of your car, my friend, or someone slower

than me might come along. And they won't feel like chasing you through the city..."

And let me tell you — nothing beats the sight of a dropped jaw as a reward.

22. (QOS) Audi Sobotni Fight¹

Początkowa sekwencja **Quantum of Solace** to dynamiczny pościg samochodowy po krętych drogach wokół jeziora Garda we Włoszech i przenosi nas bezpośrednio z **Casino Royale**, w nową przygodę, gdzie James Bond przewozi pojmanego pana White'a w bagażniku swojego Astona Martina DBS V12.

Początkowo jest cicho, chyba tylko gdzieś w tle snuje się muzyka, ale to normalne — każdy przyzna, że lepiej widzi gdy ściszy radio. Lecimy nad wodą, scena przechodzi od zbliżenia na oko Bonda, a potem... od razu ogień! Silniki ryczą, pociski świszczą. Pościg jest brutalny, zderzenia blachy, pękające bariery, efektowne wymijanki i mnóstwo strzałów z automatów.

Marc Forster postawił na tempo i chaos, i osiągnął swój cel a przy okazji przypomniiał mi inny, równie bezlitosny pościg, kiedy...

No nie, oczom nie wierzę, uszom nie słyszę!

„Osz ty, „Niemcu”! Aleś odwalił numer! No, po tym to ja cię tak nie zostawię. „Nie chcem, ale muszem.” — jak powiedział klasyk. Takich numerów się nie robi, a człowiek dojrzały (czyli ja?) nie pozostawi tego bez odpowiedzi!”

To wszystko właśnie (albo podobnie, w skrócie „kruca bomba, casu mało”) pomyślałem, kiedy zobaczyłem ten obrazek co go właśnie zobaczyłem.

Może i nieczęsty to widok, ale i niesporadyczny, szczególnie u tych czasami niezbornych.

Nie ma chwili na zwłoki. Wskakuję do 508 „Francuza” i atak!

Ta, no wiem, tamto jest Audi, widać po olimpiadzie na kłapie. Niebieski, dwie dwururki z tyłu... jak odsłonięte lufy karabinów maszy-

¹ <https://szosami.com/2024/11/14/audi-sobotni-fight/>

nowych mossberga czy inny maschinengewehr 42. To nie atrapy, tu żartów nie ma. Z kłapy łypie krwiste, jak umaczane w posoce pokonanych wrogów „S”.

Będzie ciężko dopaść takiego, moim, umówmy się że dobrym, roboczym koniem. Pociągowy tak, ale pościgowy... to on nie jest.

Dam radę. Muszę!

Nie mogę mu odpuścić, nie w tej sytuacji!

Oj dobra, może ma te 20-calowe kute alufelgi, skóry alcantara na Recaro fotelach i z 800 koni... ale ja mam... ja mam!

Hmm, no właśnie, to co ja mam?

O! 30-letnie doświadczenie mam!

I też mam „S”. W kabinie.

Ruszam. Profesjonalista byle czym robi wszystko, amator wszystkim byle nic!

Dość już tych patetycznych bzdurów... czas się zmierzyć z problemem, dość żwawo ucieka.

Sobie tam pewnie myśli, że jak „Francuz”, to tak jak podczas drugiej światowej?

Że podniesie się ręce w górę i hande hoch?

Nic z tego! Może i Francuz, ale za sterami Polak!

Dywizjon 303 mówi ci coś?

Chociaż pewnie nie myśli sobie nic, a na pewno nie o mnie.

508 francuskie są dla nich niewidoczne.

Gry uliczne naczęte. Choina zapachowa... Gdzie on znikł?!

Ależ poszedł... jak dzik w żołądziej. Już, już, już go gonię.

Ej no, dziki, czekajże.

Jedno skrzyżowanie, drugie poszło, zakręt, lekkie zwolnionko na torowisku... Jeb, jeb, po szynach. Na pewno plomby mu poszły w tych niskoprofilowych gumach na potężnych, wielocalowych, kutfelach. Uśmiechnąłem się na myśl o stomatologicznych cenach.

Masz za swoje! A mnie nic.

Ruch na ulicy jak cholera. Pewnie w poniedziałek będzie wolne, bo ci dzielni niedzielni kierowcy wylegli zrobić zakupy w sobotę i na dwa tygodnie futurują. Bo może będzie wojna.

To i dobrze. O Szumiący Borze tylko duży ruch mi tutaj pomoże, bo przy tych jego koniach pod maską moje „S” przy automacie nadaje się tylko do przecierania szmatką. Jak się kawą zaleje i przy odsprzedaży. Jedyne, co ja mu mogę teraz, to siedzieć na ogonie.

Wziiiii.... hamowanie awaryjne!

Taksówkarz się wrypał bez kierunkowskazu — oczywiście (choć nie w BMW)! Ale przecież wszyscy wiedzą, że on tu skręca, od dziecięciu lat tak robi.

Znowu dwa pasy, wracam do gry i rura... i nic. No tak, to jedna rura... rurka, rureczka raczej.

No gdzież to Audi?

A tam jest! Gdzieś hen na horyzoncie zdarzeń. Wyrwał jak po masło w promocji, cholera, dobre auta robią te Niemce!

I po co wam te elektryki!

Ale ogień z tyłka, 100 km/h w mieście?

Gościu, nie ponosi cię fantazja?

No tak, sądu się taki nie boi, nawet ostatecznego, a co dopiero klasycznego.

„Po raz kolejny obieram panu prawo jazdy. Szerokiej drogi.”

Nagle, kiedy odległość znów, po kilku strategicznie przeprowadzonych genialnych chwytach drogowych, nagle... już wiem, że on wie, że ja wiem!

No ale cóż robić?

Muszę go dopaść.

Polacy, naród dumny i uparty, z szablami na czołgi szli! Nie poddam się.

Jasna cholera! Kolejne światła i cały czas zielona fala. A jak trzeba, to jej nie ma...

Jak jechałem kiedyś na porodówkę — czerwone na każdym skrzyżowaniu!

Ciągle pechowo zielone i można gnać. To i gnamy. Znaczy on gna, a ja podganiem. I nagle... ciach!

Skoro już wie, że ja wiem, że on wie to chyba się teraz letko wkurwił(?), że tak go gonię, i czas na jego ruch.

A on przecież za ciężko zarobione kredyty sprzęt z górnej półki nabył. Przerazacza-Leszczów, Macho-Stado-Przywódcę, Wyrывacza-Dziewic-Zubrań — on ma — u tu jakieś kombi na 17-kach.

Albo może paliwa mu już brak, bo ma mały ma bak, a zużywa tego może morze od szaleńczego pościgu?

Mój rodaku ja mam 70 w baku.

Nie wiem nic, i choć radio włączone (a wtedy widzi się gorzej) to widzę tylko nagły opon pisk i niespodziewany skręt na parking pod hipermarket.

Rozśmieszył mnie tym.

Gościu? Wiesz, z kim tańczysz?

Przewiduję twoje ruchy trzy kroki w przód i dwa w bok!
Hamuje w miejscu ale z poślizgiem, staje, parkuje — standardowo
dwa miejsca w poprzek zajmuje, wysiada.
Wpadam za nim, zgrabnym poślizgiem, zatrzymuję się tuż, a on —
nastroszony jak kurczak w Wielkanoc, który wie, co się świeci —
idzie do mnie.
Rozstaw ramion jakby zawodowo telewizory pod pachami nosił. Go-
towy do pełnej konfrontacji!
Była bitwa sprzętów, krajów i kultur, zaraz będzie przepychanka
słowna, a potem konfrontacja ręczno-siłowa.
Ja znam takie typy!
Wyskakuję zręcznie i gibko, jak przystało na...
No, wysiadam jak mogę z auta (to może nie coupé ale też i nie SUV)
i rzucam do niego:
— Łap!
I rzucam mu portfel.
— I patrz, z czego żyjesz. Nie zostawiaj portfela na dachu auta swe-
go, mój kolego, bo ktoś może być wolniejszy niż ja i nie mieć chę-
ci się szaleńczo ganiać po mieście...
A widok opadniętej szczęki zawsze jest najlepszą nagrodą.

SKYFALL

Brytyjski film szpiegowski
o agencji 007 Iana Fleminga
z niesamowitymi efektami
Rogeria Penkasa

W rolach głównych:
DANIEL CRAIG, Javier Bardem,
Judi Dench, Ralph Fiennes

Reżyseria: Sam Mendes
Produkcja: EON Productions



23. (SF) Bloody Big Ship

In Room 31 on the first floor of the National Gallery in London hangs a painting by Joseph Mallord William Turner: „The Fighting Temeraire Tugged to Her Last Berth to Be Broken Up.” This oil on canvas from 1838, commonly known as The Fighting Temeraire, consistently draws public interest, not just because it is one of the most significant achievements in maritime art, but also because it portrays immortal glory and the inevitable passage of time, or simply, transience...

Why do I mention it? For two reasons.

The first reason is that J.M.W. Turner died on this day (December 19, when I wrote this), albeit in 1851. He was one of the more beloved English Romantic artists, also known as the „painter of light” due to his brilliant use of colors as the primary component of his landscapes and seascapes.

„The Fighting Temeraire” shows the final journey of the Temeraire, as the ship is being tugged from Sheerness in Kent, up the Thames to Rotherhithe in southeast London, where it was to be scrapped. This war veteran played a distinguished role in the Battle of Trafalgar in 1805, but by 1838 it was over 40 years old and had been sold by the Admiralty for scrap.

It is unlikely that Turner witnessed the towing of the ship. Most likely, he recreated the scene using contemporary materials and descriptions. To preserve the dignity of the ship in its final moments, the artist also allowed himself some artistic freedom, emphasizing the symbolic aspects of the painting. Some details in Turner’s painting did not correspond to reality. In fact, the ship was mastless, it was being towed by two tugs, and there was no simultaneous sunset and moonrise...

Depicted against the backdrop of a blazing sunset, the final journey of the Temeraire gains greater symbolic significance: the age of sail giving way to the age of steam, everything passes.

And the second reason is the dialogue between Bond and Q when they meet for the first time:

„It always makes me a little melancholy... the famous ship being towed away for scrap... the inevitable passing of time... And what do you see?” asks the young man, pointing to the painting.

„A bloody big ship,” the older man replies.

There's also something about acne, Earl Grey, and the end of the era of exploding pens. A brilliant, funny, yet ingenious and symbolic dialogue from *Skyfall*.

23. (SF) Bloody Big Ship¹

W sali nr 31 na pierwszym piętrze National Gallery w Londynie wisi obraz Josepha Mallorda Williama Turnera: „Liniowiec wojenny Temeraire holowany na ostatnie cumowisko, do rozebrania”. Ten olej na płótnie z 1838 roku, zwany obiegowo Ostatni rejs Temeraire’a, niezmiennie cieszy się zainteresowaniem publiczności, nie tylko dlatego, że jest jednym z najważniejszych dokonań sztuki marynistycznej. Jest to także obraz o nieśmiertelnej chwale i nieuchronnej kolei rzeczy, czyli przemijaniu...

Dlaczego o nim wspominam?

Z dwóch powodów.

Pierwszy z nich to taki, że J.M.W Turner zmarł tego dnia (19.12 kiedy to TO pisałem) tylko w 1851 roku. Był jednym z bardziej lubianych angielskich artystów romantycznych, znanym też jako „malarz światła” dzięki błyskotliwemu użyciu kolorów jako głównego składnika swych krajobrazów i morskich pejzaży.

„The Fighting Temeraire” pokazuje ostatnią podróż Temeraire, kiedy statek jest holowany z Sheerness w Kent, Tamizą do Rotherhithe w południowo-wschodnim Londynie, gdzie ma zostać zezłomowany. Ten wojenny weteran odegrał wyróżniającą się rolę w bitwie pod Trafalgar w 1805 r. ale w 1838 r. miał już ponad 40 lat i został sprzedany przez Admiralicję na złom.

¹ <https://szosami.com/2024/12/19/bloody-big-ship-sf/>

Jest mało prawdopodobne, aby Turner był świadkiem holowania statku. Najprawdopodobniej odtworzył miejsce zdarzenia wykorzystując współczesne materiały i opisy. Aby okręt zachował godność w ostatnich chwilach, malarz pozwolił sobie również na pewną dowolność, podkreślając symboliczne aspekty tego obrazu. Niektóre szczegóły na obrazie Turnera nie odpowiadały realiom. W rzeczywistości okręt pozbawiony był masztów, ciągnęły go dwa holowniki, i nie było jednoczesnego zachodu słońca i wschodu księżyca...

Zobrazowana na tle płonącego zachodu słońca ostatnia podróż Temeraire nabiera większego symbolicznego znaczenia: oto wiek żagla ustępuje miejsca epoce pary, wszystko przemija.

A drugi powód, to dialog Bonda z Q, kiedy spotykają się po raz pierwszy:

„ — Zawsze wprawia mnie w lekką melancholię... słynny okręt holowany do rozbiórki... nieunikniony upływ czasu... A co pan widzi? — pyta, wskazując na obraz, młody człowiek

— Cholernie duży statek — odpowiada starszy.”

Coś tam jest też o trądziku, Earl Grey i końcu epoki strzelających długopisów.

Błyskotliwy, zabawny a przy tym genialny i symboliczny dialog ze Skyfall.



DANIEL CRAIG IS JAMES BOND 007

SPECTRE

CASTING BY S.P. SHETKIN • COSTUME DESIGNER WALLY • EXECUTIVE PRODUCERS SCOTT • PRODUCED BY F. J. F. • PRODUCED BY HARRIS • PRODUCED BY BELLUCCI • PRODUCED BY BAUTISTA

PRODUCED BY P. W. • PRODUCED BY L. • PRODUCED BY B. • PRODUCED BY M. • PRODUCED BY B. • PRODUCED BY M. • PRODUCED BY E. P.

24. (SP) „007elements”

The holiday season is approaching. Longed-for, eagerly awaited, watched for... So, if there's a moment to spare and fuel in Poland isn't priced at 7.007 — it's worth a visit to Sölden. And there are a few more reasons to recommend it.

Besides the Rettenbach Glacier, the magnificent Austrian Alps with their perfect ski slopes, and the easy access via the free German autobahn with prices lower than in affluent Poland, there's also... Well, this is where some of the stunning mountain scenes from „Spectre” were filmed. The Höffler Clinic was actually portrayed by the modern Ice Q restaurant, which has been perched atop the Gaislachkogel peak since 2014. The place (region) is brilliant; I've had the chance to ski there as well.

However, even if you're not into skiing, no worries... Next to this (clinic-restaurant) the multimedia museum „007elements” was opened in 2018, dedicated to all the James Bond films. “I thought this place was so unique that it would be a shame for it to remain just a film location. Thus, the idea for 007elements,” said Jakob Falkner, head of the regional mountain railways and one of the initiators of this venture.

The museum, located at over 3,000 meters above sea level, consists of nine different galleries, each immersing visitors in a different mood. The rooms are either very dark and mysterious or bright and majestic.

“You'll find plenty of visual and auditory effects in all of them, as our intention is for the visit to 007elements to be more of an emotional experience than a classic museum visit,” says Callow

According to Newsweek — “Just entering the first carved rock room gives a significant jolt of adrenaline — upon opening the door, we find ourselves in a completely dark concrete

tunnel, where a film with scenes from the „Spectre” opening credits and the movie’s musical theme starts playing on the opposite wall. After such a strong start, we move on to the next area, and here’s the surprise — we step out onto a sunlit terrace with a view of the mountain peaks, almost identical to the backdrop of Doctor Swan’s conversation with James Bond.

In the following rooms filled with electronics — especially huge screens and mirrors (a nod perhaps to the famous scene from “The Man with the Golden Gun” with Roger Moore?) — we learn many interesting details about the locations where Bond films were shot or the gadgets used by Bond. These gadgets can also be seen not just on screen — one of the subsequent rooms features a gallery displaying several intriguing “film artifacts,” such as the explosive Omega watch or the titular gold gun of Francisco Scaramanga.

The fact that these items ended up at 007elements is primarily thanks to Meg Simmonds — a former American director who over 20 years ago in London created the world’s largest collection of James Bond film gadgets. She generously loaned a portion of her private collection to the Austrian museum.”

So, what do you say, shall we go?

24. (SP) „007elements”¹

Zbliża się sezon wakacyjny. Wytęskniony, wyczekiwany, wypatrywany... Dłatego, jak będzie chwila czasu, a paliwo w Polsce nie będzie po 7,007 — warto odwiedzić Solden.

Z kilku innych powodów polecam również.

Poza tym, że jest tam lodowiec Rettenbach, genialne Austriackie Alpy ze swoimi perfekcyjnymi trasami zjazdowymi, oraz łatwy dojazd darmową Niemiecką autostradą z cenami niższymi niż w bogatej

¹ <https://szosami.com/2024/12/21/007elements-sp/>

Polsce, to jeszcze... Ano właśnie tam kręcono piękne, górskie sceny z filmu „Spectre”. Za budynek kliniki Hofflera „robiła” istniejąca od 2014 roku na szczycie Gaislachkogln nowoczesna restauracja Ice Q. Miejsce (region) jest genialne, miałem okazję tam jeździć, i na nartach też.

Jednak, nawet jeśli nie jeździ się na nartach to nic... Obok niej (kliniki-restauracji) otwarto w 2018 roku multimedialne muzeum „007elements” poświęcone wszystkim filmom o agencie 007. „-Pomyślałem, iż to miejsce jest na tyle wyjątkowe, że szkoda by było, aby skończyło się tylko na filmie. Stąd pomysł na 007elements- „powiedział Jakob Falkner, szef regionalnych kolejek górskich i równocześnie jeden z pomysłodawców tej inwestycji.

Muzeum powstało na wysokości ponad 3 tys m n.p.m. i składa się z dziewięciu różnych galerii, a każda z nich wprowadza odwiedzających w inny nastrój. Pomieszczenia są bardzo ciemne i tajemnicze lub jasne, majestatyczne.

„- We wszystkich znajdziecie mnóstwo efektów wizualnych i dźwiękowych, ponieważ w naszym zamierzeniu wizyta w 007elements ma być bardziej przeżyciem emocjonalnym niż wizytą w klasycznym muzeum” — opowiada Callow.

Za Newsweek — „Samo wejście do pierwszej wykutej w skale sali powoduje spory skok napięcia — po otwarciu drzwi znajdujemy się w kompletnie ciemnym betonowym tunelu, gdy na przeciwległej ścianie uruchamia się film ze scenami z czołówki „Spectre” i motywem muzycznym z filmu. Po tak mocnym początku kierujemy się do kolejnego miejsca, a tu zaskoczenie — wychodzimy na bajecznie oświetlony przez słońce taras, z którego rozpościera się widok na górskie szczyty, niemal identyczny, jak ten w tle rozmowy doktor Swan z Jamesem Bondem.

W kolejnych salach naszpikowanych elektroniką — przede wszystkim ogromnymi ekranami i lustrami (czyżby nawiązanie do słynnej sceny z „Człowieka ze złotymi pistoletem” z Rogerem Moorem?) — dowiadujemy się wielu ciekawostek na temat miejsc, w których kręcone były produkcje z agentem 007 czy gadżetów wykorzystywanych przez Bonda. Te drugie można też zobaczyć nie tylko na ekranie — jednym z następnych pomieszczeń jest galeria, w której zgromadzono kilka najciekawszych „filmowych artefaktów”, np. wybuchowy zegarek Omegi czy właśnie tytułowy złoty pistolet Francisco Scaramangi. To, że te przedmioty trafiły do 007elements jest zasługą przede wszystkim Meg Simmonds — byłej amerykańskiej reżyserki, która

ponad 20 lat temu w Londynie stworzyła największą na świecie kolekcję gadżetów z filmów o Jamesie Bondzie. Niewielką część swoich prywatnych zbiorów udostępniła za darmo austriackiemu muzeum.”
No to jak, jedziemy?

Brytyjski film szpiegowski
o agencji 007 Iana Fleminga

SPECTRE



W rolach głównych:
DANIEL CRAIG, Christoph Waltz,
Léa Seydoux, Ralph Fiennes

Reżyser: Sam Mendes
Produkcja: EON Productions



24. (SP) The Power of Media

The Day of the Dead Parade in Mexico City this year (2023) falls on Saturday, October 29th, at 5:00 PM.

Here's an interesting tidbit. The holiday is ancient, but the first Day of the Dead parade in Mexico City took place in 2016. Before that, such parades didn't happen, certainly not on this scale. This "new secular tradition" was born after a James Bond movie was filmed, using some of the set decorations left behind by filmmakers who were wandering around the city, sipping local beers, and filming strange things in the city back in March 2015.

"Sir! They've brought all this stuff in, helicopters are scaring the pigeons, they're blowing up buildings for show and organizing some sort of demon and street performances!"

After the release of *Spectre*, many people, convinced it was a long-standing tradition, were eager to join in. But... who wouldn't be? Imagine their surprise when, packed into planes by savvy and business-minded travel agents, they arrived only to find that the parade wasn't happening and were greeted with: "Please cease all protest picketing, corner-beating, and organizing unauthorized parades and processions on your own."

Seeing such great interest (after all, millions of people watched the film in 67 countries), the authorities of Mexico City wisely decided to seize the opportunity and organize the parade, following the principle — The customer is always right, and money doesn't stink.

There was no tradition... Just like that, now there is one.

24. (SP) Siła Mediów¹

Parada z okazji Dnia Zmarłych w Mexico City w tym roku (2023) przypada w sobotę, 29 października, o godzinie 17:00.

I tu ciekawostka. Święto jest stare ale pierwsza parada z okazji Święta Zmarłych w Meksyku (mieście) odbyła się w 2016 r.

Wcześniej takie parady się nie odbywały, nie takie duże. Ta „nowa świecka tradycja” narodziła się po nakręceniu filmu o Bondzie, przy wykorzystaniu części dekoracji pozostawionych przez filmowców wcześniej szwendających się po mieście, spijających lokalne piwa, i kręcących jakieś dziwne rzeczy w mieście, gdzieś w marcu 2015 r.

„Panie! nazwozili tu tego, helikopterami płoszą gołębie, wysadzają budynki na niby i urządzają demon i strancje jakieś!”

Po premierze „Spectre” wiele osób przekonanych, że to wieloletnia tradycja chciało koniecznie wziąć w niej udział, ale... no kto by nie chciał? Jakież było ich zdziwienie gdy zapakowani do samolotów przez przytomnych i umiejących robić biznes agentów turystycznych, na miejscu dowiadywali się, że parady nie ma i: „Uprasza się o zaprzestanie pikiet protestacyjnych, lania po kątach oraz organizowania na własną rękę nieautoryzowanych parad oraz procesji”.

Władze miasta Mexico City widząc tak duże zainteresowanie (film zobaczyły przecież miliony ludzi w 67 krajach), przytomnie postanowiły tę okazję wykorzystać i paradę zorganizować, w myśl zasady — Klient nasz pan, a pecunia non olet.

Nie było tradycji... Myk, i już jest.

¹ <https://szosami.com/2024/12/25/sila-mediow/>

ALBERT R. BROCCOLI'S PRODUCTIONS
Presents

Daniel Craig
James Bond 007



NO
TIME
TO
DIE

00-7

CASTING BY SET DOOR • MUSIC BY DAVID JULYAN • COSTUME DESIGNER JANE HARRIS • EDITOR WENDY WHEAT • EXECUTIVE PRODUCERS

PRODUCED BY BARBARA BROOKS • WRITTEN BY JOHN HOGAN • DIRECTED BY CARY JOHNSON

25. (NTTD) The Atlantic Road

In *No Time to Die*, the Land Cruiser (with Bond aboard) speeds away from the Land Rovers (and their villains), briefly traversing this extraordinary piece of engineering. The system of bridges and causeways over Hustadvika Bay creates one of the most spectacular drives ever.

Driving it feels like moving across the open ocean. The best time to travel is during the summer's white nights, when the sun hovers low over the horizon.

The Atlantic Road (Atlanterhavsvegen) is part of Route 64, running between Kristiansund and Molde. It cuts through an archipelago of small islands and skerries in Hustadvika Bay, an exposed section of the Norwegian Sea.

The whole thing rests on a system of causeways, viaducts, and eight bridges, with the most prominent being the Storseisundet Bridge.

Hustadvika Bay was the terror of sailors, even fearless (as anyone who's read Asterix knows) Vikings. Storms eagerly facilitated donations to Neptune, consisting of longships and other floating objects wrecked against the local rocks. Now, their wrecks are visible beneath the water's surface and are a popular sight, enjoyed by both divers (from the inside) and motorists (from the outside).

The water is rather chilly (this isn't Croatia, even in August), so a wetsuit, preferably a dry one, is mandatory.

Ships are now sturdier, navigation more precise, so there are fewer disasters, allowing you to focus on enjoying the views and the drive.

I've always thought that Toyota's "Land Cruiser" is a sturdier vehicle than Land Rover's "Land Rover"... and it proved true. So, a small tip for villains — if you want to beat Bond, choose your gear more carefully. Opt for something not just

stylish but also reliable.

Really, amateurs: don't you know who you're dancing with?

And for the rest of the world — if you enjoy marveling at the world, take a trip, preferably just straight ahead — on the Atlantic Road.

25. (NTTD) Atlanterhavsvegen¹

W NTTD Land Cruiser (z Bondem na pokładzie) uciekając przed Land Roverami (ze złoczyńcami), przemierza przez chwilę to niezwykle dzieło drogowe. System mostów i grobli nad Zatoką Hustadvika tworzy jedną z najwspanialszych tras drogowych ever.

Jadąc nią odnosi się wrażenie przemieszczania po otwartym oceanie. Najlepiej podróżować podczas letnich, białych nocy, kiedy słońce sunie nisko nad horyzontem.

Droga Atlantycka (Atlanterhavsvegen) jest usytuowana w ciągu trasy nr 64 pomiędzy Kristiansund a Molde i przebiega się przez archipelag kilku małych wysp oraz szkieletów w Zatoce Hustadvika, w odsłoniętej części Morza Norweskiego.

Całość opiera się na systemie grobli, wiaduktów i ośmiu mostów, spośród których najbardziej widoczny to most Storseisundet. Zatoka Hustadvika była postrachem żeglarzy, nawet nieznających lęku (kto czytał Asterixa, ten wie) Wikingów.

Sztormy chętnie pośredniczyły w przyjmowaniu darowizn dla niejakiego Neptuna, składających się z drakkarów i innych obiektów pływających, rozbitych o tutejsze skały. Teraz ich szczątki prześwitują pod powierzchnią wody i można je podziwiać, więc są chętnie oglądane przez grupy nurków (od wewnątrz) i zmotoryzowanych (od zewnątrz).

Woda raczej chłodnawa (to nie Chorwacja, mimo, że sierpień) więc pianka, raczej sucha, obowiązkowa.

Statki teraz są już solidniej budowane, nawigacja bardziej dokładna, więc i katastrof jest mniej, można więc skupić się na podziwianiu widoków i drodze.

¹ <https://szosami.com/2025/01/05/atlanterhavsvegen/>

Zawsze uważałem, że Tojoci „Land Cruiser” to auto solidniejsze od Roverowego „Land Rovera”... i się potwierdziło. Dlatego taka mała rada dla Złoczyńców — jak chcecie wygrać z Bondem, to uważniej dobierajcie sprzęt. Bierzcie nie taki, żeby był ładny, ale taki, żeby był też dobry.

No naprawdę, partacze: nie wiecie, z kim tańczycie?

A dla całej reszty świata — jak ktoś lubi podziwić świat, niech wybierze się, najlepiej po prostu przed siebie — Drogą Atlantycką.

26. „Will Return?” (waiting for...)

...When he was being ushered out through the window by four gentlemen who were easier to leap over than to bypass — due to the particular choice of that exit — he was primarily concerned about his clothes and hairstyle. You know, whether his tracksuit would tear, if the gadgets from his bag would get lost, what about his T-shirt and how about the gel. The gentlemen requested his departure with the forceful argument of “We’re throwing you out on three,” after having previously employed the forceful argument of “Topolino, scram,” and he, in silence, well... He had to agree, and after that, it was all downhill (with a bit of help from physics).

First, he flew for a short while, but just for a moment — oh, it was only the second floor. He rolled a bit — bouncing off a metal awning — and finally, after a graceful fall in the style of a “sack of potatoes,” he scampered down the street.

When he reached his white supercar, there was still time, as the gentlemen of the drop-off had chosen handy stairs to exchange pleasantries with a middle-aged couple:

- To the airport, and please put the suitcase in the trunk!
- What, sorry?
- Are you the Uber we ordered?
- What, sorry?
- Parrot?
- What... I don’t understand!

— We’re waiting for an Uber, and your car, made in Japan, is just like all the others now; on the surface, it meets the criteria, and the only thing missing is the driver, and you... — replied the lady with a big suitcase and a small gentleman.

But he cut her off abruptly — “Excuse me, do I look like an Uber driver?”

— Yes, and you even look appropriately Uber-like...

— No, occupied! — he slammed the door rudely, but he had no more time for pleasantries, *savoir-faire*, and vice versa. The panting Wrestling Club was closing in quite quickly.

With a roar, he started his electric engine and silently began to drift away. He didn’t quite understand all this: why were they throwing him out if they were now chasing him? What was wrong with his outfit — a tracksuit, a polo with an upturned collar, sports shoes, and a bag slung over his torso? And overall — what was he doing here, why did he wander there, and where was he running now?

In that brief moment, while the Amateur Sumo and Kebab Masters were squeezing into their pursuit Mercedes AMG, he sped away in the silence of the engine, the rustle of tires, and the hum of electronics.

The “Electrics,” pushing him into the seat with powerful force from below, accelerated him away from this strange place with significant speed. What an exciting chase!

— And what about the Higgs Bosons? Can you guys compete with your V12 or whatever’s sputtering and stinking? — he laughed, with a cold elbow out the window and music blaring from the latest hits of Savage & Metro Boomin and Weeknd, escaping in accordance with the formula of a balanced retreat.

The Neighborhood Pursuit Group ATLAS didn’t give up — though they had no chance — and steadily disappeared in the mirrors, and when he was about to make a final slick escape from these Scrap Iron Weightlifters... his car suddenly, but cheerfully, informed him of the need to replenish the battery power, indicated the nearest charging station as unreachable, specified the minimum charging time as 45 minutes (if it had a combustion generator on board), and sent an RCB alert message on the general channel with location and request for assistance — which the Nice Boys from the Crew kindly included in their plans...

...And then he woke up with a scream! Well, maybe not quite, after all, he was a tough, trained professional, and so what if on an extended vacation! Still, it wasn't a pleasant, and let's hope not prophetic, dream. He got up, left the nightmares of sleep behind in bed, stood up, and returned to the nightmares of reality.

Yes, changes, changes, changes. Damn, these visions didn't come out of nowhere; how long can one stay on a 100% paid vacation? A person could wear out from this rest.

And tomorrow, damn it, or maybe already today(?), he was supposed to see his new vehicle. "Agent reporting for duty?" Hopefully!

He didn't know how it would be now, but he knew very well how it wouldn't be. No more joint parachute jumps, discreetly distinguished jokes with an ironic smile, a hat and handbag in the background, small industry "eliminary" favors, straightening out royal convoluted family paths somewhere in dark alleys. No more playing with HER dogs.

Now he was an Agent of HIS Majesty.

Tina wouldn't sing like she used to, where adding the fuel of her voice to the fire of music made everyone more limber in their moves, sharper in their vision, and more flexible in their actions.

He shook himself, gave a sardonic-sad half-smile, and checked the time — oh, 5 a.m., so it's probably after 1 p.m. and permissible? He poured a double measure of Macallan 26 and drank it in one go — To Changes!

Until they made him wear a Swatch X Omega made of some eco-plastic, he put on his Omega Seamaster. Instead of wonderfully comfortable, movement-unrestricting tracksuits color-coordinated and harmonized with comfy sports shoes for quick, non-impressionable movement, and a bag for accessories with large decorative "brand, you can afford" inscriptions, he put on a gray Tom & Ford suit with a subtle check, a Turnbull & Asser shirt, and Crockett & Jones oxfords.

— They won’t catch him alive in this electric car — he thought about the nightmare — so Beretta 418 caliber 25, initially slipped behind his belt but uncomfortable against his back, was moved to his pocket. For balance, he put a spring-loaded knife into the other.

Under his arm, he stuffed a Walther PPK caliber 7.65 mm, and to his calf, he strapped a “just in case” V-44 Gung-ho knife, and attached a tiny derringer to the other leg, for psychological balance.

Much better! Now he was ready to meet with Q or M. Or X, Y, Z, and all the letters of the alphabet.

And with his — electrically, fashionably, and eco — future in the newer, better edition of the “Spy for You — Eco-Friendly” Agency as well.

— Hello James, long time no see. Haven’t you turned into some African American or another dark-skinned Asian of Arabic origin? I see you haven’t, fortunately, it’s still you and as always, you come not in time, but this time too early. Couldn’t you sleep? Had any nightmares? Missed us? Are the tomatoes in the garden ripe yet? — greeted him Q in his style.

B: I missed you, but only your defective, fur-less cats. And now, since you must be here, Q, kindly show me the gear.

Q: Bond!

B: Not that gear, the OTHER gear!

Q: Calm down, it’s still charging...

B: Q?

Q: Just kidding James, it’s already charged, let’s go.

The car looked spectacular, the latest DB12 turned out to be a masterpiece, quite a piece of modern art, craftsmanship, finesse, and mechanics.

B: Why’s it so gaping, surprised by something, electricity prices, Brexit effects?

Q: When will you grow up, Double-O-Seven? This larger grill is necessary to meet cooling demands; notice that there are now also vertical air intakes, the silhouette has become more muscular, but specially for you, the DB12 retained the

distinctive lights of its predecessor, the retractable spoiler, and the cut-out “floating” rear pillars. But, but, since when are you interested in technical details?

B: And where’s the plug?

Q: Sorry to disappoint you James, but it doesn’t accelerate with electricity on the road, and heartbeats. You’ve got a twin-charged 4-liter engine generating 680 horsepower. Even you should have enough for some stylish “retreating to predetermined positions,” and it should be sufficient for a chase too. Pfft — don’t expect hybrid support or any PHEV here.

B: Any neat additions to break the monotony of the journey? Atmosphere, Arrows, Lasers, Gatling gun?

Q: Just tracking, control, and aerial support from 4 combat drones, perovskites in the roof, satellite communication oversight and disruption of all radio, microwave, infrared, and Bluetooth signals, polymer armor reinforced with carbonite, the possibility of operating on new generation synthetic fuels or trash found in the bin, driving and all data in a contact lens. Welcome to the 22nd century James.

B: And this? What is this?

Q: That, Bond, is the best new feature. My modest idea — it’s a cup holder for coffee.

Well, it’s still unknown what the next Bond will be like, but one can probably sleep peacefully. Since the Aston Martin DB12 is already here, it’s for sure that “James Bond will return.”

26. Will Return?¹

...Kiedy wychodził przez okno, grzecznie poproszony przez czterech panów, których łatwiej przeskoczyć niż obejść — o akurat wybór Tego wyjścia, martwił się jedynie o swoje ubranie, i fryzurę. No wiesz,

¹ <https://szosami.com/2023/07/23/will-return/#more-324>

czy się nie podrze dres, nie pogubią gadżety z torebki, co z koszulką i jak żel. O opuszczenie pomieszczenia panowie poprosili go przy pomocy argumentu siły „rzucamy nim na trzy”, po uprzednim użyciu siły argumentu „Topolino, spieprzaj”, a on, w milczeniu, coś... Musiał się zgodzić, a później było już z górki (i trochę pomogła fizyka). Najpierw chwilę leciał, ale krótko — och, to tylko drugie piętro. Trochę się toczył — po odbiciu od blaszanego daszku, aż w końcu, po finezyjnym upadku w stylu „wór kartofli”, zbiegł w dół ulicy. Kiedy dopadał swojego białego supercara, był jeszcze czas, bo panowie od zrzutów wybrali poręczne schody, by wymienić uprzejmości z parą w średnim wieku:

— Na lotnisko i prosimy włożyć walizkę do bagażnika!

— Że co proszę?

— To pan jest z tego zamówionego UBERA?

— Że co proszę?

— Papuga?

— Że c... Nie rozumiem!

— Czekamy na UBERA, a pana samochód made in japankombi taki sam jak wszystkie inne teraz, po wierzchu spełnia te warunki, i tylko kierowcy nam brakowało do kompletu, a pan... — odrzekła pani z wielką walizką i małym panem.

Ale brutalnie jej przerwał — Wybacz pani, czy ja wyglądam na kierowcę ubera?

— Owszem, i nawet jakoś tak stosownie się pan ubera...

— Nie, zajęte! — trzasną drzwiami, niegrzecznie, ale nie miał więcej czasu na konwenanse, sawuar luvry i wice wersale. Zasapany Club Zapaśników zbliżał się dość szybko.

Z rykiem odpałił swój elektryczny silnik i w ciszy zaczął się oddalać.

Trochę nie rozumiał tego wszystkiego: po co go wyrzucali skoro teraz gonią? Co jest nie tak z jego stylówką — dres, polówką z podniesionym kołnierzykiem, sportowymi butami i torebką przerzuconą przez piersiobrzuch? I ogólnie — co on tu robi, po co tam laź, i gdzie teraz ucieka?

Przez tę krótką chwilę, kiedy Amatorscy Mistrzowie Sumo i Kebaba pakowali się do pościgowego Merca AMG, on śmigał w ciszy silnika, szmerze opon oraz szumie elektroniki.

„Elektryki” wciskając w fotel ciągną potężną mocą od dołu, więc z dużym przyśpieszeniem oddalał się od tego dziwnego miejsca.

Cóż za ekscytujący pościg!

— I co Bozony Higgsa? Możecie mi nafiakać tym swoim V12 czy co tam wam rżęzi i śmierdzi — ze śmiechem na twarzy, zimnym łokciem za oknem, i mużą pogłośnioną na maksa w najnowszych wersjach hitów Savage & Metro Boomin und Weeknda, wymykał się zgodnie z formułą zrównoważonego odwrotu.

Grupa Pościgowa Osiedlowy ATLAS nie odpuszczała — chociaż nie mieli najmniejszych szans — i sukcesywnie znikali w lusterkach, a kiedy miał dokonać finalnego zgrabnego zgubienia tych Sztangistów Złomu... jego samochód, znienacka, ale radośnie, poinformował go o konieczności uzupełnienia energii akumulatorów, wskazał najbliższą stację doładowczą jako nieosiągalną, określił minimalny czas ładowania na 45 minut (jeśli ma spalinowy generator na pokładzie), i wysłał wiadomość alert RCB na kanale ogólnym z lokalizacją i prośbą o udzielenie pomocy — co ściągający go Fajni Chłopcy z Ferajny łaskawie uwzględnili w swoich planach...

...I wtedy się obudził z wrzaskiem! No może nie aż tak, jest przecież twardym szkolonym zawodowcem, i co z tego, że na przedłużającym się urlopie! Mimo wszystko nie był to przyjemny i oby nie proroczy sen. Podniósł się, zostawiał koszmary senne w łóżku, wstał i wrócił do koszmarów rzeczywistości.

Tak, zmiany, zmiany, zmiany. Cholera, te majaki nie brały się znikąd; ileż można siedzieć na 100% płatnym urlopie wypoczynkowym? Człowiek się może wykończyć od tego odpoczynku.

No i jutro, cholera, a może już dzisiaj(?), miał zobaczyć swój nowy pojazd.

„Agent melduje się do służby?” Oby!

Nie wiedział jak to teraz będzie, ale dobrze wiedział jak już nie będzie. Nie będzie wspólnych skoków na spadochronie, dyskretnie dystygowanych żartów z ironicznym uśmiechem, kapelusikiem i torebeczką w tle, drobnych branżowych „eliminacyjnych” przysług, prostujących królewskie zawiłe ścieżki rodzinne gdzieś w ciemnych zaułkach. Już nie pobawi się z JEJ psami.

Teraz już jest Agentem JEGO Królewskiej Mości.

Tina też nie zaśpiewa tak, że po dodaniu paliwa swego głosu do ognia muzyki, każdy nabierał giętkości w ruchach, bystrości wzroku i elastyczności w działaniach.

Otrząsną się, pokręcił głową z sardonicznie-smutnym półuśmiechem, i sprawdził godzinę — o, 5 rano, to już chyba po 13 i można! Właś Macallana rocznik 26 na dwa palce i wypił na raz — Za Zmianę!

Póki nie kazali mu nosić Swatch X Omegi z jakiegoś ecoplastiku, włożył Omegę Seamastera. Zamiast cudownie wygodnych, niekrepujących ruchów dresów zestawionych kolorystycznie i harmonijnie z wygodnym obuwiem sportowym do szybkiego bezodciskowego przemieszczania się, oraz torebką na spyakcesoria z wielkimi ozdobnymi napisami „marki, na którą cię stać”, włożył szary garnitur w subtelną kratę od Toma & Forda, koszulę Turnbull & Asser i oxfordy od Crockett & Jones.

— Żywcem go nie wezmą w tym elektryku — pomyślał o koszmarze sennym — dlatego Berettę 418 kaliber 25 początkowo włożoną za pasek, ale uwierała go w plecy, przełożył ją do kieszeni. Dla równowagi nóż sprężynowy wkłada do drugiej.

Pod pachą upycha Walthera PPK kaliber 7,65 mm, a do łydki przytracza nóż „na wszelki wypadek” V-44 Gung-ho, a malutkiego derringera przyczepia do drugiej nogi, dla balansu... psychicznego.

Od razu lepiej! Teraz jest gotów spotkać się z Q czy M. Lub X, Y, Z i w ogóle ze wszystkim literami alfabetu.

I ze swoją — elektrycznie, modnie i eco — przyszłością w nowszym lepszym wydaniu Agencji „Szpiegujemy dla Ciebie — Ekologicznie” również.

— Witaj James, dawno Cię nie było. Nie zmieniłeś się w jakiegoś Afroamerykanina czy inną ciemnoskórą Azjatkę arabskiego pochodzenia? Widzę, że nie, na szczęście, to cały czas ty i jak zawsze przychodzisz nie wczas, ale tym razem za wcześnie. Nie mogłeś spać? Jakies kosmary? Tęskniłeś? Pomidory na działce już dojrzały? — przywitał go Q w swoim stylu.

B: Tęskniłem, ale tylko za twoimi wybrakowanymi bezfutrzanymi kotami. A teraz, skoro już musisz tu być Q, to bądź tak miły, i pokaż sprzęt.

Q: Bond!

B: Nie ten sprzęt, Tamten sprzęt!

Q: Spokojnie, jeszcze się ładuje...

B: Q?

Q: Żartuję James, już się naładował, chodźmy.

Auto wyglądało zjawiskowo, najnowszy DB12 okazał się arcydziełem, niezłym kawałem sztuki nowoczesnej, sztuki, finezji i mechaniki.

B: Dlaczego on taki rozdziawiony, dziwi się czemuś, cenom prądu, efektom brexitu?

Q: Kiedy ty dorośniesz Double-O-Seven? Ten oto większy grill jest niezbędny, by zaspokoić wymagania chłodzenia, zauważ,

że obok niego pojawiły się również pionowe wloty powietrza, sylwetka nabrała więcej muskularności, ale specjalnie dla ciebie DB12 zachował charakterystyczne światła poprzodnika, wysuwany spoiler oraz odcięte, „lewitujące” tylne słupki. Ale, ale, od kiedy interesują cię szczegóły techniczne?

B: A gdzie wtyczka?

Q: Przykro mi cię rozczarować James, ale on nie elektryką przyspiesza na drodze, i bicie serca. Masz tu podwójnie doładowany 4-litrowy motor generujący 680 KM. Nawet Tobie powinno wystarczyć w zgrabnym „wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje”, a i na pogoń powinno styknąć mocy. Phi — nie masz tu co liczyć na hybrydowe wsparcie czy inny PHEV.

B: Jakież schludne dodatki dla przełamania nudy w podróży? Atmosfera, Strzałki, Lasery, działko Gatling?

Q: Jedynie śledzenie, sterowanie i wsparcie powietrzne 4 dronów bojowych, perowskity w dachu, satelitarny nadzór komunikacyjny i zakłócający wszelkie sygnały radiowe, mikrofalowe, podczerwone i bluetooth, polimerowy pancerz wzmacniany karbonitem, możliwość pracy na paliwach syntetycznych nowej generacji lub śmieciach znalezionych w koszu, prowadzenie pojazdu i wszystkie dane w soczewce kontaktowej. Witamy w 22 wieku James.

B: A to? Co to jest?

Q: To, Bond, jest najlepsza nowość. Mój, nie chwaląc się, pomysł — to uchwyt na kubek, do kawy!

Cóż, nadal nie wiadomo co z kolejnym Bondem, ale chyba można spać spokojnie. Skoro Aston Martin DB12 już jest, to na bank „James Bond will return”.

27. Wolf

1. PESEL

So what if he was a legend, an icon, a role model for imitation, whom women sighed over, men jealously grunted at, and enemies mostly ended up dying because of him.

Exactly, and what's the point if, well, exactly... "was"?

Since the end of the Cold War, James „J.B.” Bond had been suffering from the agony of boredom at MI6. From a life of constant adrenaline, action, and the sense of purpose that came with “For England, James,” from battling arch-enemies in intense confrontations, he had slowly, without even realizing it, drifted into... desk work, with a bulldog-shaped paperweight — the only memento from the good old days.

Well, Mr. Bond, PESEL doesn't take prisoners either.

He nostalgically reminisced about the times when he greeted each new day with excitement, because it could be his last (“Live as if there were no tomorrow”? Sure, I'm on it), when among countless vehicles and innumerable cities across the world he tried to spot those belonging to counterintelligence and security services; when he threw off the trail the men in hats shadowing him and looked out for watchers in the alleyways of peeling houses.

When he provoked, fought, loved, and killed.

Now, working at HQ in London, he felt like a wild animal in a trap. Every day, counting down the days to retirement, even the challenge of boarding the Number 18 bus that took him to the office at Vauxhall Cross was a torment. With all his being, he longed for the wonderfully thrilling atmosphere of danger. He had never managed to erase from his memory the glorious “perks” in the form of blondes, brunettes, and brunettes craving contact with the outside world... among

whom Kara, the passionate and brilliant first chair cellist at the Bratislava Philharmonic, stood out particularly. He missed the full-throttle concerts after concerts and her well-placed, influential lovers from governmental and military circles.

And Christmas, which had come to him twice in one year?

Even at sixty, James was in shape, and thanks to a great tailor and regular visits to the hairdresser, he looked both dapper and elegant in a perfectly tailored suit, with a mane of gray hair. He had no problems with women, but he still remembered a journalist friend's musings during a well-lubricated (with smuggled Scotch into Czechoslovakia) party at some Bratislava hotspot: "Slavic women have the best legs in Europe!"

One day, as his red, made-in-China electric bus passed Buckingham Palace, J.B. found an article in the „Times“ that truly, for the first time in a long while, piqued his interest.

“Oh, interesting,” he thought.

It described the activities of the Spoliation Advisory Panel, a consultative body dealing with claims from those whose assets were seized by the Nazis during the war, when it turned out that the stolen artworks were now part of national collections in British museums. Bond always knew that the art world was a treacherous and murky area. Well, just a quagmire.

Years of experience (he fondly recalled Octopussy, Berlin, Fabergé Eggs, and the auction that almost put poor Jim six feet under, smiling slightly at the memory of the days when he frivolously spent hundreds of thousands of pounds of his department's money) reminded him that in this lucrative but deceptive and often violent (or even criminal) world of forgeries and fraud, they played hardball too.

He pondered for a moment about an empire populated by art historians like Bernard Berenson and ruthless dealers from Paris or London. Oh yes, the underground art market was as dangerous and thrilling as the world of espionage. And James might not have studied art history at Cambridge, but he had excellent practical references. After all, he had even flirted

briefly with communism, a flirtation as poisonous as a viper's venom.

"Tomorrow I'll go to the gallery; maybe the art world can pull me out of this rut of a life only in theory," he thought, though with little hope.

2. The Party

The Party he was invited to took place in Mayfair, in a third-floor apartment overlooking manicured gardens and the elegant 18th-century Grosvenor Chapel. The apartment was full of the usual suspects typical of such events — interior designers, film directors, writers, Venezuelan oil magnates, and Russian oligarchs. They all gossiped about the latest fashionable polo club, Guards, while sipping champagne.

Menu for today:

Stunning sage tuilé with foie gras and truffle demi-glace. Lobster carpaccio devils in rambutan emulsion. Monkfish cheek with blackcurrant foam on a caviar chip. Brioche toast with elephant marrow and celery vinaigrette. Goose barnacles smoked over ume plum with kale crème fraîche.

James took pleasure in thinking about the delicacies served by the hostess, American celebrity Lashandra Scott. This statuesque full-time widow had earned a few million by working very hard on her late husbands. Bond smiled at the thought of the well-known tabloid joke about the hostess: — Who is your husband? — He's a millionaire. — And who was he before he met you? — A billionaire.

Automatically, following a reflex trained over the years, James, with an 18-year-old Macallan, sailed on a precise collision course towards the most attractive woman at the party. She was reed-slim, on high heels, and wore a tight, short black dress without accessories, gimmicks, or tattoos, about which Clooney once said, "Tattoos? Have you seen stickers on a Ferrari?"

As he approached her, she tossed aside her tousled, £200-messy hair from her face.

— May I introduce myself, Bond, James Bond.

She slightly inclined her head as if acknowledging this, but did not reply. She was an incredibly attractive woman in her forties with that fleeting, unobtrusive, and naturally unenhanced attractiveness, which only those graciously endowed by fate... and genes (if they managed not to spoil it with excessive enthusiasm) possess, and which only connoisseurs can see.

— How do you know Lashandra? I haven't seen you here before — he threw with a slight half-smile.

— I just moved into this building, I live a floor below. I run an art gallery on South Audley Street. Antonina Paćławska.

— Polish? — to her surprise, he took a step back, bowed his head, and, mindful of the strange courtesies of this peculiar Country of White Bears walking the streets in winter, took her hand in his and lightly touched it with his lips in a gallant gesture he had learned during his years spent „in the field.”

— Yes, I am Polish. Do you know Poland?

— Well, you could say I was a consultant and diplomat traveling also to the countries of the people's democracies. Where were you born?

— In Poznań. Wait... Do you speak Polish?

— Of course!

Engaging in casual conversation, they easily switched between languages. During dinner, they sought each other out with their eyes, and later, while sipping coffee on an antique sofa, James asked: — As I understand it, you mainly exhibit modern painters? Antonina, as only Polish women can, suddenly grew serious. — Yes, that is my daily routine — And lowering her voice to a whisper and almost passionately, she said straight into his ear — But my main passion is tracking down paintings stolen from Poland by the Nazis. Have you read “Europe Plundered”? It's a book about war looting. Oh, in-

teresting — he thought and replied — No, but I have considerable experience in dealing with this... world. They chatted, laughed, and bantered, and their sudden closeness did not go unnoticed by those around them. “Well, James has as irresistible charm as Mastroianni,” muttered a film director garnished with a turquoise suit the size of a circus tent, with envy.

3. Aston

Since that dinner, Antonina and James had frequently met „in town.” Bond observed with a slightly ironic detachment the signs of the old vitality that once filled his life. After the passionately „talked-through” nights in his sparsely decorated, minimalist apartment — „James, are you just moving in? No, why do you think so?” — in Marylebone, they admired the stunning art collections at the nearby Wallace Collection.

— I adore Van Dyck’s portraits, their aristocratic detachment — he remarked provocatively one summer afternoon as they stood before the portrait of Philippe Le Roy, the High Ambassador to the Spanish Netherlands.

— Yes, I like them too — she replied. Then, with growing intensity, she continued — The Nazis stole a Van Dyck painting, „Portrait of a Boy,” from my family. In 1944, they forced my father to sell it to the Museum of Emperor Frederick in Poznań — now the National Museum in Poznań. Those damned thieves took it. But I know where it is now. In Warsaw! And I know who has it... — With passion, she brushed a stray lock of her carefully styled hair from her beautiful face.

— Who? Shouldn’t the Polish government know about this? — James asked with (typically British upper-class, but atypically for a cynical killer... that is, himself) naivety.

— Ah, I must be getting old — he thought, amused.

— We're talking about huge sums of money, my dear. Poland lost thousands of paintings then, and now a small organization in Warsaw specializes in recovering Nazi treasures, selling them quietly to wealthy collectors for astronomical sums. In the middle of this network sits a dealer from New Town Warsaw, known as „Wolf.” A nasty piece of work. And probably a neo-Nazi.

— And nothing can be done?

— He's too powerful and has strong connections. But I have to come up with something!

James suddenly felt a surge of his old flair, as if his spy training had awakened at the first call. Well, „Familiarity is the second nature of man. Isn't it?”

He needed a plan — he thought — and the best plan, as always, is no plan at all. To acquire art, people often resort to crime; improvisation has never failed him, and has misled many others.

Returning home, he devised a fully detailed strategy that was both stylish and feasible: he would pretend to be a wealthy British collector residing in Warsaw with his „girlfriend,” he would dazzle and provoke, and then see what happens.

He would draw out Wolf from the shadows.

And then... Wolf would be worn out, until his clique fell apart. He would make contact with „Wolf,” attempt to buy the painting while gathering information about the network. He would take on the familiar role, or nature, of a spy.

It's said that you don't stop moving as you age; rather, you age when you stop moving. Clearly evident in cars, which make millions while driving but only leak oil and other fluids when stationary. So it was time to get moving, dust off old skills that had been relegated to the background by a comfortable office job — skills in personal, hands-on, detailed, and dexterous elimination of enemies.

Above all, it was time to dust off old acquaintances.

The garage, anonymously located in the suburbs, exuded an atmosphere of human decay and civilization's weariness. Graffiti, not the spectacular kind like Banksy's in the best spots, but more anonymous and less impressive, the work of frustrated and powerless souls, heavily worn by decay and the impermanence of human achievements, adorned the cracked walls. Groups of delinquents high on the fashionable fentanyl mixed with xylazine, or for the less discerning connoisseurs, bagged contact adhesive—vented their rage on stolen super-market shopping carts used by the homeless.

Bond, in his impeccably tailored suit, felt somewhat out of place here. In fact, he stood out so much that he seemed painted with fluorescent spray. But once he shifted into "field" mode, he exuded an indefinable aura of "don't mess with me," and the groups of futureless thugs, sensing trouble or out of respect for themselves or lack of sensible dental insurance, pretended not to see him.

Once he shook off the dust-covered canvas cover, he affectionately patted his friend on the roof—Now we're both silver birch old-timers, my friend.

DB5, are you ready to return to service?

He was sure that—the Aston Martin DB5 with its R6 engine designed by, ironically, a Pole, Tadeusz "Tadek" Marek, with a 4.0-liter capacity, 282 hp, and 390 Nm plus modest additions—revolving license plates; ejection seats; retractable wheel blades; machine guns; smoke screens and oil sprayers; radar in the dashboard; weapon compartments; hydraulic ram—from the experimental "Q Branch" studio—would smile at his sight.

Oh yes, moving through the city in this demonstratively unique machine would be an undeniable confirmation of his „legend.” And those few gadgets prepared by Q „just in case” might also come in handy... just in case.

4. Wolf

When he shared the details of his „plan without a plan” with Antonina, she couldn’t hold back her tears of emotion.

— By trusting me, you’ve given me something very precious, James.

— What’s that? — Hope.

— Her face was glowing with joy.

Bond took a well-earned unpaid leave of absence, and the office breathed a huge sigh of relief. After a quick (when you’re not worried about parking tickets, the DB5 can really move fast, and you don’t have to charge it for hours) journey, he and Antonina rented a luxurious apartment in Mokotów.

Spring in Warsaw, as Organek sings, „burst right in their faces” with an explosion of flowers in the beautiful Łazienki Park. J.B., neither shaken nor stirred, quickly made and maintained artistic connections over excellent drinks, and when necessary, beer, at the exclusive Column Bar of the Bristol Hotel. He made sure that he was talked about in Warsaw’s “artistic circles” and that meetings with him were desirable. Sometimes he visited the homes of wealthy collectors in the elegant Żoliborz district, and sometimes these meetings took place in the stately surroundings of the University of Warsaw.

The Aston Martin drew admiration everywhere, sometimes in odd forms, like when, upon getting out of the car, he heard an elderly lady say, “There should be more Bentleys like this around here!”

Bond was surprised to find that he didn’t need to jot anything down in the notebook he had been carrying for some ti-

me. Old reflexes, behaviors, and muscle memory had naturally returned. Eventually, he managed to arrange a meeting with „Wolf” himself. They met in a dimly lit café in the Old Town, in the faintly candlelit „Crocodile.”

Looking at the café’s symbol, a sculpture of a cherub riding a crocodile, he thought it oddly fitting for his current mission. In the half-light of the café, „Wolf” got straight to the point.

It was cramped, leaving no room for pleasantries, and the candle’s flame flickered nervously above a Viennese cake.

— Are you working alone, Mr. Wolf? — James asked politely.

— Do you want this Flemish masterpiece, Mr. Bond, or not? If so, don’t ask too many questions and think carefully about how you’ll pay for it, because the price is 3.5 million dollars and it’s non-negotiable — Wolf’s English was horridly direct, but Bond didn’t reveal his knowledge of Polish.

— First, I want to see the painting, check its authenticity and condition. In short: when and where? — We’ll bring it to the cemetery in Palmiry near Warsaw. Tomorrow at noon. You won’t see us, and you should be alone.

„And who would I be with, amateur,” Bond thought.

The site of the Nazi atrocities against Poles still seemed to smell of the blood of innocent victims. It was a gruesome place for a meeting. Perfect. When he arrived, he parked the Aston near the museum building, whose walls were marked with bullet holes — fortunately only simulated by the architect. But it reminded him of what Antonina had said: These people might kill him if they suspect anything.

He smiled to himself with the cold, grim, merciless smile of a wolf hunter — And I don’t want to lose you! Never! — she had said. She was so beautiful when she blushed with emotion... Such a shame...

5. 007

As he waited for the dealer, the birch trees creaked, bent by the light gusts of wind. James gazed pensively at the endless forest of crosses marking the graves of murdered Poles when a black Mercedes limousine appeared almost silently. If he weren't Bond, he might have flinched, but instead, he thought, „Damn electric cars, they should install bells on them like cows.”

From the Mercedes, „Wolf” stepped out, holding a square package wrapped in brown paper. The sun hid behind a cloud, and it suddenly grew cold. „Wolf” pointed to a bench next to the memorial wall and unwrapped the package. Bond was hit by the smell of aftershave. A thick gold bracelet flashed on „Wolf's” wrist, and a Rolex glittered on the other. „I wonder if he has a gold chain with an ImRich emblem around his neck under that carelessly unbuttoned shirt,” Bond thought. „Well, you can't buy class and taste with money.”

— I see you're investing in precious metals, Mr. Wolf. I once knew another gold enthusiast... but that's history, someone neatly crushed his greed forever — Bond said as he unpacked the painting.

Even a glance at the unwrapped part of the painting was enough for him to realize it wasn't the work of the Great Flemish Master. Nor any other Flemish master.

Under the faded varnish, the facial features were awkwardly captured, the eyes were too large, the lips too fleshy, and the fingers of the hand — the last time he saw such fingers was at a gas station when construction workers ate them. The board on which the portrait was painted was cracked along its entire length. The painting had been retouched and repainted several times.

— Mr. Wolf, this is not a genuine Van Dyck in my opinion. Do you take me for a fool?

Bond stood up, not waiting for a response, eager to escape this web of deceit. The atmosphere increasingly matched the location they were in.

— Where are you going, Mr. Bond? — Wolf's indifferent tone came from behind him.

— I'm heading back to Warsaw.

— Sorry, just one more thing: you love the beautiful Miss Antonina, don't you? — Wolf asked with a biting tone.

Bond hesitated, surprised that the dealer mentioned her name.

— Yes, of course — he replied, reaching for the door handle... of the Aston.

— My dear friend, if that's the case, then here's the situation: with paintings, especially now, there's a big problem. They're hard to obtain, difficult to smuggle, and even harder to sell quietly and profitably. However, at auctions, especially those organized by Sotheby's or Christie's, the price of an original spy model Aston Martin DB5, made exclusively for MI6, reached \$4.6 million in 2010. In 2019 it was \$6.4 million, and now, Mr. Bond, one of the Eastern Wealthy Collectors is offering us \$12 million. It wasn't easy to find you, Bond, under these papers, dusted with gray and dirt, but we found you and knew that, old, faded, and bored, you'd take the bait. And I'm afraid that your Antonina is... my Anastasia. Oh, Bond, you have no luck with women. You see, it was never about the pictures, since you could have easily delivered the unique car yourself. Let's just say... with free delivery to your doorstep, it would be a shame not to take advantage of it.

The gun that suddenly appeared in his hand looked so natural, it was almost innocent. The flash at the end of the barrel and the sharp crack of the shot — well, that too.

Bond fell like an axe, narrowly missing an iron bench.

Good thing I grew out my beard — he thought before losing consciousness.

Darkness fell over him like a curtain.

The Nazis had claimed their last victim.

When he returned from the darkness of oblivion some time later, it was already dark, but still so cold it felt unreal. “Land of the White Bears” — he groaned and shivered in the chill. After a moment, he got up with the agility and flexibility of a sack of potatoes, straightened up, stretched, and felt pain, but... why in his side?

„One day, when I wake up and nothing hurts, it will mean I’m dead,” he mocked himself as he searched for his phone.

The phone, encrypted with a 256-bit key and not some cheap fingerprint sensor (which anyone can steal, just a good cleaver is enough) or tacky Face ID for amateurs, was useless to those who didn’t know the code, so it stayed in his coat, and... Well, after all, he was dead.

He dialed the number.

— Bond?

— M?

— I assume, since you’re calling, that he didn’t shoot you in the face. What took so long, did you take an afternoon nap, old man? — The voice on the other end sounded mildly bored, though someone on the other side was carefully masking their tension.

— After returning to the field, I was briefly stunned, but it’s done. Is Q tracking the Aston? — Bond spoke with a bit of effort. Contact with a touch of lead with appropriately large kinetic energy can knock the wind out of anyone, even someone dressed in a stylish, Tom Ford-designed polymer bullet-proof vest.

— Yes, the signal is clear and strong. Mrs. Antonina... or perhaps Anastasia, with Mr. Wolf is already heading east. Wait a moment, check your sugar, your saturation, assess the situation, and then move. Do you need a walker?

Bond smirked cynically... Idiots, they really thought that setting up a faded, lonely agent with a willing and attractive woman, a fairy tale about Nazis and a stolen painting, and the ease with which she agreed to a „plan without a plan” and that tasteless „Wolf” would deceive a seasoned agent?

Fortunately, after all those mediocre films, there were still a few high-quality DB5 replicas left, just needed to be properly arranged, right?

And now, it's time for the hunt. First for Wolf, and then his backers. There's plenty of work to do.

Alright — he grimaced with pain, but only slightly, after all, he was in such excellent shape that a moderately fit 5-year-old would need longer to score him — let 007 move, and I... I've done my part, I'm heading home.

The End.

James Bond will return.

27. WOLF¹

1. PESEL

Cóż z tego, że był legendą, ikoną, wzorem do nienaśladowania, do którego kobiety wzdychają, mężczyźni zazdrośnie prychają, a wrogowie przeważnie zdychają.

No właśnie, i cóż z tego, skoro, no właśnie... „był”?

Od zakończenia zimnej wojny James „J.B.” Bond cierpiał udręki nudy w MI6. Z życia na ciągłej adrenalinie, w akcji i nadającego sens jego egzystencji „For England James”, od arcytrudnych arcystarć z arcywrogami, powoli, sam nie wie kiedy, do... papierkowej roboty za biurkiem, z przyciskiem do papierków w kształcie buldoga — jedyną pamiętką ze starych dobrych czasów.

Cóż Mr. Bond, PESEL też nie bierze jeńców.

Z nostalgią wracała do czasów kiedy z ekscytacją witał każdy kolejny dzień, bo mógł być jego ostatnim („Żyj tak, jakby jutra miało nie być”? Spoko, już się robi), kiedy wśród niezliczonych pojazdów niepoliczonych miast całego świata próbował wytypować te należące

¹ <https://szosami.com/2024/11/15/wolf/#more-58>

do kontrwywiadu i безпеki; gdy mylił tropy łączącym za nim facetom w kapeluszach, nasuniętych na oczy i wypatrywał obserwatorów w zaułkach obdrapanych domów.

Kiedy prowokował, walczył, kochał i zabijał.

Teraz, pracując w Centrali w Londynie, czuł się jak dzikie zwierzę w pułapce. Każdego kolejnego dnia, licząc dni do emerytury, męką było nawet podejmowanie wyzwania polegającego na wsiadaniu do autobusu linii 18, który wiozł go do biura przy Vauxhall Cross. Całym swym jestestwem tęsknił za cudownie podniecającą atmosferą niebezpieczeństwa. Nigdy nie zdołał też wypłenić z pamięci wspańiałych „dodatków do pensji” w postaci łaknących kontaktu z innym światem blondynek, szatynek, brunetek... z których szczególnie zapisała się w jego pamięci namiętna i błyskotliwa Kara, grająca pierwsze skrzypce na wiolonczeli w Bratysławskiej Filharmonii. Brakowało mu i pełnych uniesień koncertów po koncertach, i jej ustosunkowanych, wpływowych kochanków wywodzących się z kręgów rządowych i armijnych.

A Christmas, która jednego roku przyszła do niego dwa razy?

Nawet w wieku sześćdziesięciu lat James był w formie, a dzięki światnemu krawcowi i regularnych wizyt u fryzjera wyglądał zarówno dziarsko jak i elegancko w znakomicie skrojonym ubraniu, z burzą siwych włosów. Nie miał najmniejszych problemów z brakiem problemów z kobietami, ale wciąż pamiętał wynurzenia kolegi-dziennikarza podczas suto zakrapianej (przemycaną do Czechosłowacji szkocką) imprezy w jakimś bratysławskim lokalu dla wybrańców:

„To Słowianki mają najlepsze nogi w Europie!”.

Pewnego dnia gdy jego czerwony, robiony w Chinach elektryczny autobus jak co dzień mijał pałac Buckingham, J.B znalazł w „Timesie” artykuł, który go naprawdę, po raz pierwszy od dawna, zaciekawił.

„O, ciekawe” pomyślał.

Opisywano w nim działania Spoliation Advisory Panel, organu doradczego zajmującego się sprawami roszczeń tych, których majątki zrabowali w czasie wojny hitlerowcy, gdy okazywało się, że skradzione im dzieła sztuki należą dziś do zbiorów narodowych w brytyjskich muzeach. Bond zawsze wiedział, że świat sztuki to teren wciągający i grząski. Cóż, zwykłe bagno.

Wieloletnie doświadczenie (z rozrzewnieniem wspomniął Ośmiorniczkę, Berlin, Jaja Fabergé i licytację, którą prawie położył trupem biednego Jima, uśmiechnął się lekko na wspomnienie czasów kiedy beztrudno wydawał setkami tysięcy funty swojego wydziału) przypo-

mniało mu, że w tym przynoszącym kolosalne zyski, ale pełnym oszustwa i często przemocy (czy wręcz zbrodni) świecie fałszerstw i oszustw też grają bez pardonu.

Zadumał się chwilę nad imperium zamieszkałym przez historyków sztuki jak Bernard Berenson i bezlitosnych handlarzy z Paryża czy Londynu. O tak, podziemny rynek dzieł sztuki był równie niebezpieczny i ekscytujący jak świat szpiegowski. A James może nie studiował w Cambridge historii sztuki, ale miał doskonale referencje praktyczne. Przecież nawet przez chwilę flirtował z komunizmem, flirtem zatrutym niczym trucizna żmii.

„Jutro idę do galerii, może świat sztuki zdoła mnie wyciągnąć z tej rutyny życia tylko w teorii” — pomyślał, choć bez większej nadziei.

2. Przyjęcie

Przyjęcie, na które został zaproszony odbywało się w Mayfair, w apartamencie na trzecim piętrze z widokiem na wystrzyżone ogrody i elegancką, XVIII-wieczną kaplicę Grosvenor. Mieszkanie pełne było podejrzanych typów typowych w takich sytuacjach „tych, co zwykle”, designerów wnętrz, reżyserów filmowych, pisarzy, wenezuelskich nafciarzy i rosyjskich oligarchów. Wszyscy oni plotkowali na temat najmodniejszego ostatnimi czasy klubu polo Guards i popijali szampana.

Menu na dzisiaj:

Oszałamiające szalwiowe tuile z foie gras i truflowym demi-glace.

Diablutki z homarowym carpaccio w emulsji rambutanowej.

Policzek z żabnicy pod pianą porzeczkową na chipsie kawiorowym.

Grzanki brioszkowe ze słoniowym szpikiem i selerowym vinegrette.

Kaczenice wędzone na śliwie ume, pod jarmużowym crème fraîche.

James z przyjemnością myślał o specjałach serwowanych przez gospodynię, amerykańską celebrytkę Lashandrę Scott. Tę posagową wdowę na pełnym etacie, z kilkoma milionami zarobionymi bardzo ciężką pracą nad swoimi świętej pamięci małżonkami.

Bond uśmiechnął się na myśl o znanym brukowym dowcipie dotyczącym gospodyni: — Kim jest twój mąż? — Jest milionerem. —

A kim był, zanim cię spotkał? — Miliarderem.

Automatycznie, podążając za wytrenowanym przez lata odruchem, James z 18-letnim Macallanem precyzyjnym kursem kolizyjnym pożegłował w kierunku najatrakcyjniejszej na imprezie kobiety. Była smukła jak trzcina, na wysokich szpilkach; miała na sobie obcisłą, krótką czarną suknię bez dodatków, udziwnień i tatuaży, o których

Clooney powiedział kiedyś „Tatuaze? A widziałeś naklejki na Ferrari?”

Kiedy do niej podszedł, odrzuciła z twarzy rozczochrane, w nieładzie za jakieś 200 funtów, włosy. — Pani pozwoli, jestem Bond, James Bond. Lekko pochyliła głowę, jakby przyjmując to do wiadomości, ale nie odpowiedziała. Była niebywale atrakcyjną kobietą po czterdziestce z tą ulotną, nieoczywistą, nienachalną i niepodkręconą techniką naturalną atrakcyjnością, którą mają tylko wybranki łaskawie obdarzone przez los... i geny (jeśli udało im się tego nie spieprzyć nadmiarem entuzjazmu), a które dostrzegają tylko koneserzy. — Skąd zna pani Lashandrę? Nie widywałem tu pani przedtem — rzucił z lekkim półuśmiechem.

— Dopiero co się wprowadziłam do tego budynku, mieszkam piętro niżej. Prowadzę galerię sztuki na South Audley Street. Antonina Paławska.

— Polka? — ku jej zaskoczeniu nieco się cofnął, skłonił głowę, i pomny dziwnych form grzecznościowych tego przedziwnego Kraju Białych Niedźwiedzi chodzących zimą po ulicach, ujął jej dłoń w rękę i lekko dotknął ją ustami w szarmanckim geście, którego się nauczył w czasie tych lat spędzonych „w terenie”.

— Tak, jestem Polką. Zna pan Polskę?

— Cóż, można powiedzieć, że byłem konsultantem i dyplomata podróżującym również po krajach demokracji ludowej. Gdzie się pani urodziła?

— W Poznaniu. Zaraz... To pan mówi po polsku?

— Oczywiście!

Prowadząc swobodną rozmowę, z łatwością przeskakiwali między językami. Przy kolacji szukali się nawzajem wzrokiem, a później, popijając kawę na antycznej sofie, James zagadnął: — Jak rozumiem, wystawiasz głównie malarzy nowoczesnych?

Antonina, jak to potrafią tylko Polki, nagle spoważniała. — Tak, to moja codzienność — A zniżając głos do szeptu i niemal namięt nie powiedziała mu wprost do ucha — Ale moim głównym konikiem jest tropienie obrazów zrabowanych z Polski przez hitlerowców. Czytałeś „Europę zgwałconą”? To książka o grabieżach wojennych.

O, ciekawe — pomyślał i odrzekł — Nie, ale mam sporą praktykę w kontaktach z tym hmm... światkiem.

Gawędzili, śmiali się i przekomarzali, a ich nagła bliskość nie uszła uwadze otoczenia.

„No tak, James ma równie nieodparty czar jak Mastroianni” mruknął z zawiścią jakiś reżyser filmowy garniowany turkusowym garniturem wielkości cyrkowego namiotu.

3. Aston

Od czasu tamtej kolacji Antonina i James często spotykali się „na mieście”. Bond z lekko ironicznym dystansem obserwował u siebie oznaki powrotu tego ożywienia, jakim przepełniało go niegdyś życie. Po namiętne „przegadanych” nocach w jego mieszkaniu urządzonym w oszczędnym „James, dopiero się tu wprowadzasz? Nie, dlaczego tak sądzisz?” minimalistycznym stylu, w Marylebone podziwiali razem wspaniałe zbiory sztuki w pobliskiej Wallace Collection.

— Uwielbiam portrety van Dycka, ich arystokratyczny dystans — Rzucił zaczepnie pewnego letniego popołudnia, gdy stali przed portretem Philippe’a Le Roya, Wysokiego Ambasadora w hiszpańskich Niderlandach.

— Tak, ja też je lubię — Odpowiedziała. I po chwili podjęła z przejęciem — Hitlerowcy ukradli mojej rodzinie obraz Van Dycka „Portret chłopca”. W 1944 roku zmusili mojego ojca do sprzedaży go Muzeum Cesarza Fryderyka w Poznaniu — Dziś Muzeum Narodowego w Poznaniu. Cholerni złodzieje, zabrali go. Ale ja wiem, gdzie on jest teraz. W Warszawie! I wiem, kto go ma... — Z pasją odgarnęła kosmyk niesfornych układanych przez sztab stylistów włosów ze swej pięknej twarzy.

— Kto? Czy polski rząd nie powinien się o tym dowiedzieć? — James wykazał się (typową dla Anglika z wyższych sfer, ale nietypową dla cynicznego zabójcy... czyli siebie) naiwnością.

„Ech, chyba się starzeję” pomyślał rozbawiony.

— Mówimy o wielkich pieniądzach, mój drogi. Polska straciła wtedy tysiące obrazów, a Warszawie działa teraz niewielka organizacja wyspecjalizowana w odzyskanych hitlerowskich skarbach, sprzedawanych po cichu bogatym kolekcjonerom za bajorńskie sumy. W środku tej sieci siedzi handlarz z warszawskiego Nowego Miasta, zwany „Wolf”. Paskudny typ. W dodatku prawdopodobnie neonazist.

— I nic nie da się zrobić?

— Jest zbyt mocny i ma potężne koneksje. Ale ja muszę coś wymyślić!

James poczuł nagle przyływ niegdysiejszej fantazji, jakby jego szpiegowskie szkolenie obudziło się na pierwsze wezwanie. Cóż „Przyzwyczajanie drugą naturą człowieka. Isn’t it?”.

Trzeba stworzyć plan — pomyślał — A najlepszym planem jest, jak zawsze, brak planu. Aby osiąść dzieła sztuki, ludzie często sięgają po zbrodnię, improwizacja jeszcze nigdy mnie nie zawiodła, a wielu przy tym zwiodła.

Wróciwszy do domu, stworzył w pełni detaliczną strategię, która była zarazem stylowa i wykonalna, czyli: będzie udawał majątnego brytyjskiego kolekcjonera, mieszkającego w Warszawie ze swą „przyjaciółką”, będzie brylował i prowokował, a potem się zobaczy.

Wywołał Wolfa z lasu.

A potem... Nosił Wolf razy kilka, aż mu się rozpadła klika. Nawiąże kontakt z „Wolfem”, podejmie próbę kupienia obrazu, przy okazji zbierając informacje o siatce. Wejdzie w jakże znaną sobie rolę, albo naturę, szpiega.

Ponoć nie wtedy przestajesz się ruszać kiedy się starzejesz, tylko starzejesz się, kiedy przystajesz się ruszać. Co wyraźnie widać po samochodach, które gdy jeżdżą robią miliony, a kiedy stoją robią już tylko pod siebie... olejami i innymi płynami. Czas więc się ruszyć, odkurzyć stare, przyprószone siwizną i zepchnięte do defensywy przez wygodne biuro umiejętności ręcznego, osobistego, detalicznego i zręcznego eliminowania wrogów.

Przede wszystkim jednak, czas odkurzyć stare znajomości.

Garaż anonimowo ulokowany na przedmieściach zionął atmosferą upadku rodzaju ludzkiego i umęczenia cywilizacji. Graffiti, nie te spektakularne jak Banksy’ego w najlepszych miejscówkach, inne, równie anonimowego lecz mniej imponującego Bohomaza, wynik frustracji i bezsily, mocno sfatygowane rozkładem i nietrwałością ludzkich dokonań „zdobiły” popękane ściany. Grupy wyrostków jadących na modnym ostatnio fentanylu mieszanego z ksylazyną lub, dla mniej wymagających koneserów, workowanym butaprenie — wyżywały się na wykradzionych hipermarketom wózkach bezdomnych.

Bond, w swoim idealnie skrojonym garniturze trochę tu nie pasował. Faktycznie nie pasował tu tak bardzo, że aż świecił niczym pomalowanym fluorescencyjnym sprayem. Lecz kiedy już wszedł w tryb „terenowy” emanował trudną do zdefiniowania aurą „lepiej mnie nie wkurwiaj” i grupki ciulów bez przyszłości, w przeczuciu kłopotów, z szacunku do siebie lub braku rozsądnego ubezpieczenia dentystycznego, wyprzedzająco udawały, że go nie widzą.

Kiedy już strzepnął pokryty kożuchem kurzu brezent, czułym gestem

poklepał przyjaciela po dachu — Teraz obaj jesteśmy oldtimerami w kolorze Silver Birch my friend.

DB5, czy jesteś gotów wrócić do służby?

Był pewien że — Aston Martin DB5 z silnikiem R6 projektowanym przez nomen omen Polaka, Tadeusza „Tadka” Marka, o pojemność: 4.0 litra Mocy 282 KM i 390 Nm plus skromne dodatki — Obrotowe tablice rejestracyjne; Siedzenie katapultujące; Wysuwane z kół ostrza; Karabiny maszynowe; Dym do zadym i olej do posmarowania gdzie trzeba; Radar w desce rozdzielczej; Skrytki na broń; Hydrauliczny taran — z eksperymentalnego studia projektowego „Q Branch” — uśmiechnął się na jego widok.

Oj tak, przemieszczanie się po mieście w tej demonstracyjnie nietuzinkowej maszynie będzie stanowiło niepodważalne potwierdzenie jego „legendy”. A tych kilka gadżetów przygotowanych przez Q „na wszelki wypadek” też może się przydać... na wszelki wypadek.

4. Wolf

Kiedy przedstawił Antoninie szczegóły swego „planu bez planu”, nie mogła opanować łez wzruszenia.

— Ufając mi, dałeś mi coś bardzo cennego James.

— Co takiego? — Nadzieję.

— Jej twarz promieniała radością.

Bond wziął zaległy bezpłatny urlop na żądanie, a biuro odetchnęło z wielką ulgą, i po szybkiej (kiedy nie martwisz się o mandaty, DB5 można jechać naprawdę szybko, i nie trzeba go ładować godzinami) podróży, wynajęli z Antoniną luksusowe mieszkanie na Mokotowie.

Wiosna w Warszawie, jak to śpiewa Organek „buchnęła im prosto w twarz” erupcją kwiatów w pięknym parku łązienkowskim, a J.B. ani wstrząśnięty, ani zmieszany szybko nawiązywał i podtrzymywał artystyczne kontakty przy znakomitych drinkach, a jak trzeba to i przy piwie, w ekskluzywnym Barze Kolumnowym hotelu Bristol. Postarał się, by w „artystycznym świecie” Warszawy słyszano o nim i by spotkania z nim były pożądane. Czasem odwiedzał domy bogatych zbieraczy na eleganckim Żoliborzu, chwilami spotkania te odbywały się w dostojnych murach Uniwersytetu Warszawskiego.

Aston-Martin wszędzie budził podziw, czasami w dziwnych formach, jak wtedy gdy wysiadając z auta, usłyszał od starszej pani „Powinno tu być więcej takich Bentleyów!”.

Bond ze zdziwieniem zauważył, że nie musi niczego zapisywać w notesie, który od jakiegoś już czasu nosił ze sobą. W naturalny sposób wróciły dawne odruchy, zachowania i pamięć mięśniowa. Aż wreszcie, udało mu się zorganizować spotkanie z samym „Wolfem”. Spotkali się w ciemnej kawiarence na Starym Mieście, w mdło oświetlonym świecami „Krokodylu”.

Zerknąwszy na symbol kawiarni, rzeźbę cherubina dosiadającego krokodyla, doszedł do wniosku, że dziwnie pasuje to do jego obecnej misji. „Wolf” w półmroku kawiarni przeszedł wprost do sedna.

Było ciasno, brakło więc miejsca na uprzejmości, a płomień świeczki nerwowo migotał nad torcikiem wiedeńskim.

— Działą pan sam, panie Wolf? — spytał uprzejmie James.

— Chce pan to flamandzkie arcydzieło, panie Bond, czy nie? Jeśli tak to niech pan nie zadaje zbyt wielu pytań, i dobrze przemyśli jak pan za nie zapłaci, bo cena to 3,5 miliona dolarów i nie podlega negocjacjom — Wolfia angielszczyzna była okropnie bezpośrednia, ale Bond nie zdradzał się ze znajomością polskiego.

— Najpierw chcę zobaczyć obraz, sprawdzić jego autorstwo i stan. Krótko: kiedy i gdzie? — Przywieziemy go na cmentarz w Palmirach pod Warszawą. Jutro w południe. Nie zobaczy pan nas i niech pan będzie sam.

„A z kim miałbym być, amatorze” pomyślał Bond.

Miejsce niegdyśszych mordów popełnianych przez nazistów na Polakach wciąż zdawało się pachnieć krwią niewinnych ofiar. To było wstrętne miejsce na spotkanie. Idealne. Gdy dotarł do celu, zaparkował Astona niedaleko budynku muzeum, którego ściany zdołały dziury po pociskach — na szczęście tylko zamarkowanych przez architekta. Ale przypomniały mu, co powiedziała Antonina: Ci ludzie w razie podejrzeń mogą go zabić.

Uśmiechnął się do siebie zimnym, ponurym bezlitosnego uśmiechem łowcy wilków — A ja nie chcę cię stracić! Nigdy! — powiedziała. Była tak piękna, gdy rumieniła się z emocji... Szkoda...

5. 007

Gdy czekał na handlarza, brzozy poskrzypywały pochylane lekkimi podmuchami wiatru. James patrzył w zadumie na niekończący się las

krzyży, znaczących mogiły pomordowanych Polaków, kiedy niemal bezszelestnie pojawiła się czarna limuzyna Mercedesa. Gdyby nie był Bondem, pewnie by się wzdrygnął poruszony, a tak, „cholerne elektryki, powinni im montować dzwonki, jak krowom” pomyślał tylko. Z Mercedesa, trzymając w ręce kwadratowy pakunek owinięty pakowym papierem, wysiadł „Wolf”. Słońce schowało się za chmurą i nagle zrobiło się zimno, a „Wolf” wskazał ręką ławkę obok ściany pamiątkowej i odchylił opakowanie z obrazu. Bonda owionęła woń kolońskiej wody po goleniu. Na przegubie „Wolfa” błysnęła gruba, złota bransoleta, na drugim złocił się Relox. „Ciekawe czy na szyi, pod niechlujnie rozpiętą koszulą, ma złoty łańcuch z emblematem ImRich” — Cóż, klasy i gustu nie da kupić, za żadne pieniądze. — Widzę, że inwestuje pan w kruszce, znałem kiedyś innego konesera złota... to już historia, ktoś zgrabnie na zawsze zdusił w nim tę rządę — Rzucił Bond i rozpakował obraz.

Nawet jemu wystarczył tylko rzut oka na odpakowany fragment obrazu, by zorientować się, że to nie jest dzieło Wielkiego Flamanda. Ani żadnego innego Flamanda.

Pod wyblakłym lakierem rysy twarzy były uchwycone nieudolnie, oczy zbyt duże, usta zbyt mięsiste, a palce dłoni — ostatnio widział takie na stacji benzynowej kiedy jedli je budowlańcy. Deska, na której namalowano portret, była pęknięta na całej długości. Obraz był kilkakrotnie retuszowany i malowany od nowa.

— Panie Wolf, według mnie to nie jest prawdziwy Van Dyck. Ma mnie pan za idiotę?

Bond wstał, nie czekając na odpowiedź, by wyrwać się z tej sieci oszustw. Atmosfera coraz bardziej nawiązywała do miejsca, w którym przebywali.

— Dokąd się pan wybiera mister Bond? — obojętnym tonem odezwał się za nim Wolf.

— Wracam do Warszawy.

— Przepraszam, jeszcze tylko jedno: kocha pan piękną panią Antoninę, prawda? — Zjadliwym tonem zapytał „Wolf”.

Bond zawahał się, zaskoczony, że handlarz wymienił jej imię

— Tak, oczywiście — odparł, sięgając po klamkę... Astona.

— Mój drogi przyjacielu, skoro to tak, to sprawa wygląda mniej więcej tak: Z obrazami, szczególnie teraz, jest duży problem. Ciężko je zdobyć, trudno przemycić, a jeszcze trudniej cicho i zyskownie zbyć. Natomiast na aukcjach, szczególnie tych organizowane przez Sothe-

by's czy Christie's, cena oryginalnie szpiegowskiego, robionego tylko dla MI6 modelu Astona Martina DB5, już w 2010 roku osiągnęła 4,6 miliona dolarów. W 2019 było to 6,4 miliona dolarów, a teraz, teraz panie Bond, jeden ze Wschodnich Majętnych Kolekcjonerów proponuje nam 12 milionów. Nie było łatwo cię znaleźć Bond pod tymi papierkami, przyprószonego siwizną i kurzem, ale w końcu znaleźliśmy i wiedzieliśmy, że zleżały, wyleniały, podstarzały i znudzony, zła-piesz haczyk. No i obawiam się, że twoja Antonina jest... moją Anastazją. Oj, nie masz szczęścia do kobiet, Bond. Wiesz, tu nigdy nie chodziło o obrazki, skoro unikatowy samochód mogłeś dostarczyć nam łatwo sam. Można powiedzieć... Z darmową dostawą pod drzwi, szkoda by było nie skorzystać.

Pistolet, który nagle pojawił się w jego ręce wyglądał tak naturalnie, że aż niewinnie. Błysk u końca jego lufy i szczeknięcie strzału — właściwie też.

Bond padł jak ścięty, mijając się z żeliwną ławką o włos.

Dobrze, że zapuściłem długie — zauważył jeszcze, zanim stracił przytomność.

Ciemność spadła nań jak kurtyna.

Naziści doczekali się ostatniej ofiary.

Kiedy po jakimś czasie wrócił z ciemności niebytu, było już ciemno, ale też i tak zimno, że aż nierealnie. „Kraj Białych Niedźwiedzi” — jęknął i zatrząsł się w chłodzie. Po chwili podniósł się z gibkością i zwinnością wora ziemniaków, wyprostował, przeciągnął i poczuł ból, ale... dlaczego w boku?

„Kiedyś, jak się obudzę i nic mnie nie będzie bolało, to będzie znaczyć, że umarłem” — sztychował z siebie szukając telefonu.

Telefon szyfrowany 256-bitowym kluczem, a nie jakimś bądziwnymi odciskami palców (które każdy może zabrać ze sobą, wystarczy dobry tasak) czy tandetnym Face Id dla amatorów, był bezużyteczny dla tych, którzy nie znają kodu, dlatego pozostał w płaszczu, no i...

W końcu, no cóż, był przecież martwy.

Wykręcił numer.

— Bond?

— M?

— Domyślam się, skoro dzwonisz, że nie strzelił ci w twarz.

Co tak długo, uciąłeś sobie popołudniową drzemkę staruszku? —

W słuchawce odezwał się z lekka znudzony głos, czym ktoś tam, po drugiej stronie, starannie maskował napięcie.

— Po powrocie w teren, na chwilę zaparło mi dech z wrażenia, ale zrobione. Q namierza Astona? — Bond mówił jeszcze z lekkim wysiłkiem. Kontakt z odrobiną ołowiu o odpowiednio dużej energii kinetycznej, każdemu na jakiś czas odbierze mowę, nawet ubranemu w gustowną, projektowaną przez Toma Forda polimerową kamizelkę kuloodporną.

— Tak, sygnał jest czysty i wyraźny. Mrs. Antonina... czy może Anastazja, z mr. Wolfem już przemieszczają się na wschód. Odczekaj chwilę, sprawdź sobie cukier, saturację, oceń sytuację, a potem ruszaj się, potrzebujesz balkonik?

Bond uśmiechnął się szyderczo... Idioci, oni naprawdę myśleli, że podstawienie podstarzałem samotnemu agentowi „biurwokracie” chętnej i atrakcyjnej kobiety, bajeczka o nazistach i skradzionym obrazie, oraz łatwość z jaką zgodziła się na „plan akcji bez planu” i ten prymitywny bezgustny „Wolf” oszuka wytrawnego agenta? Na szczęście, po tych wszystkich średnio udanych filmach, zostało jeszcze kilka dobrej jakości repliki DBpiątek, wystarczyło tylko wszystko odpowiednio dograć, czyż nie?

A teraz, czas na łowy. Najpierw na Wolfa, a potem jego mocodawców. Jest sporo roboty do zrobienia.

Dobra — skrzywił się z bólu, ale już tylko lekko, przecież był w tak doskonałej formie, że średnio sprawny 5-latek potrzebowałby dłużej chwili by go wypunktować — niech 007 rusza, a ja... Ja swoje zrobiłem, wracam do domu.

The End.

James Bond will return.



If you think there are too many 007 agents out there - just remember: Barbara Bouchet is Miss Moneybags

Casino Royale

STARRING PETER SELLERS URSULA ANDRESS DAVID NIVEN ORSON WELLES JOANNA PETTET DALIAH LAVI
WOODY ALLEN BARBARA BOUCHET GORDIAN KERR WILLIAM HOLDEN TERENCE COOPER CHARLES BOYER

SCREENPLAY BY WOLF MANKOWITZ JOHN LAW MICHAEL SAYERS

MUSIC BY BURT SACHARACH COSTUME DESIGNER BY JACK HILLYARD EDITOR BY BILL LENNY

PRODUCED BY VAL GUEST KEN WIGGLES JOHN HUSTON JOSEPH MCGRATH ROBERT PARRISH RICHARD TALMADGE
DIRECTED BY JERRY BRESLER JOHN DANK CHARLES K. FELDMAN

Bank for



Thanks for your time...

This work is shared for free, but if you enjoyed it and would like to treat me to a virtual coffee¹

Paweł Szosa Mi

¹ <https://buycoffee.to/pawelmi>

Rideró

Wydaj książkę
profesjonalnie!